26, 168, 173, 204, 178, 182, 209,

PÓŁDJABLE WENECKIE.

PÓŁDJABLE WENECKIE.

Powieść od Adryatyku

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

W KRAKOWIE

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU" W. KIRCHMAYERA.

1866.

> L' amor comincia con suoni e con canti
> E poi finisce con dolori e pianti...
>
> Piosnka ludowa.

Cofnąć się potrzeba aż w przeszłość, chcąc pocieszyć oryginalnością ludzkich charakterów, samoistnością człowieka, który dawniej urabiał się mniej do formy jednej, swobodniej jakoś wedle żyjącej w sobie fantazyi, i był czem go Pan Bóg stworzył, nie wstydząc siebie.... Dzisiaj Europę z końca w koniec przewędrowawszy, nie trafi się na wybitniejszą postać, i żadna fizyonomia wyrazistsza nie przejrzy przez skorupę cywilizacyi. Wewnątrz zapewne jest zawsze toż samo, co tam i dawniej bywało, człowiek w gruncie jeden od początku świata, ale po wierzchu wygląda dziś jak migdał cukrem oblany, i trudno zgadnąć, czy słodki czy

gorzki, świeży czy nadgniły, a nawet czy to migdał tam siedzi, czy kawałek suchej skorupki bez smaku.

Dawne czasy i u nas i wszędzie obfitsze były w oryginały, i nie było jeszcze tej łatwości przebiegania świata, która dziś ściera piętna, ogładza obyczaje, przenosi ludzi, a z nimi jakiś ogólny ton europejski, który w istocie zależy na tem, żeby być podobnym do wszystkich, a jak najmniej do siebie samego. Nawet twarze tracą powoli charakter dawny, wybitniejszy, przywdziewając jakąś maskę tandetną, którą staranne wychowanie nadaje.... Wszyscyśmy do siebie podobni, z małemi różnicami.

Śmiano się przed niewielu jeszcze laty z excentryczności Anglików, z Hiszpanów i Niemców oryginalności, terazby się dziwić potrzeba, że już w tłumie nikogo z nich rozpoznać nie można. Anglicy wyuczyli się po francuzku bez akcentu, a Niemcy zapuściwszy bokobrody sążniste, tak udają obywateli Wielkiej Brytanii, jakby się nimi urodzili.

Życie też i obyczaj nie wyrabia się jak dawniej własnym kunsztem i dowcipem, ale według pewnej recepty przyzwoitości, ogólnie za najlepszą przyjętej.

Dla tego i nieszczęśliwy bajarz, który wodyby warzyć nie chciał, musi malowniczego wątku szukać w skrystalizowanej przeszłości, bo teraźniejszość staje ledwie na materyał do rachunku i na temat do karykatury...

Wszystko to cel mieć musi, i jest to widocznie stan jakiegoś przejścia, przerabiania się i cichej fermentacyi, z którego coś zapewne wyrośnie bardzo ładnego i bardzo pożytecznego dla świata... ale z tego co teraz pożywamy (ni kwaśno ni słodko) nie ulepisz chyba bezbarwny i bezwonny placek... Trzeba więc, pożegnawszy świat rachmistrzów i gazeciarzy, giełdę i bankierskie elegancye ozłocone na wszystkie boki, puścić się na wędrówkę... kędy pieprz rośnie.

Przysłowie to oznacza, że pieprz nie blisko rośnie, a pieprz jest tem co osmaczą, podbudza, piecze, zachęca do życia,.... tego potrzeba szukać w przeszłości. Klimat dzisiejszy dlań za zimny, pójdziemy więc w tę przeszłość osławioną i uwielbioną... przerzucim spleśniałe rękopismów karty, zajrzym do zbutwiałych trumien, na których wieku przegniłem siedzi uśpiona poezya z zeschłym wieńcem w ręku.

Niech się tylko czytelnicy nasi nie ulękną bardzo, jeźli nie starą tę historyą rozpocząć będziemy musieli od bardzo dawnych przypomnień: są one niezbędnemi dla zrozumienia następnych wypadków. Uznał to już i dowiódł ksiądz kanonik Ciampi, że pomiędzy Polską a Włochami stósunki bardzo były ożywione, wymiana ludzi bardzo

czynna. Myśmy im tam posyłali bogatych suchotników, znudzonych wielkich panów, umierające panie i pobożnych a zamożnych prałatów, oni nam oddawali pożyczkę w niedouczonych doktorach, w niefortunnych malarzach, w nieszczęśliwych prawnikach, niekiedy wszakże w artystach cale znakomitych i rzemieślnikach niepospolitej wprawy.

Żart na bok, dużo naszej młodzieży uczyło się w Padwie, wyświęcało w Rzymie, bawiło w Wenecyi, a leczyło potem pod ciepłem słońcem Neapolu.

Ci co w Padwie przesiadywali, pociągali za sobą z powrotem do kraju jadąc, współuczniów lub nauczycieli. Słynęła Polska z zamożności a z hojności jeszcze bardziej. Każdy się tu cudzoziemiec czegoś dorobił a nie jeden, *per pedes apostolorum* przyszedłszy, powracał poszóstno. Trafia się to przybyszom i dzisiaj: my tylko jedni poszóstno wyjeżdzamy żeby powrócić z torbami, często jeszcze wstydu pełnemi...

Łatwo sobie wytłumaczyć, jak przodek mojego bohatera dostał się do Polski.

Był on doktorem przy królu Stefanie, któremu w wojnach i obozach towarzyszył; drugi z tej rodziny Franciszek ożenił się z siostrą lekarza Bucceli nadwornego przy Zygmuncie III.

Trzeci się także w Padwie medycyny wyuczył, aby ją w Polsce praktykować, i za Zygmunta III. panowie Lippi de Buccelis otrzymali indigenat i szlachectwo polskie, a do rodowitych ich tarczy

dwubarwnych, przez szczególną przyjaźń dla Lippiego, Hieronim Gostomski Wojewoda Poznański, Starosta Sandomirski dodał im górą w czerwonem polu swojego białego Nałęcza.

Lippiowie więc tu osiedli i z ubogich niegdy mieszkańców Belluno i Padwy, gdzie mieli dwie stare kamieniczki, przeszli na zamożną polską szlachtę, posesionatów co się zowie. Gdy przysło do tego indigenatu, o którym wspomniałem, na sejmie 1597 roku, musieli panowie de Lippi produkować się jako szlachta wenecka, ale nie zrobił trudności doża Marino Grimano i wydał im na pargaminie malowanym ze srebrną pieczęcią dyplom tak wspaniały, iż mogli go śmiało pokazać najwybredniejszemu szlachcicowi. U góry stały dwie tarcze, jedna wzdłuż podzielona na dwoje, druga dwoma w poprzek palami przecięta, z głową czarnego jastrzębia czy orła o złotym dzióbie, wcale pokaźną *).

Lippi syn doktora już ożeniwszy się z Polką, poszedł na zagon gospodarzyć, powoli z Lippich zrobili się nawet Lipińscy de Buccelis; a wnuki już mało co po włosku umiały. Przechowywała się jednak tradycya o weneckiem szlachectwie, o kamieniczce w Belluno i domu w Padwie.

Dziad mego bohatera był nieco dziwacznego umysłu, ubierał się z włoska, niekiedy bardzo bo-

*) Oryginalne przywileje i indygienat, są w posiadaniu piszącego.

gato, czasem bardzo dziwacznie, jeździł w powozie, alias kolebce, malowanej pstro, sprowadził sobie murzynka, którego stroił po wschodniemu i nieodstępnie miewał zawsze przy sobie... Coś tam we krwi jego włoskiej było fantazyi, która się z Polską butą zmięszała, i pan Bernard, którego po prostu Bernatem zwano, choć wielkopolski szlachcic, urodzony z Polki, z Polką żonaty, mało co włoszczyzny umiejący, bawił się w Senatora weneckiego i Patrycyusza. Przez całutkie też życie wybierał się jechać do Padwy i Belluno dla rewindykowania dziedzictwa, które mu, jak on dowodził, niesłusznie wydarto; ale z roku jakoś na rok odkładając wyjazd to dla słoty, to dla nieurodzaju, to dla niedobrego zdrowia, to z obawy, aby tam w Wenecyi wschodniego moru i zarazy nie zastał — dożył na zagonie rodzinnym do dni końca.

W dziedzicznym jegomości Robninie było piękne jezioro, a na niem wysepka mała, u brzegów trzcinami porosła, w środku piasczysta, otóż z tego ostrowu Bernat sobie małą uczynił był Wenecyą, zmurowawszy tam parę domostw na palach, dosyć okazałej zdała struktury. Nikt tam nie mieszkał, prócz jednego rybaka; ale dziedzic często różne zabawy wyprawiał, gości spraszając i gondolami ich czarnemi, na sposób wenecki zbudowanemi, przewoził do swej *Isola bella,* jak ją nazywał. Na te dnie stroił się w lamy i brał czapkę, która za-

krawała na książęcą doży, oryginalnym kształtem; murzynek nad nim purpurowy nosił parasol, złotemi frandzlami przyozdobiony, a dwoje pacholąt facolet na poduszce i worek staroświeckiej formy, z którego jałmużnę rozdawał między dziady chciwie nań czekające. Był na wyspie i moździerz, z którego na pizybycie gości i gospodarza ognia dawano, i wieża z wywieszoną chorągwią, pomalowaną w herby Lippich z Nałęczem owym Gostomskich.

Wszystkie te niewinne dziwactwa pana Bernata, sprawiły, że mu okoliczni wieśniacy, ba, i bracia szlachta dali przydomek: — Półdjable Weneckie. Wiedział on sam o nim, ale się z niego śmiał i prawie mu był rad; a gdy na humor mu przyszło, pytał się czasem z cicha sąsiadów — „A co? prawda? półdjable? hę? półdjable weneckie?“ I brał się za boki śmiejąc, tak mu się ten przydomek podobał.

Ale żadne w świecie, by najniewinniejsze dziwactwo i fantazya, płazem człowiekowi nie przechodzi: mimo Jejmości, która była zapobiegliwą i oszczędną, mimo pięknej wsi posagiem wziętej, mimo kapitałów dziadowskich jeszcze, Bernat dobrze majętności naderwał, a gdy życie skończył, wierzycieli obliczono, syn Jegomości i pozostała wdowa przestraszyli się, aby im ojcowizny zbywać nie przyszło.

Jednak pracą i oszczędnością jakoś się to połatało.

Tylko się zaraz wyrzekli wszelkich owych pańskich fantazyj, budynków na Isola-bella, które opustoszały zupełnie i poszły w ruinę, gondoli, którym pruchnieć dozwolono i murzynka. Tego przyjął do służby swej wojewoda Jabłonowski.

A że za pana Bernata dużo się ludzie byli rozpróżnowali i opuścili, musiał syn jego sprężyście się brać do gospodarstwa, co się nie podobało; ochrzczono go więc znowu owem spadkowem — Półdjablem weneckiem.

Wcale to nie był zły człowiek, i szatańskiego w sobie nic nie miał, ale ścisłej pilnując sprawiedliwości, nie pobłażając nikomu, naraził się wielu. Surowego był nader obyczaju, posępnego oblicza, a pod starość księgi lubiał i chętnie się w nie wczytywał. Mając zaś tak prawie jak dwie ojczyzny, obu się uczył, obu wspomnienia cenił i zbierał.

Był on właśnie ojcem bohatyra naszego Konrada Lippi pospolicie Lipińskim zwanego.

Po upadku konfederacyi Barskiej, wielu z tych co w niej czynny udział mieli, zniechęconych stanem rzeczy obecnym lub spodziewających się rychłej jego zmiany, rozpierzchło się po Europie; niektórzy z sercem osmutniałem a piersią pełną poezyi tej uroczystej doby, która religijnego ducha podniosła, powróciło do domów, aby przy roli i pracy zapomnieć o tem co bolało — odpasane szable zawisły nad łożem przy ryngrafach z Matką Boską Częstochowską, a żołnierz w kitlu płócien-

nym i skórzniach po kolana poszedł za pługiem, odśpiewując pieśń xiędza Marka do Matki Boskiej i Królowej.... niebios.

Do tych rozbitków, którzy się wałęsać po obczyźnie zrazu nie chcieli, należał i Konrad Lippi. Dziedziczył on po ojcu i dziadzie wieś ową w Poznańskiem, Robnin, na której jeziorze jeszcze w ruinach stały fantazye dziadowskie, a razem spadło nań niezasłużenie i przezwisko owe — Półdjabla weneckiego, które już szło z ojca na syna.

Konrad wychowany był bardzo troskliwie i starannie przez ojca, który też chciał aby choć jeden z synów jego włoskie pochodzenie rodziny miał i w duszy, więc go obok łaciny, języka włoskiego wyuczyć dobrze kazał. Ojciec Jezuita, włoch, który się Konradem zajmował, wywiązał się z tego nader szczęśliwie, tak, że młodzieniec i język i dzieje drugiej Rzeczypospolitej znał jak własne polskie. Ale sercem jakoś więcej był przyrósł do tej ziemi, na której się urodził i wychował.

Konrad, gdy konfederacya się zawiązała, przystąpił do niej i jako prosty żołnierz bić się poszedł; potem nieprześladowany jakoś, do rodzinnego kąta mógł powrócić.

Ale nań tam nikt nie czekał... Konrad dawno był rodziców stracił, siostrę miał zamężną aż w Kaliskiem, brata rodzonego osiadłego w Prusiech około Chełma, a w domu z rodziny żywego ducha. Wyruszając na wyprawę, powierzył gospodarstwo,

mienie i zarząd interesami, staremu Pukale. Pukało, Litwin, kędyś od Kowna rodem, pacholęciem się był jeszcze przybłąkał do dworu w Robninie do rodziców Konrada, służył naprzód przy pokoju, potem przy gumnie, pomagał ekonomowi, wyręczał pisarza, ale że wyrobił się z niego człowiek bardzo poczciwy, stateczny, rozsądny, w końcu mu powierzono tak jak wszystko: klucze, regestra, pieniądze i nowy dziedzic wcale mu ich odbierać nie myślał, boby sam pewnie tak jak on rady nie dał.

Pukało był wzorem tych starego autoramentu rządzców, co się tak z rodziną zjednoczyli, iż swojego własnego interesu nie mieli, a w panach swych żyli cali. Wynosił na rękach Konradka, pannę Annę i pana Bolesława, pogrzebał oboje starych Lipińskich, wydał potem za mąż Anusię, naostatek na wojaczkę wyprawił Konrada, którego najwięcej kochał... i oto on jeden, witał go teraz z powrotem.

Dla niego w Robninie nie było kąta, człowieka, rzeczy, którejby nie znał z gruntu i historyi jej nie wiedział. Ledwie już pamiętał miejsce rodzinne, mało co wiedział o swoich nad Niemnem, ale tu... tu mu się trawa spowiadała gdy rosła, znał genealogię wszystkich gniazd bocianich, a ludzie wiejscy niepewni metryki, do niego się udawali po objaśnienie, kiedy się kto rodził. Pamięć też miał doskonałą, a serce chyba jeszcze lepsze. Dlaczego się był nie ożenił dotąd, chociaż już tęgo poszpakowaciał, to tylko Panu Bogu było wiadomo.

Dosyć niemłody, wyglądał jeszcze raźnie, zdrowo, trzymał się prosto i wcale lat, które miał w istocie, nie pokazywał.

Nie brzydził się też niewiastami, i owszem, wzdychiwał do wielu, ale ile razy sunął się do kobierca, zawsze mu coś na drodze stanęło. Woli Bożej jakoś nie było i nie było. Pukało to sobie w końcu i wyperswadował bo był pobożny, a z wolą Bożą godzić się nauczył, i mawiał, gdy się go pytano: — Musi to tak być lepiej, kiedy się nie udaje... człowiek często pragnie mocno tego czego potem ma żałować... zatem, stań się wola Twoja! Wie Pan Bóg co robi.

Z Litwy jednę tylko rzecz wyniósł z sobą Pukało: przysłowie stare, dawniej znać używane w miejsce zwykłego dali Bóg, aby imienia Bożego nie nadużywać, powtarzał często bardzo *Dalifur* i z tego poszło nawet, że go potem więcej nazywano panem Dalifurem niż Pukałą.

Gdy panicz sobie mundur sprawił, a karabelę ojcowską przypasał i gniadosza najlepszego ze stajni wziął pod kułbakę, Dalifur się upłakawszy, przeżegnał go karawaką i poszedł z nią i z koronką około gospodarstwa jak zwyczajnie. We dworze ani znaku nie było, że panicza zabrakło. Pilnował Pukało, żeby tam wszystko było na swojem miejscu i w porządku. O południu regularnie chodził zegar gdański nakręcać, żeby nie stanął; w piękne dni sam okna odmykał, garderobę wietrzył, pyły

ścierał i przechadzając się po pustych komnatach, nawzdychał się i napłakał nieraz do syta.

Bo dla niego od wielu lat nic a nic się tu nie zmieniło na jotę jedną w losach, zajęciach i nadziejach. Kapota jego szara przeżyła starego Lipińskiego, dzień dzisiejszy podobny był do wczorajszego jak brat rodzony; w izdebce, którą zamieszkiwał lat dwadzieścia, patrzał na jedną szybę z rysą i piec popękany... a tymczasem na świecie ile doli ludzkich, i żywotów, i szczęścia rozprysło się w tym młyńskim ruchu gorętszej wrzawy....

Nieraz to sobie przemyśliwał Pukało, czemu ludzie nie starają się o ten spokój, na którym jak na wygodnej łódce przepływa się ów burzliwy ocean życia i dobija do brzegu, prawie niepoczuwszy podróży, ale — trudno mu było zrozumieć wszystko na świecie, a i pretensyi do tego nie miał.

Zaraz po ostatnich klęskach Konfederatów, napisał do niego pan Konrad, że przybędzie, i już czekano nań w Robninie. Cieszył się Pukało, że choć panicz z życiem ocalał i wybierał się z nim rozmówić o przyszłości w ten sposób, aby do dalszych niebezpiecznych wycieczek odjąć ochotę.

Robnin był co się zowie porządną posiadłością szlachecką; nie zbywało jej na niczem, rola była wyśmienita, lasu i łąk dostatek, jezioro rybne, rzeczka spokojna a wygodna płynęła doliną, zabudowania gospodarskie były fundamentalne... a i

ludzie zamieszkujący na gruntach od wieków już zespoleni z Lipińskiemi, przywiązali się do nich, i choć swych panów dziedzicznem imieniem: — Półdjable weneckie, nazywali, kochali ich przecie. Był i kościołek i plebania mała i nieopodal gościniec bity do miasta, które niezbyt odlegle leżało, i austerya intratna na trakcie, z której arendarz, też przyjaciel dworu, zwany Parnesem opłacał ze trzy tysiące złotych rocznie, nieliczące kawy, cukru i mięsa i świec łojowych, dodawanych tytułem porękawicznego. Porządny młynek rzeczny, także coś znaczył.

Nie tylko rodzice pana Konrada ludzie porządni, gospodarni, i lubiący ład przyłożyli się do zbudowania bardzo pięknego folwarku, ale i dziadowskie fantazye dały się na coś pożytecznego poprzerabiać, oprócz ruin na wyspie. Lamus wyglądał jak baszta murowana; dwór z drzewa, pruskiego muru i cegły w przybudówkach, mógłby się był nazywać pałacykiem... tak zdaleka dobrze się prezentował. Wszystko zresztą szło z nim w parze.

Chlubił się ojciec pana Konrada, że u niego chlewka nawet byle jak skleconego nie znalazł. Folwark, w którym Pukało mieszkał a naprzeciwko stara klucznica Murzynowska, tak był wygodny, że drugiemu szlachcicowi mógłby był za dwór służyć, i nie powstydziłby się pewnie.

Sąsiad Robnina, niejaki Pyszewski, poczciwy człek, ale szaławiła niezmierny, powiadał, że u

Lipińskich bydło lepiej mieszkało, jak u niego ludzie.

Słynęli też ostatni z Lippich Lipińskich z ładu i dostatku. Nie było to bogactwo, nie zwało się państwem, ale na tej jednej wsi odłużonej przez nieboszczyka Bernata, ojciec Konrada dokupił drugą dla Bolesława, zebrał posag dla Anusi i zostawił synom znaczne kapitały. Ale żyło się skromnie bardzo, wygodnie, zdrowo, a wcale nie szumnie. Pamięć starego owego co się bawił w patrycyusza weneckiego, była skutecznym przykładem. Nigdzie chleba smaczniejszego nie znalazłeś jak u Lipińskich, ale marcypana tam nikt nie powąchał. Poszło to już w obyczaj, i oba synowie byli ludzie, choć dobrze wychowani, do prostoty przywykli, do twardego życia i wielkiego porządku.

Pan Bolesław mieszkający w Kaliskiem zupełnie się wdał w ojca, ożenił, zagospodarował, roli patrzał, a było mu tego co miał, bardzo dosyć, i więcej nie pożądał. Anna też poszła w ślady matki, wydano ją za mąż, życie jej wiejskie smakowało, dziatki ją zajmowały; krętanina około apteczki bawiła ją i była szczęśliwą.

Konradowi już z młodu — choć go najlepiej lubili i ojciec i matka i Pukało i wszyscy we dworze, choć był chłopak stateczny — ale jakoś nie na hreczkosieja i domatora z oczów patrzało. Gorączka, był ciekawy, i jak to mówiono dawniej, smakował mu światek.

Ale ojciec postrzegłszy to, jeszcze gorliwiej pracował nad nim niż nad innemi dziećmi, i potrafił tyle, że z żywego srebra, jak powiadał — zrobił srebro żywe....

Po śmierci rodziców, gdy się Konrad został samiuteńki jeden w owym wielkim dworze Robnińskim, z zegarem wybijającym pomaluteńku jednostajne godziny, ze ścieszkami wydeptanemi przez starych, których zabrakło, z pamiątkami młodości brata i siostry, co się ztąd powynosili — bardzo mu się tęskno zrobiło.

Ani polowanie, ani sąsiedzi, ani gawęda z proboszczem, ani nawet ukochany Dalifur, rozerwać go nie mógł i rozweselić. Najlepiej to widział i najwięcej się tem gryzł Pukało, ale jego rady panicz nie chciał słuchać. Bywało, przyszedłszy wieczorem na kolacyą — bo obiad jadał wcześniej na folwarku lub jak tam gospodarstwo pozwoliło, a wieczerzę zawsze z paniczem. Pukało po kieliszku gorzałki, jak się rozgadał, namawiał pana Konrada na ożenek, i sam mu nawet bogdanki swatał. Ale panicz na to milczał.

— Już, dalifur, mawiał, takie życie jak to panicz prowadzi, toby się i świętemu uprzykrzyło. Cóżto teraz ten dwór, jeźli nie grób. Gdzie stąpisz to po nieboszczyku, a nie ma do kogo żywego słowa przemówić... Ale też sam Pan Bóg nakazał i przypomina, aby tu nowe życie wprowadziła niewiasta, a zaraz będzie inaczej.

— Daj mi ty stary pokój — odpowiadał Konrad, na to jeszcze czasu dosyć; a jakbym tu albo trzpiota wwiódł, coby mi do góry nogami stary dwór przewrócił, albo biedę, niepokój... pierwszybyś pewnie płakał i narzekał...

Ożenienie, ty to wiesz najlepiej, nie człowiek sam zarządza, ale Opatrzność. Jak się go zbyt zachce komu, niechże się ma na baczności, bo pewnie będzie potem pośpiechu żałował.

Ale to były słowa bardzo rozsądne, a nie ze wszystkiem szczere; wiedział Pukało, że pan Konrad nie dla tego się nie żenił aby się obawiał, ale że mu żadna do serca nie przypadała, a po głowie jakieś złotoskrzydłe latały bogdanki.

Pan Konrad lubiał po polsku i po włosku czytywać, a najwięcej czytywał poetów i od młodych lat przyplątały się mu marzenia dziwaczne... więc powszedni chleb i ludzie powszedni nie smakowali.

Tego się też stary lękał bardzo i radby go był coprędzej ożenił, aby ostudził, bo wiedział, że gdy w świat pyrchnie, nie powróci do gniazda bez złotopiórej ptaszyny. Tych to piór złotych strachał się poczciwy Pukało, myśląc, jak one często niezłotą okrywają duszę...

W sąsiedztwie panien hożych było podostatkiem, ale wszystkie szyły w krosnach, robiły sery przedziwne, piekły baby doskonałe, a żadna jakoś nie kwalifikowała się na ową boginię.

Gdy pan Konrad poszedł na wyprawę, Pukało na intencyą zdrowia jego, powodzenia i też by go tam, jak mówił, czupiradło gdzie jakie nie ułowiło, odmawiał regularnie koronkę do Przemienienia... Jakoż jednego szczęśliwego wieczora doczekał się panicza.. Ale ów żołnierz strojny, powracał z szablą w bryce, bez munduru, a co gorzej bez gniadosza. Legł poczciwy wierzchowiec od kuli. Konradowi też druga podrapała nogę ale nie szkodliwie.

Pukałę wyściskawszy w progu, panicz znowu wszedł z nim do dworu, do pustych komnat, w których tylko zapach zeschłej lawendy powkładanej od molów przez Murzynowską czuć się dawał i jakoś pustkę przypominał. Dziwnie smutno, grobowo wydała mu się ta siedziba, której każde krzesło, stół, sprzęt przypominały pogrzebanych: ojca, matkę, oddalonych: brata i siostrę. Staruszek zegar wystukiwał swe wiekuiste *memento*. Nic się tu nie zmieniło, tylko śmierć powymiatała kąty.

Dalifur rozradowany powrotem, pytał, odpowiadał sam, śmiał się, dla niego teraz dwór ożył, gdy panicz powrócił.

Ale Konrad powrócił tak smutny, przybity, zrozpaczony prawie, milczący, że się aż Pukale wkrótce też wesołości przebrało. Co otworzył usta, to z nich ból leciał i lał się, albo czarne przeczucia.

— Że nie wesoło nam, dalifur, rzekł Pukała po kilku odezwaniach się swojego panicza, no to —

prawda, ale na Boga miłego, póki człek żyw, truć się nie powinien temi myślami, które mu życie i ochotę do niego odbierają... Niechno Jegomość wypocznie, odje się trochę, rozpatrzy po gospodarstwie, a o jakiejś pracy pomyśli. Czemś się trzeba zająć... w słowach pociechy mało, ale w robocie lekarstwo jedyne. Gdybyś pan choćby wyżła służyć uczył, jużby lepiej niż tak siedzieć i stękać. — Pan wiesz jak to stary nasz Jegomość mawiał, że na żelezie, co leży w kącie, rdza w końcu porosnąć musi, a stary nóż nieustannie w robocie, to też się i świeci...

Rozśmiał się pan Konrad.

— Dajże mi robotę, mój stary nożu, rzekł z uśmiechem.

— Jak ja ją dam, odparł Pukało, to się ona dalifur, na nic nie zda. Dla człowieka praca tylko ta dobra i zdrowa, którą on sobie sam znajdzie i wyjmie ją zpod serca.

Ale młody już i nie słuchał — chodził a wzdychał.

Przesiedział tak w tej pustce miesiąc, trochę zapolował, nieco czytał, wieczorami czasem o gospodarstwo popytał, niekiedy konno się przejeżdżał, to na ganku siedząc poświstał, żeby przechadzającemu się po dziedzińcu Pukale dać wyobrażenie o swej wesołości, ale mu był z twarzy widny taki ucisk serdeczny, że się staremu aż żal młodzieńca schnącego tak marnie robiło.

Już późną jesienią, co raz chmurniejąc, rzadziej z domu wyglądając i wychodząc, pan Konrad zachorzał, a byłato choroba której i nazwać trudno, i leczyć niepodobna. Nie bolało go nic, nie umiał powiedzieć co mu było, a wychudł, zmizerniał, zbladł tak, że widocznie każdego dnia życia zeń ubywało. Ani ochoty do jadła, ani do snu chęci, ani do zabawy popędu; siedział w oknie, wzrok miał wlepiony gdzieś, bodaj w ścianę, a gdy się kto do niego odezwał, porywał się nagle przestraszony, jakby go ze snu przebudzono. Na twarzy skóra poprzysychała do kości, oczy mu błyszczały jakoś szklisto, a bez życia...

Pukale aż na płacz się zbierało; wspomniał coś o doktorze, ale się Konrad nań ofuknął, dowodząc, że był zupełnie zdrów i cale się chorym nie czuł.

Trzeba było fortelu zażyć: namówili się więc z Murzynowską, która stękając położyła się w łóżko a folwarczne konie posłano po doktora do miasteczka, niby dla niej. Obrachował się tak Pukało, aby doktor być musiał na obiedzie we dworze, panicza widział i umówił się z nim wprzódy o co chodziło. Nie było naówczas u nas prawie innych doktorów nad Niemców, ten też rodem z nad Renu zwał się Werner, i małoco, ale bardzo źle mówił po polsku, a mniej jeszcze życia naszego rozumiał. Doktor to był dobry, ale tej szkoły, która w człowieku widziała tylko mięso i leczyła mięso — sprawy ducha były dlań cale niezrozumiałe...

Co duch zbroił w człowieku, zwalało się na nerwy, a na te były też lekarstwa; i gdy nerwy spętano, że się dusza niemi posłużyć nie mogła, zdawało się, że i ona być musi zdrową.

Werner pod pozorem obiadu zaszedł do dworu, umiał nawet nieznacznie dopytać się języka chorego i pulsu, ale znalazłszy go wycieńczonym, z gorączką, po długiem badaniu, odjeżdżając, powiedział Pukale:

— To jest choroba... i to nie jest żaden choroba... jemu trzeba żonka... zabawa... wesolościa... będzie jemu zdrowa....

— To także mi nowinę powiedział za mój czerwony złoty! rzekł Pukało... niby to ja tego nie wiem, że jak będzie wesół, to nie będzie smutny. Ale jak go tu wyprowadzić z tej tęsknoty... jak mu tę żonkę sprokurować... dalifur... to sęk...

Mozolił się i kłopotał Pukało i naradzał z Murzynowską, która bardzo jakieś skuteczne ziółka uspakajające z dodatkiem szafranu zalecała... ale pan Konrad w żadne leki wdawać się nie chciał, sechł i trybu życia zmieniać nie myślał.

Rok też cały w okropnym niepokoju strawił Pukało, posyłał do siostry, ale ta dla bliskiej słabości przybyć nie mogła; dawał wiedzieć bratu, który na krótko zjechał, przerwał trochę jednostajność Robnina; ale gdy za bramę wyruszył, znowu Konrad pogrążony w myślach, na ścianę począł patrzeć.

W końcu potrzeba było nareszcie uwierzyć, czego od początku domyślała się i dowodziła stara klucznica Murzynowska, że na pana Konrada jakiś fatalny urok rzucono. Chodziło tylko o to, gdzie wyszukać baby, któraby naturę tego czaru rozpoznawszy, umiała mu go skutecznie odjąć — i żeby pan Konrad nie opierał się doświadczeniu, jakieby na niem uczynić chciano... a poddał się odczarowaniu z pokorą.

— Że to są uroki, mówiła uparcie Murzynowska, na tobym gardło dała... młody człowiek, to nie jest żadna choroba... ludzka tylko przewrotność, zemsta, nasłanie. Ale jak go tu na babę namówić!!

Pukało nawet wniosku tego uczynić się nie podejmował, tymczasem Murzynowska po baby znachorki od wsi do wsi, dowiadując się latała... ale czarownice jakoś już naówczas były rzadkie. Do drobnych posług można było znaleźć je jeszcze, nawet do zdjęcia uroku i zrzucenia go na psa... ale z pana szlachcica, żadna się nie podejmowała *odczynić* nasłania.

Już Pukało miał księdza namówić, aby pod pozorem jakiego błogosławieństwa, duchownych użył exorcyzmów, a to opętanie zdjął z niego — gdy nagle niespodziewana zupełnie zaszła zmiana.

Było to jakoś wczesną wiosną, właśnie owies siać miano i Pukało z nim pospieszał, bojąc się, ażeby rola do zbytku nie oschła, pamiętny na przysłowie — kto rzuca w błoto, ten zbiera złoto.. gdy z największem podziwieniem swem, mając siadać na stępaka, odebrał ze dworu wezwanie, ażeby niezwłocznie do pana przychodził.

Przestraszył się starowina, bo od czasu jak tak zachorzał, nigdy go pan Konrad nie wzywał, a mało kiedy nawet wieczorem się z nim rozgadał..

— Cóż to tam takiego? zapytał chłopca, który przybiegł po niego — czy nie przyjechał kto?

— Nie, nie ma nikogo, pan sam, proszę Jegomości, odpowiedział tak zwany Węgrzynek, w istocie Maciek ze wsi rodem... tylko od wczorajszego wieczora, cości panicz jakby to zdrowszy.. Trochę nawet se podśpiewuje, krząta się po pokojach, ubrał się jakoś i czupryne do góry zaczesał...

— O! o! dalifur... a to chyba cud! krzyknął stary. I zaraz stępaka oddawszy stajennemu, pospieszył.

Zastał pana Konrada w ganku, i aż mu się, spojrzawszy nań, lice też rozpromieniło.. Był ubrany, twarz miał nieco bladą ale świeżą, w oczach powrócona młodość świeciła, jakby inny, odrodzony wyglądał człowiek...

— Pan Jezus przy dziecięciu! zawołał w duchu... a cóż to się święci? I podszedł ostrożnie, a z cicha jakby się obawiał spłoszyć tę odrobinę wesela, tego zwiastuna lepszej przyszłości.

— Czy pan mnie kazał wołać? spytał udając obojętnego, choć mu serce biło.

— A! chciałem cię prosić, mój poczciwy stary przyjacielu — wdzięcznym głosem odpowiedział panicz.. miałbym z tobą co do pomówienia.

— Aby dobrego! zawołał Pukało... toć ja zawsze na usługi pańskie... choć w tej chwili chciałem przypilnować jak tam oni owies siać będą, ale niech tam gumienny idzie... On nie ma konia.. nasienia nie ukradnie przecie, a nim zabronują to i ja doskoczę...

— Siadajżeno na ławie — sam siadając, rzekł Konrad — nie napiłbyś się wódki... ranek chłodny...

— Ba! a z kim! sam wódki nie piję, odparł Dalifur.

— No, to ja do was przypiję...

— O! to z miłą chęcią...

— Wiesz co, po kieliszku staruszki... dodał, uśmiechając się młody człowiek.

— Już zgoda, choćby na vitriol... rzekł uradowany Pukało.

Węgrzynek pobiegł na skinienie do apteczki i powrócił z flaszką, chlebem, solą.. ba i z piernikiem.

Patrzał Pukało jak on też będzie pił, ale zobaczywszy, że szczerze wychylił kieliszek, aż mu się lżej na duszy zrobiło, od roku bowiem panicz nie powąchał żadnego napoju...

— To już chyba ktoś zdjął czary! rzekł w duchu...

— No, mój Pukało, będziesz ty na mnie gderał może, odezwał się po chwili Konrad.. ale już tak dłużej tu marnieć nie chcę.. trzeba mi się trochę rozruszać.. myślę w podróż się wybrać.

— A to duch święty natchnął — zawołał Dalifur, składając ręce — albożbym to ja temu oponować się śmiał. Jedź pan jedź, ino nam wesół powracaj. Czy do siostry, czy do brata, czy wreszcie choćby do Warszawy, do Krakowa... toć się pan rozerwie, a i wszystko dobrze będzie...

— Ale ba! zaśmiał się Konrad, ty myślisz, że ja na taką małą wybieram się wędrówkę?

— No? a dokądże?

— Pomyślałem sobie.. ot... zobaczę moją, a raczej moich dziadów ojczyznę Wenecyą, a ztamtąd łatwo mi się będzie i do Grobu Pańskiego, do Jerozolimy dostać.

Pukało struchłał...

— To źle, rzekł w duchu... to źle, próżnom się zawczasu ucieszył... gorszem to jeszcze pachnie niż siedzenie w domu.

Nie śmiał się wyraźnie sprzeciwiać Pukało pobożnej intencyi, wiedział że do Jerozolimy pielgrzymów jeździ siła, znał to, że się nie godziło od takiego aktu odciągać, słyszał, że książe Radziwiłł był tam Sierotka i wielu panów świeckich i duchownych, a Wenecyi też, do której jakiś instynkt

ciągnął serdeczny, nie wypadało odradzać — ale gdzie znów młodemu i nie tak bardzo bogatemu chłopcu, myślał, na taką się puszczać imprezę??

Zrazu więc zamydlił ni tem ni owem.

— A czemuż nie! czemuż nie, rzekł, tylko że to oboje, choćby i ta Wenecya, cóż dopiero Jerozolima... daleko strasznie, a podróż kosztowna... i do licha niebezpieczna... W Ziemi Świętej z pogany sprawa... z morzem, z okrętami... z fluktem niepewnym, z nawą kruchą... E! gdyby tylko intencya pielgrzymki, tobym wotował za Kalwaryą naszą albo Częstochową.

— Zapominasz o Wenecyi, mój miły, — odparł Konrad — i o tem, że ja jechać chcę właśnie dla widzenia krajów, dla poznania świata... dla...

Pukało nie dobrze i tę ciekawość i tę żądzę zrozumiał — ale jak się było opierać... nużby znów w tę niebezpieczną popadł chorobę?

— Możeć to taka podróż i nie ruina, odparł... ale zawsze... bez jakich tysiąca czerwonych-złotych ani myśleć się ruszyć... a może i drugi zaczepić wypadnie... dodał, kiwając głową.. Ono ci się to tam i znajdzie... dalifur... ale... prawdę rzekłszy... posypać to po drodze, trochę żal...

— Myślę, że się to i mniejszym kosztem obejdzie, odparł pan Konrad Dwa razy do roku albo i więcej, jakem czytał, odpływają z Wenecyi okręty do Ziemi Świętej, pielgrzymów tam jeździwa dużo i nie bardzo dostatnich... przecież się ważą

na to... no, i cali powracają. Wystaw sobie kochany Pukało, dodał z zapałem i uśmiechem, zobaczyć naszą dawną ojczyznę, Włochy, Wenecyą, morze... Palestynę i gród uświęcony przez Zbawiciela...

— Daj tylko Boże cało i jak najrychlej powrócić westchnął stary... czemuż nie! czemu nie, ale zapozwoleniem pana, nie obrazisz się gdy zapytam, zkąd to panu ta myśl przyszła...

— Nic naturalniejszego, odpowiedział Konrad, myślałem o naszej ojczystej Wenecyi... czytałem o podróżach... i ot...

Stary głową pokiwał...

— Jeźli to ma posłużyć panu, orzeźwić, dodać do życia ochoty... potrzeba natchnienia słuchać... tylko dobrodzieju mój — rzekł ciszej... jak tam z temi Arabami czy Turkami? czy bezpieczni to ludzie? czy pogany te lada kogo niezaczepiają?

— Tylko się im opłacać potrzeba... odparł uśmiechając się Konrad... w najgorszym razie, częściej obedrą, niż na życie się targną.

— No to tak niby jak i z Niemcami, zawołał stary... jeszcze to pół biedy, byle na krew chrześciańską chciwi nie byli i na nią nie czychali... a znów do kata w niewolę nie uprowadzili, bo z niej się wykupywać to i wioski mało... Wszakci to dziad nieboszczyka pana podkomorzego był u Turka w Carogrodzie w niewoli, a familia go ledwie za wielkiem staraniem OO. Trynitarzy dostała, na wagę srebra zań opłaciwszy... Jeszcze oprócz tego

co prezentów nadawali drogomanom, a co fundacyj na tę intencyą, a i pół klasztoru Trynitarzom przez wdzięczność budowali tak, że się niemal na pół wieku zrujnowali...

— O to się nie lękaj stary, — wesoło zawołał Konrad — nie ja pierwszy jadę, nie ja jeden... siła tam co roku pątników, powracają przecie cali i zdrowi.

— No, niech i tak, dalifur, niech i tak, potakując począł Pukało, teraz co do grosiwa wypadnie konferować. Co do tego krótką zdam sprawę. Jest tysiąc czerwonych-złotych tych, co się zawsze nazywały jeszcze za życia nieboszczyka ojca pańskiego *zaklętemi*, tych jabym nie ruszał. Złoto węgierskie i obrączkowe, dukat w dukat dobrane jak perły; żal żeby je było puścić marnie... Około tysiąca zbierze się różnej monety około domu, a tysiąc pożyczyłem kupcowi do Poznania tak, abym je mógł na każde zawołanie odebrać. Płacą od nich prowizyi pół procentu co miesiąc i dają kawę i cukier, człek tantny... napiszę tylko do niego, za dziesięć dni będą.

— A na Boga, pocóż mi tyle! wykrzyknął Konrad.

— No, bez okrągłego tysiąca ja pana nie puszczę — odpowiedział stary... już jak tam sobie chcecie. Gdy się jedzie w kraj daleki, między ludzi, nie można się ladajako pokazać, zwłaszcza w tej Wenecyi, bo to się tam przybywszy z Polski

należy i postawić, aby nie myślała szlachta wenecka, że my tu samym razowym chlebem żyjemy. Koło domu to tam człowieka znają i nie sądzą go z miny, ale poza krajem mieszek nabity, to najlepsze *testimonium* i *litterae passus*. Nie przystoi, aby mego dobrodzieja wzięli tam za jakąś hetkę pętelkę. No, nie pojedzieć się też, dodał stary, bez czeladzi, bez pacholika, bez dworzanina, ano człek do koni jeden i drugi, i koni też...

— Stój! stój! mój Pukało! śmiejąc się przerwał Konrad. Co znowu! co ci się śni! ja myślę lub sam jeden lub najwięcej samowtór z węgrzynkiem, i po wszystkiem. Czy to ja taki wielki pan? a teraz już i nie te czasy; konie mi żadne potrzebne nie są, przyborów nie wiele; te więcej ciężą niż pomagają.

— A! no, to jak wy tam sami rozporządzicie — szepnął Pukało — przecież w taką drogę tak z kopyta ruszyć niepodobna, trzeba się przygotować. Obmyślimy wszystko, a ja do mojego Kasperowskiego dziś jeszcze o dukaty napiszę.

Poskrobał się stary po łysinie, bo mu się żal zrobiło onych zapaśnych tysiąca czerwonych złotych, ale pocieszył się w duchu, mówiąc sobie: Pal ich djabli, aby panicz był zdrów a nie nudził się, dałbym i dwa. To się odrobi... aby życie i siła...

Piorunem poszły przygotowania do podróży, bo raz myśl tę powziąwszy, gorączkował się Konrad, chodził, napędzał, spieszył, aby co najprędzej wy-

ruszyć. W tydzień istotnie Kasperowski złoto owe z Poznania przywiózł, a choć były między niem i obrzezańce, w ogóle jednak nie złą wagę trzymały. Pięćset najdorodniejszych, tłustych, tuczonych, jak mówił stary; karmionych, dodawał Kasperowski, opieczętowano osobno, na ostateczny jakiś wypadek, gdyby już jaka bieda przyszła. Trzos uszyto umyślnie zamszowy, mocny; Murzynowska bieliznę, suknie, niektóre kordyały nieodzownie w drodze potrzebne zbierać poczęła. — Sam Pukało dobierał suknie, pasy i w czemby się przystojnie okazać można, koniec końcem, rupieci się aż do zbytku wiele nazwłóczyło, bo ludziom co mało po świecie się kręcili, wszystko zdawało się bardzo potrzebne. Chcieli nawet koniecznie namówić panicza, aby wziął kołdrę, łosią skórę i poduszek choć ze dwie, ale temu się stanowczo oparł Konrad, i kontentował jedną skórą.

Wszystkie te węzełki, puzderka, sepeciki, sakwy byłyby objuczyły wielbłąda, ale Murzynowska i Pukało zaklinali się, że bez tego stąpić za próg nie było można. Klucznica nie wyobrażała sobie nawet, aby bez domowej mięty pieprzowej i melisy puścić się w świat godziło. Trudnoż było nie mieć flaszki wódki w zapasie, trochę chociażby wędliny, kawałka sera z kminkiem i słodkiej jakiejbądź przekąski....

Pukało ledwie się zgodził na to, aby na jednym poprzestać węgrzynku, myślał dać starszego i sta-

teczniejszego sługę; ale chłopak się panu do nóg rzucił i wypłakał, że go wzięto.... Tak mu się chciało grób Pański oglądać!

Ten węgrzynek, w istocie jak mówiliśmy, prosty Maciek dla czego się węgrzynkiem mianował nie było dobrze wiadomo, to pewna, że w Węgrzech się nie urodził, i ani ich powąchał... Węgrem był domowego chowu, tyle tylko, że go ubierano z węgierska. Czupurny malec, wesół, roztropny, odważny, wygadany był, jak to dawniej mawiano... ciekawy bardzo. Sam się czytać prawie nauczył i do książek się rwał strasznie, był też do panicza swojego przywiązany bałwochwalsko; wadę miał przecie jednę, lat siedemnaście, a z tej przyczyny niesłychanie czułe serce dla płci niewieściej, za którą szalał. Opłacało mu się to nieustannemi kłopotami, guzami nawet i tysiącem nieprzyjemności, ale cierpiał wesoło i wcale się tem nie zrażał.

Zwrócił uwagę pańską na ten defekt węgrzynka Pukało, ale pan Konrad się rozśmiał i ramionami ruszył.

— Za granicą — rzekł — nie znając języka, trudno mu będzie wdać się w jakie miłosne konszachty...

— Ale ba! odparł Dalifur — to takie stworzenie zajadłe, że się gotów pannom na migi oświadczać, ale ja go zreflektuję na odjezdnem tem — dodał — że mu przyrzeknę pięćdziesiąt odlewanych, jeźli mi najmniejsze głupstwo zrobi.. A że

ojciec jego nieboszczyk przelał na mnie swą władzę umierając, dotrzymam święcie.

Węgrzynek wysłuchał wprawdzie tej obietnicy wyszczerzając zęby, ale go ona nie ustraszyła.. szczęśliwy był, że jedzie z panem, tak że gdyby mu Pukało *anticipative* wypłatę należności zaproponował, byłby ją przyjął, byle jechać.

Nadszedł nareszcie wielki dzień rozstania, pakunek jeszcze się zwiększył troskliwością sług a roztrzepaniem węgrzynka. Rano do kapliczki dworskiej przybył ze mszą świętą pleban staruszek dla pobenedykowania na drogę pobożną tego, któremu błogosławił już raz, gdy na świat przychodził.

Cały dwór przytomny był temu obrzędowi uroczystemu, a stary Pukało spłakał się biedaczysko myśląc o niebezpieczeństwach, które czekały panicza, choć mu ks. pleban starał się wytłumaczyć, że elementa straszniejsze są od ludzi, bodaj pogan, nawałnice groźniejsze od Arabów i Turków, choroby zjadliwsze nad węże i padalce. Skutkiem trafnych tych perswazyj proboszcza było, że głowę sobie nabił stary i morzem i burzą i ludźmi i chorobami i padalcami razem.. a więcej się jeszcze trwożył niż wprzódy.

— Żeby przynajmniej mnie z sobą wziął, mówił Pukało.. jabym mu jakoś rady dawał.. tylko, że któżby tu znowu bezemnie gospodarzył?

Przeżegnany, opłakany, ale z myślą rzeźwą, z ciekawością wielką widzenia dziadowskiej ojczyzny

i krain dalekich, wyruszył Konrad ku nieznanym krajom, a we wrotach Robnina Pukało, Murzynowska, ks. pleban, czeladka, nawet psy podworzowe długo stali patrząc na tuman kurzu, który pędził drogą i nareszcie znikł im z oczów.

Zapomnieliśmy dziś, jak się to ongi podróżowało, mamy ułatwień tyle, że dawnych trudności dziś jakoś i pojąć nie umiemy.. Ale kto się choćby teraz puszczał na mało uczęszczane drogi, w pustą Kalabryą, po wybrzeżach Elby i Korsyki, choćby w Abruzze lub inną okolicę, której nie przerzynają gościńce, na których jeszcze nie czatują oberżyści, ten nocując pod gołem niebem, żyjąc spleśniałym chlebem i zgęstniałem winem powziąłby wyobrażenie, czem były wędrówki za dawniejszych czasów, gdy niezbrojnemu i w niewielkiem towarzystwie puścić się nawet nie było podobna, a ciekawość lub nieopatrzność często się zdrowiem i życiem opłacało.

Nie było już tak bardzo źle po wielkich traktach w końcu XVIII wieku, i tam gdzie poczty same lub pod eskortą siły zbrojnej chadzały, ale na uboczach podróżny samotny musiał się dobrze oglądać, wzbudzał bowiem apetyt nawet w ludziach zwykle na cudze kieszenie i życie niełakomych.

Za to podróż była nierównie więcej zajmującą, niż teraz, gdy innego przypadku nad pęknięcie

kotła lub wywrócenia wagonów i skręcenie karku prozaiczne, spodziewać się nie można... Spotkania, znajomości, awantury niezmiernie urozmaicały wędrówkę; wszystkie niemal romanse stare na gościńcach się poczynają, ciągną i rzadko gdzieindziej kończą jak w gospodzie.

Dla zadomowionego człowieka, który świat nieco był sobie przywykł wyobrażać na wzór swojego kraju, nowe strony nieco się musiały wydawać dziko. Węgrzynek ledwie za granicę wyruszywszy i śmiał się i dziwił i narzekał i aż prawie od rozumu odchodził. Najwięcej go to niecierpliwiło, że powszechnie ludzie szwargotali niezrozumiałemi językami, z których nic dojść nie było moża.. i że mowa polska nie była tak powszechnie znaną, jak sobie wyobrażał.

Pan Konrad o to przynajmniej kłopotu nie miał, mówiąc nie źle po francusku, *expedite* po łacinie i po włosku, a nawet odrobinę po niemiecku. Ostatnim z tych języków, gdy był zmuszony dłużej mówić spluwał potem, jakby sobie czem niedobrem usta pobrzydził.

Po Europie naówczas jeszcze z francuszczyzną a z łaciną łatwo było można wędrować.

Na Szląsku byli jak w domu, przejeżdżając Czechy, węgrzynek utrzymywał, że i tam po polsku mówiono, ale jakimś spieszczonym językiem. Dalej wpadli w niemiectwo, a dojechawszy do Wiednia, chłopak już tylko na migi rozmawiał.

Nim ztąd do Tryestu potrafili się dostać przez ogromne góry, nadziwił się ich urodzie i wielkości, nastrachał przepaści, które mu się po nizinach i równinach przeraźliwie ogromne wydawały... a dopieroż gdy zobaczyli morze... otworzył gębę i stanął jak wryty.

Ta woda bez końca i pływające po niej łupiny od orzechów, myśl, że się w kruchej łodzi przyjdzie puścić na te bezdenne obszary przepaści — odjęła odwagę chłopakowi i zmusiła go prawie żałować, że spokojny kąt, w Robninie za piecem, tak lekkomyślnie i porywczo opuścił.

Pan Konrad był wesół, w najlepszym świecie humorze, radował się wszystkiemu, znosił niewygody heroicznie, a zajmowała go najmniejsza rzecz do tego stopnia, że się aż zapominał. Węgrzynek często go za rękaw pociągnąć musiał, aby godzinę spóźnioną przywieść na pamięć.

Już w Wiedniu pan Konrad bardzo się począł przypatrywać niewiastom, wyglądającym nieco żywiej i fantazyjniej od tych, które dotąd spotykał, ale niemieckie owe pulchne a białe piękności, choć na młodego chłopaka oczyma niebieskiemi rzucały, jeszcze mu były za flegmatyczne, za nadto do ziemi zdawały się przyrosłe.

W Tryeście jeszcze Włoch tak prawie jak nie było, włościanki z okolic, gdyby nie osiołki, na których na targ przyjeżdżały, przypomniałyby mu domorosłe wieśniaczki, nawet nieco językiem.. ale

tu już przecie na okręt przyszło siadać i do Wenecyi płynąć. Biło serce coraz żywiej Konradowi do starej dziadowskiej ojczyzny...

Nie było pogotowiu innego statku nad jedną barkę kupiecką kapitana Weneta, powracającą od Wschodu, która do Wenecyi odpływała; na tę się tedy wybrali podróżni nasi, gdy przyszło życie zdradliwemu powierzyć żywiołowi, znacznie spoważniawszy oba.

Statek ów, który się zwał *Padre Antonio*, spory był i pokaźny, ładowny kupią, którą wiózł ze wschodu. Burza go była zmusiła szukać chwilowo przytułku w porcie, z czego korzystając zabierał nieco podróżnych z sobą. Ale już na pokładzie ledwie było cokolwiek miejsca wolnego zostało, towary, ludzie, skrzynie, powrozy, różna gawiedź w liczbie wielkiej go zalegała.

Zgodziwszy się z owym kapitanem Wenecyaninem, który mimo polityki usługę swą wyświadczoną podróżnym na cekiny dobrze obliczyć potrafił, Konrad na łódkę zabrawszy pakunek i węgrzynka, puścił się, polecając się Matce Miłosierdzia, do statku.

Jeździł ci to i on i węgrzynek jego nieraz po jeziorze w Robninie, ba, i po Gople — ale tam się nigdy woda tak nie ruszała jak tutaj. Rzekłbyś, że ją kto w kotle warzył. Zdawało się, że co chwila łódka się ochynie i zanurzy, słone wody pluskały w twarz, a trzymać się potrzeba było dobrze za burt, aby nie wylecieć.

Statek szczęściem nie zbyt odlegle stał od brzegu, i ta krótka pierwsza przeprawa poszła szczęśliwie. Wdrapał się chłopak na okręt po drabince jak kot. Pan Konrad też dosyć zręcznie; rzeczy powciągano bez szwanku, a na szerszym pokładzie i serca przybyło. Zdawało się też jakoś bezpieczniej.

Gdy rzeczy w kątku złożono, siadł węgrzynek na tłumoczku i począł się rozglądać po okręcie, a było się też czemu przypatrzeć; i Konrad też ciekawie oczyma strzelał, bo dla nich wszystko to było nowem.

Okręt płynął aż z Carogrodu, a po drodze do różnych portów przybijał, nabrał też i wędrowców siła wszelkiego rodzaju, począwszy od tych, co do czyściejszego miejsca mieli prawo, aż do biedaków pościskanych na dnie i na tyle okrętu.

Twarzy ogorzałych, zawojów zbrukanych, strojów dziwnych było podostatkiem.

Kapitan nie stary jeszcze człowiek, ale obeznany z morzem i bywalec, wesołego usposobienia, czuwał pilno nad swym statkiem, a gdy mu się wypocząć godziło, brał za gitarę i podśpiewywał, albo z podróżnymi baraszkował. Mężczyzna wzrostu tęgiego, barczysty, ogorzały od słońca i morskich wyziewów, wyglądał po troszę na korsarza, choć nie zabawiał się tem rzemiosłem, i uczciwie towarem handlował. Z *Doganą* czasem miał małe zatargi, ale to była domowa sprawa.

Oprócz niego obfite było towarzystwo i urozmaicone: dwóch brudnych Turków, którzy podesławszy

sobie kilimki siedzieli z nogami pod się pokurczonemi i palili fajki, nieustannie im nakładane przez małego murzynka, bardzo zwinnego chłopaka; dwie Turczynki zawinięte w muślin i okryte rodzajem namiotu, aby ich ludzkie nie dopatrzyło oko; kilku czarnych, ogorzałych Greków z nożami za pasem, i — co niezmiernie dziwiło węgrzynka — w białych spodnicach; kilku Włochów, dwóch naostatek bogatych Żydów, którzy na uboczu obstawiwszy się swojemi pakami, siedzieli osobno.

Był i braciszek kapucyn chudy niezmiernie, bosy, w habicie łatanym, łysy zupełnie, który sobie w kątku się modlił.

Gdy kapitan obliczył się, że mu już nikogo nie brakło, dano znak do odjazdu. Wiatr był pomyślny i obiecywał statkowi podróż niedługą, łatwą, ponad brzegami ciągle tak, że prawie lądu z oczów tracić nie mieli. Pogoda też po gwałtownej burzy ustaliła się prześliczna, powietrze było wonne, świeże, chciało się je pić i łykać piersią pełną... Widok na sino-zielone fale zachwycał. Zakołysał się wkrótce okręt po wyrwaniu kotwic, rozpięto szeroko żagle; powiał w nie wiaterek lekki.

Padre Antonio unoszony falami pędził już z dobrą myślą ku królowej Adryatyku....

Już się byli nieco odsunęli od brzegów i tryesteński amfiteatr wzgórzów piękną ich oczom malował się panoramą, gdy zpod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z ha-

łasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych.

Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły, Turcy podnieśli zwieszone głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarze, węgrzynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie.

Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo nie ziemsko wyglądające? — Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwacznie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało.

Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryx Cenci w jednej z galeryj rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobniutkie regularne rysy niezmiernego wdzięku, któremi się uśmiechała mała czarownica.

Usteczka jej rumiane podobne były do rozkrojonej wisienki, czy do dwóch świeżych róży listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistemi strzałami, płeć białą jak śnieg, włosy.. no! włosy — niestety! — były rude. Nie była to jednak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś nakształt bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana; drogi ten kolor Wenecyankom ulubiony, które

go sobie nadawać umiały sztuką, jeśli poskąpiła im tej ozdoby natura.

Na dziewczęciu wszakże znać było, że sobie główki nie wypiekała na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy, które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak że zdawały się ciężyć małej główce, którą opasywały kilkakroć węzłem wielkim misternie uplecionym spadając na pulchny karczek biały.

Dziewczę ubrane było niewiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach pantofelki żółte złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie, na to rzucona sukienka z muślinu, potem płaszczyk cięższy aksamitny galonami bramowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik rozpięty, szyty bogato i pas z fręzlą złocistą spływający do kolan, i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczów, a na szyi łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo.

Znać było, że się czuła piękną, i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obudzi, bo się jakoś zaraz zwycięzko obejrzała do koła i z uśmiechem zwróciwszy się do kapitana, spytała go włoszczyzną wenecką, wskazując na Konrada, coby był za jeden.

— *E un signore polacco*...

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekawiła dziewczę, które śmiało podeszło bliżej do Konrada, wziąwszy się jedną ręką w bok i poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Mówiliśmy już, że Konrad był bardzo przystojnym młodym mężczyzną, rycerskiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, nie wypadało mu też ladajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał na sobie suknię z węgierska adamaszkową z pętlicami złotemi, a na niej płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał, czapkę z czaplem piórem, szablę piękną u pasa, i turecki szal zamiast zwykłego przepasania.

Twarz jego smutna, poważna, zamyślona, oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły zeń piękny wzór dla malarza. Dolabella byłby go mógł pochwycić na jeden z tych szkiców, których tyle na papier wyrzucał.

Dziewczę zdawało się to uznawać, bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał można powiedzieć od jej wzroku. Gdyby chwilę dłużej, byłby go może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi biła i głowy, a rumieniec krwawy oblewał całego. Nie wiedząc co z sobą robić, bo mu i ręce zawadzać zaczęły i nogi drżeć i suknie dolegać, sięgnął ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie.

Dziewczę widać samo zrozumiało, że sobie tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło i rozśmiawszy się pierzchło ku kapitanowi, który z boku poglądał wesoło na to stworzeńko kapryśne, ale nie okiem kochanka... raczej troskliwego ojca i opiekuna

Sarneczka poczęła potem przebiegać pokład, przeskakując liny, paki, wymijając siedzących, przypatrując się nieznajomym twarzom, uśmiechając się do jednych, krzywiąc na inne, jak pieszczone dziecię, któremu wszystko wolno.

Przybiegła do namiociku Turczynek, odchyliła oponę, włożyła główkę, coś poszeptała, rozśmiała się głośno i znowu poczęła skakać po pokładzie.

Węgrzynek, który aż był wstał, wodząc oczyma za tem zjawiskiem, pociągnął z lekka za płaszcz swojego pana i zapytał go:

— Co to to jest, proszę jegomości? Czy to kobieta? czy... tak sobie.

Konrad się rozśmiał, niedziwiąc się pytaniu, bo istotnie dziwowisko to było prześliczne, cudowne, a niełatwo określić się dające — tak sobie

— To dziecko! rzekł do węgrzynka...

— Dziecko! a jakiegoż to narodu? cicho zapytał chłopak, oczów oderwać od niej nie mogąc.

— Narodu? ano Włoszka i Wenecyanka pewnie być musi, odparł Konrad.

— Ot! ot! półdjable weneckie też! rzekł w duchu Maciek... ale chyba cały djabeł!

Dziewczę obiegłszy statek powróciło na środek, zbliżyło się do kapitana jakby szukając u niego opieki, ale twarzą zwróciło ku Polakowi i zapatrzyło na niego dłużej i poważniej.

— Cazità! szepnął Włoch do niej, nie patrz-że się tak na tego młodzieńca, bo gotów oszaleć...

— O! kiedyż bo mi się bardzo... bardzo podobał, śmiało odpowiedziała dziewczyna... jestem nawet pewna tego, że i ja mu się też musiałam podobać bardzo... bardzo...

— Cóż dziwnego? z lekka klepiąc ją po ramieniu, rzekł kapitan — a komużbyś się ty nie podobała? miły ty mój szatanku! Ciebie i twoje oczy potrzebaby chować jak bazyliszka, żeby ludzi nie zabijały.

— Mój ty miły — odparła dziewczyna — czyż ja zabijać mogę? ja co w życiu jeszcze nikogo nienawidzieć się nie nauczyłam, bo mnie wykołysała miłość... a tak mi dobrze było zawsze, że dałabym szczęście całemu światu, aby wszystek ze mną śpiewał...

Kapitan wciąż na nią patrząc uśmiechał się czule, nareście powoli usta zbliżył do białego jej czoła i pocałował ją... prędko łzę ocierając, która się na męzkiem oku znalazła.

— Taką była poczciwa, śliczna, dobra, kochana matka twoja... i tak nam z nią na świecie dobrze było, ale Pan Bóg mi jej pozazdrościł i wziął ją do swoich niebios...

— Wszak my się tam kiedyś wszyscy razem znajdziemy, szepnęła Cazitá — nieprawdaż? Matka Boska, przed którą lampę palę co Sobotę, wstawi się za nami, złego nie robimy tak bardzo wiele... a Pan Bóg dobry i łaskaw... my pobożni i prawi chrześcianie... nieprawdaż? Ja ufam, że Matka Boska z otwartemi rękami wyjdzie przeciwko nam...

Kapitanowi znowu łzy kręciły się po powiekach, pocałował córkę.

— Nie mówmy o tem — rzekł cicho — nie mówmy... patrzajno lepiej... jak piękne to morze nasze.

— E! morze! znam ja je dobrze, odpowiedziało dziewczę... wszakżem się to ja z szumem jego oswoiła jeszcze w kolebce... przez cały ten czas cośmy w Tryeście były z ciotką chodziłyśmy ciągle na brzeg albo na wschody katedry i pasłyśmy się tym widokiem, za którym tęskno nam było, wyglądając *Padre Antonio.* Ale tu morze wydawało się nam inne niż w Wenecyi, tameśmy je wzięli w niewolę, a tu ono szumi swobodnie, i śpiewa, i ryczy, i śmieje się i gniewa... o! miły Boże! gdyby żywy człowiek...

— Ojcze, dodała ciszej, zwracając ku niemu twarzyczkę... pozwól ty mi popatrzyć na tego Polaka... nie widziałam jeszcze Polaka nigdy, nigdy, a ten jest bardzo ładny! Gdyby zagadać do niego, jakimby on mówił językiem?

Kapitan się uśmiechnął.

— Gdybyś ty doń przemówiła dziewczyno, rzekł, zrozumiałby po włosku i po włosku odpowiedział... tobie cudów dokazywać nie trudno.

Cazità rośmiała się, patrząc mu w oczy.

— Umie po włosku? zapytała cicho. Kapitan nie chciał znać odpowiedzieć ani przecząco ani potakująco, milczał.

— Chodź ty ze mną, odezwała się, będę śmielsza, ty za mnie przemówisz do niego, chcę tylko posłyszeć dzwięk jego głosu... jestem ciekawą, bardzo a bardzo ciekawą... a taką mam naturę, że człowieka nie znam póty, póki mi głos jego nie zaszemrze w uchu i nieodbije się w sercu... głos więcej mówi niż słowo...

— Ale na cóż ci go bliżej poznawać, przerwał jej ojciec ze smutkiem, jutro ci z oczów zniknie ta twarz smutna, i zapomnisz o niej. Tak w życiu naszem przesuwają się ludzie jak te fale szumiące, musną, zaszumią i okręt je minie, a fala o brzeg się rozbije gdzieś daleko.

— Nie chcesz? spytała tęsknie.

— Chodź, rzekł kapitan... chodź, tobie nic odmówić niepodobna... I prowadził ją za sobą ku Konradowi, który ujrzawszy ich zbliżających się ku sobie, poczerwieniał znowu i mocno się zakłopotał.

Gdy stanęli przed nim, sama grzeczność wymagała ukłonu, zdjął więc kołpaczek z czaplem piórem i pozdrowił dziewczę milczące, które się weń wpatrywało jak w tęczę.

— To córka moja, począł kapitan trochę połamaną włoszczyzną, w której wenecki dialekt, i mieszaninę różnych języków czuć było... Znalazłem ją wypadkiem trochę w Tryeście i odwożę do Wenecyi. Dziecko, jak widzicie, jeszcze trzpiotowate, a już ciekawe podwójną ciekawością dziecka i kobiety...

Otóż się wam przypatruje, bo Turków już widziała dużo, Greków dosyć, nawet Francuzów i Tedesków, ale z waszego narodu goście u nas rzadcy.

Pan Konrad zdawał się zbierać trochę na odpowiedź i z podziwem wielkim Cazity, rzekł wreszcie czystą toskańską włoszczyzną, ślicznie brzmiącą w jego młodych ustach...

— Jestem Polakiem i zarazem Włochem, rzekł zwolna... a szczycę się tem, że należę do szlachty weneckiej i polskiej zarówno... widzicie więc we mnie Signorino istotną osobliwość, bo polaka-włocha... a ja w was, dodał, większe daleko cudo, bom takiej piękności jakom żyw i nie oglądał i nie marzył...

Cazità słuchała cała drżąca, zarumieniona, z biciem serca... ale już słów na odpowiedź nie znalazła, stała się nagle trwożliwą, prawie smutną, głos, który tak usłyszeć pragnęła, niezmiernie głębokie, prawie bolesne uczynił na niej wrażenie...

Spojrzała z jakimś strachem na Konrada i nieśmiało wyrzekła po chwili:

— Jedziecie do Wenecyi... a! zobaczycie tam daleko, daleko piękniejsze nademnie... i żywe signory na gondolach i nieśmiertelne na obrazach naszych mistrzów... od tych pewnie oczów nie oderwiecie.

— Choćbym najcudniejsze widział, odparł grzecznie Polak, pierwszej Wenecyanki widzianej w życiu do śmierci nie zapomnę.

Cazita bardzo była zaczerwieniona i skłopotana, bawiła się fręzlą swojego płaszczyka, z pod długich rzęs kilka razy rzuciła nań oczyma czarnemi, uśmiechnęła się dziękując, ale ojciec ją odciągał i sama czuła się dziwnie zmięszaną... pożegnała go więc lekkim ukłonem... Ale żegnając, zdrajczyni jeszcze raz wpoiła w niego wejrzenie, a co mu niem powiedziała nieopatrzna, o tem prócz Konrada nikt, nawet kapitan, nie wiedział.

Zrozumiał tę mowę biedny młody człowiek, bo się nią upił odrazu, potarł ręką po czole, jakby chciał oprzytomnieć; a gdy znowu tęskne oczy podniósł ku niej, kapitan i jego córka znikli.

Szmer tylko jej sukni posłyszał za sobą, i dźwięczny, cichy uśmieszek dziewczęcia.

W tem węgrzynek za płaszcz go pociągnął.

— A! panie! panie! zawołał, jeszczem też jakom żyw podobnej kobiety nie widział. Żeby człowiek umiał, toby ją sobie namalował, aby się na nią nieustannie patrzeć.

Konrad uśmiechnął się tylko.

Statek gnany wiatrem pomyślnym, wydąwszy szare żagle, ślizgał się po falach morza, jakby igrając z niemi; słońce złociło zielone wód bałwany, obwieszając je strzępkami złotemi... w oddaleniu to płaskie to najeżone górami jakby z chmur tkanemi śniły się wybrzeża, malując barwami powietrznemi... widok był zachwycający.

Na statku panowała cisza, ledwie przerywana rzucanemi niekiedy rozkazami kapitana i wykrzykami majtków.

Cazità znikła była, wsunęła się do namiotu kobiet tureckich i bawiła się temi spowitemi w białe obsłony mumiami, usiłując z ust ich zakwefionych dobyć jakie słówko. Znudzone Turczynki równie ciekawe a rade jej, uśmiechały się, przypatrując się dziecku, które brały za jakąś almę. Dwaj Turcy z za dymu fajek poglądali ku namiotowi, zpod którego opony maleńkie nóżki Cazity w pantofelkach żółtych migały się dziwną pokusą. Oba cmokali ustami i głowami kiwali ku sobie znacząco. Z namiotu szalone śmiechy słyszeć tylko było.

W tej chwili z pod pokładu, od wschodków wiodących do izby kapitana, ukazała się niespokojna głowa kobiety, która w innym rodzaju ale nie mniejsze mogła uczynić wrażenie nad pierwsze zjawisko.

Głowa ta, której oczy zdawały się czegoś szukać po pokładzie, należała widocznie do podżyłej niewiasty, która może niegdyś była piękną, ale teraz stała się po prostu okropną.

Podobnych spotyka się wiele i w Wenecyi i po całych Włoszech, gdzie kobieta dojrzewa prędko, starzeje wcześnie i brzydnie niesłychanie. Zdaje się, że za karę może, te, które słynęły niegdyś z piękności, stają się potem najpoczwarniejsze.

Ciotka Cazity, jakkolwiek blisko spokrewniona z tą znakomitą pięknością, nic a nic do niej nie była

podobną. Na szerokich ramionach i karku grubym, pofałdowaną okrytym skórą, osadzone było to oblicze olbrzymich rozmiarów, kolorytu niepewnego, ciemnego, a rysów do zbytku wyrazistych.

Czarne niegdyś, krucze włosy pani Anunziaty, których część uciekła a reszta wysiwiała, ułożone były dość niedbale, niepokryte niczem, ledwie z tyłu szpilką przetknięte. Wichrzyły się one w nieładzie wcale niemalowniczym. Duży nos, usta grube, cała dolna część twarzy porosła jak u dwudziestoletniego młodzieńca puchem czy mchami, okryta skórą zmarszczoną i dziwacznie pokrajaną, składały fizyognomią wybitną, niemiłą, chociaż wyraz jej dobrocią i łagodnością uderzał, tem dziwniejszą im mniej spodziewaną na takiem obliczu.

W Wenecyi i Tryeście, gdzie pani Anunziata miała krewnych, utrzymywało się dotąd podanie o wielkiej i wspaniałej jej piękności, ale historye opowiadane o tem, sięgały lat już dwudziestu kilku. Ślady tych wdzięków pozostały chyba w oczach czarnych wspaniale oprawnych, ale których wyraz wiele przygasł. W tej chwili właśnie, oczy te niespokojnie biegały szukając czegoś czy kogoś. Naostatek usta zniecierpliwione poruszyły się i tubalny głos odezwał:

— Cazità! Cazità! Cazità!

Za każdem powtórzeniem rosnął on, potężniał i stawał się niecierpliwszy.

Zpod opon namiotu jak ptaszę furkające z gniazda, wyleciało dziewczę, śmiejąc się, przeskoczyło

gruby zwój lin okrętowych, i nie zatrzymało aż na brzeżku nad samą głową Signory Anunziaty, którą zjawieniem się swem widocznie rozpromieniło.

— Patrzę na pokład, po kątach, wszędzie — po skrzynkach, po dziurach, a nie mogę tego trzpiota znaleźć, zawołała Ciotka, grożąc palcem po nosie. E! ty bałamucie jakiś niegodziwy; aż mi się serce ze strachu ścisnęło... niewiedziałam gdzie cię szukać.

— Ależ Ciotko Anunziato, śmiejąc się odparło dziewczę, jeszcze w Tryeście, gdym wpadła do ogrodu Signory Maryi, mogliście się trwożyć o mnie; ale tu... cóż mi się tu stać może na tym ciasnym statku, gdzie oko ojca czuwa nademną?

— Co ci się stać może! powtórzyła Anunciata, albo ja wiem, czego się ja boję; dosyć, że byleś mi z oczów znikła, lękam się o ciebie, nawet tu.. nawet tu. Ot tak!

Rozczuliła się stara i uczuła potrzebę otrzeć rozczulenie fartuchem.

— Patrzajno, dodała zwracając rozmowę, już dobrze z południa, możeby się co zjeść dało... hę? powietrze morskie zaostrza apetyt. Zapytajno ojca, i on może nie od tego.

E! e! mnie się wcale jeść nie chce, szepnęło dziewczę, i chcąc być bliżej ucha ciotki, przypadło na pokładzie, a nachyliwszy się nad starą, mówić poczęło:

— Ciotko Anunziato, czyście wy kiedy widzieli Polaka?

— Polaka? nie; zdaje mi się, że nigdy, odpowiedziała Ciotka. Był jeden w Wenecyi niedawno, mówią, że bardzo bogaty, co zamiast pieniędzy woził z sobą cegły złote, ale mi go nie pokazali... *)

— Otóż ja wam innego pokażę, szczebiotała Cazità. Jest tu jeden, i taki piękny, ciotko Anunziato, taki piękny, że się na niego nie mogę napatrzeć.

Ciotka z oburzenia nad tym bezwstydem aż splunęła, uderzając dziewczę po rękach.

— Wstydź bo się ty jakaś.. Już ty mi szukać będziesz oczyma i wybierać pięknych mężczyzn! patrzajcieno ją! dam ja ci: ho! ho!

— Ciotko Anunziato — śmiejąc się wcale nieustraszona groźby temi, mówiła Cazità — Ciotko Anunziato, otwórz dobrze oczy... patrz, tam, za mną, na pokładzie w lewo... dalej, dalej, stoi mężczyzna w czapce z piórkiem. Powiedzże mi, jak kochasz Madonę, czy nie piękny?

Ciotka przechyliła się nieco, podniosła się nawet o jeden wschód wyżej, grube swe ręce wsparła na pokładzie, przymrużyła powieki, dojrzała nareszcie czaple pióro, i aż westchnęła biedna.

— Przystojna bestya... ale to pewnie heretyk, dodała chcąc Cazitę odstręczyć. Ci obcy ludzie, zwłaszcza od północy, w piątek mięso jedzą, i do Matki Boskiej nigdy się nie modlą.

---

*) Książe Radziwiłł.

— Ale ten to co innego, Ciotko Anunziato, pochwyciła Cazità, to jest Polak i Wenecyanin razem, jego przodkowie wyszli od nas... tak, tak, sam mi o tem mówił, najpiękniejszą włoszczyzną w świecie.

Ciotka aż ręce załamała.

— Patrzcie ją! niegodna, bezwstydna... toś już z nim gadała!

— Ciotko, śmiała się Cazità, chodziłam z ojcem... ojciec był przy rozmowie...

— Stary dudek... szeptała ciotka... ale dziewczę nie zdawało się słuchać, i dodało szybko...

— Wypytywałam ojca o Polaków, są dobrzy katolicy jak my, nawet mówił mi ojciec, że u nich Królową całego kraju jest Matka Boska.

Anunziata pokiwała głową niedowierzająco.

— Może to i być zresztą, rzekła — wiesz przecie że Signoria i lud, Chrystusa Pana dawno ogłosili królem Florencyi... ale nie wiem czy oni są katolicy!!

— O! niezawodnie! niezawodnie, spiesznie dorzuciło dziewczę, ale jakże się on wam wydaje? powiedzcie?

— At, niczego! niczego sobie, kiwając głową rzekła Anunziata — ale widziało się piękniejszych; nieboszczyk Doża mojego czasu, kiedy go obnosili koło Prokuracyi po placu św. Marka... o, to żebyś była widziała jak wyglądał! No a tak potem zestarzał... ot, jak i ja!

Westchnęła Anunziata. — Co ta piękność w człowieku znaczy! nie warta cekina... dziś jest, jutro po niej ani śladu...

— Słuchaj ciotko Anunziato, poczęła szczebiotać mała zarzucając jej ręce na ramiona... piękność coś znaczy, mówi... Pan Bóg ją dał nie nadarmo... z rąk Bożych wychodzimy wszyscy pięknymi... a świat nas męczy, męczy, aż się oczy wypłaczą i usta wykrzywią...

— Zkąd ty to bierzesz co mówisz? odparła ciotka... Czemu mnie to do głowy nie przyjdzie? Utrapione dziecko, mózg tak sobie temi myślami wysusza. Oto chodź, nie patrz, nie myśl... a dam ci ryby, bułki, sera... zjesz, i będzie ci z tem zdrowiej!

Miała posłuchać Cazità rozkazu, gdy ciotka zawołała podnosząc głowę.

— Capitane Zeno!

Kapitan wydawał rozkazy, ale odwrócił głowę do dobrze znanego mu głosu.

— Cóż tam każe Signora Anunziata?

— Każę, każę iść jeść, głód na morzu nie dobry, a i wina szklanka ci nie zawadzi...

— A cóż ci podróżni jeść będą? zapytała Cazità.

— Muszą tam mieć z sobą coś w sakwach, a co nam do tego? żywo odparła ciotka, przecież nie godzili się o jedzenie. Jeźli im głód dogryzie, niech poproszą i zapłacą... to są ludzie, których pieniądze już przeznaczone na to, aby się rozsypały po

drodze, lepiej żebyśmy je wzięli, niż kto inny. — *Ecco!*

— A ja wiem, szepnęła cicho, ale żywo Cazità, że ojciec mi pozwoli zanieść polsko-weneckiemu szlachcicowi *fiascone* wina a choćby sera i chleba...

— Nie pozwolę, nie, rzekł śmiejąc się kapitan, ale mu je sam zaniosę.

— A czemuż nie ja? spytała córka.

— Dla tego, dziecko ty moje, zawołał Zeno, że z serem mógłby i ciebie zjeść.

Rozśmieli się, ale w tem Cazità bardzo zręcznie wyminąwszy ciotkę, wśliznęła się na wschodki, spadła po nich jak kot w głąb statku i w chwilę potem wydrapała się nazad po cichu z flaszką oplataną, serem i chlebem. Jednym susem stanęła przed Konradem, skłoniła mu się, uśmiechnęła, wskazała na ojca, tłumacząc pochodzenie daru... i zarumieniona, słowa nie rzekłszy, uciekła; wpadła nazad na wschodki, znikła... Kapitan Zeno uśmiechał się, ciotka gdérała...

Tymczasem na pokładzie, ta postawiona flasza, ten chleb i ser, niewykwintny dziecięcego serca podarek... pozostał przed Konradem, który go tknąć nie śmiał, tak był niezmiernie wzruszony dowodem współczucia i dobrego serca dziewczęcia. Lica mu gorzały, serce biło, przecież nie spotkało to nikogo innego tylko jego... jego jednego, zatem... Zatem szły złotem tkane ludzkie marzenia. Cazità była tak cudnie piękną, on tak młody!

Węgrzynek patrzał na to zdziwiony, ale trochę i dumny, że się na jego panu poznać umiano.

— Słuchajno chłopcze, rzekł do niego Konrad, rozwiążno mi ty zaraz ten sepecik co jest w miechu skórzanym, a żywo...

Chłopak ukląkł i zabierał się do roboty nie wiedząc o co chodziło, ale domyślając się, że pan po polsku miał zawdzięczyć ową flaszę wina i chleba kawałek.

Tak było w istocie. Panu Konradowi przyszło na pamięć, że na wyjezdnem poczciwy Pukało, który niczego nie zaniedbał coby w podróży przydać się mogło (czytając różne opisy wędrówek dla informacyi — jak powiadał), wynalazł tam, że wszędzie małemi datkami wiele zrobić było można. Za pozwoleniem więc pryncypała nakupił różnych *ad hoc* fraszek, to jest *ad captandam benevolentiam* wschodnich narodów służyć mogących... między innemi dosyć wyrobów bursztynowych. Te bursztyny przypomniał sobie pan Konrad. Nie chciał on zbyt kosztownym darem obrazić kapitana i jego córki, a chciał polskiem sercem poczciwem, czemś im przecie odwdzięczyć. Na wierzchu w sepeciku leżał właśnie piękny różaniec bursztynowy z Męką Pańską zgrabnie wyrobioną. Zdało się Konradowi, że go przeznaczenie jakieś umyślnie położyło na oku i dobył różańca, ściskając w dłoni, czekając tylko pory dogodnej, aby z niego ofiarę zrobić ślicznemu dziewczęciu.

Do Wenecyi daleko było jeszcze, wiatr ku wieczorowi zwolniał, statek posuwał się leniwo, miał więc pan Konrad dosyć czasu, a gdyby nawet zawstydzona Cazità pokazać się nie chciała, postanowił go dla niej oddać ojcu. Tak, ze spokojniejszem już sumieniem wziął się do wina, chleba i sera.

Węgrzynek byłby się chętnie o swoją też część tej biesiady upomniał, bo go dosyć wewnątrz zwijało, ale Konrad postanowił nie zostawić ani pruszynki, i z oczów mu było widać, że gotów był bić się o nie, gdyby mu je kto chciał odebrać.

Węgrzynek więc dobył swojego chleba kupionego w Tryeście i pożywał go, odświeżając prozaiczną cybulą, która mu dość smakowała. Wzdychał jednak za ojczystą słoninką przypiekaną, kto wié czy i nie za gorącą misą krupniku — ale te były daleko...

Nieszczęściem nawet cudowny widok zachodzącego słońca, które coraz jaskrawiej złociło fale i malowało niebo najczystszemi farbami swojej palety, nie nasycał chłopaka, który mu się przypatrywać nie umiał.

Wieczór na Adryatyku był istotnie czarowny, niebo w świątecznych swych szatach, morze w atłasach drogiemi kamieniami sadzonych, powietrze przepojone wonią orzeźwiającą. Niekiedy wiatr od lądu przynosił jakby sny czeremch rozkwitłych i bzów rozpachniałych. Statek się ślizgał niezbyt

daleko trzymając od brzegów, uroczyste na nim panowało milczenie. Turcy odprawiali swe modlitwy, wielu znużonych podróżnych odpoczywało na pakach, kapitan patrzał opodal w stronę Wenecyi, ojczystego swojego miasta, które kochał bardzo, którego był zawsze wiernem dziecięciem, za którem tęsknił w podróży i pilno mu je ujrzeć było. Przy najpomyślniejszym jednak wietrze dopiero nazajutrz o dniu białym mieli ujrzeć z morza dobywające się campanille i płowe wybrzeże Lido, na którem wśród ogródka i winnicy stał dom stary kapitana Zeno.

Cazità połajana przez Anunziatę usiadła w kątku, zasłoniła oczy paluszkami i udając smutek wielki, śmiała się szczerze... jak dziecko.

Poczciwa ciotka ze swą rozczochraną głową stała nad nią wziąwszy się w boki i dopełniała sumiennie, gdérząc, obowiązków opiekunki.

— Madona del Salute! Madona delle Grazie! Otóż jak to dziś ta młodzież jest płochą, wołała. Tak! tak! to ci się niczem zdaje, nieznajomemu, obcemu człowiekowi okazać niby zimną grzeczność tylko. Tak! tak! nic w tem nie widzisz zdrożnego? prawda! Cazità! Cazità! Ależ to tak a nie inaczej gubią się wszystkie dziewczęta. Jedno spojrzenie, jeden ukłon, uśmiech jeden, a szatan potrafi z tego korzystać. Zawiązał pętelkę i pociągnie cię nią do piekła! Tak! tak! *signorina mia*, tak! nic się to zdaje, mała rzecz na pozór, ale wielka być ona

może w nieobrachowanych następstwach. Czytałaś historyą pięknej Maryi Cervi, którą przedają na Riva dei Schiavoni, cóż ją zgubiło nieszczęśliwą? upuszczona rękawiczka. Djabeł tę rękawiczkę pochwycił. Możeszże być pewną, iż on na duszę twą nie czatuje w postaci tego pięknego młodzieńca, który, przyznaję, że jest wcale przystojny. Przypomina mi nawet nieco mojego poczciwego Apostolo, choć o wiele ma mniej wdzięku, i dużo od niego niższy wzrostem. No! widzisz, przyznaję że piękny, bo uważam, że ruszasz ramionami — cóż z tego? Djabeł się przebiera za anioła, gdy chce duszę ludzką na zagubę wyprowadzić.

Cazità nie mogąc już wytrzymać dłużej, parsknęła śmiechem. Ciotka rzuciła się prawie rozgniewana, mówię prawie, gdyż tusza i dobre serce nigdy się jej bardzo gniewać nie dopuszczały.

— Tak to wy wszystkie młode dziewczęta starszych słuchacie... jednem uchem wleci, a drugiem wyleci.

Cazità rzuciła się jej na szyję.

— Droga moja, nie bój że się o mnie, zawołała. Szatan do mnie nie przystąpi... noszę krzyżyk na piersiach, pacierz mówię regularnie co rana, żegnam się przy obudzeniu zaraz...

— Wszystko to bardzo dobrze, odpowiedziała nieco uściskiem udobruchana Ciotka, całując ją w czoło — ale szatan mądrzejszy od ciebie.

— A Pan Bóg ciociu mocniejszy od szatana.

— Tak! ty masz zawsze na wszystko gotową odpowiedź! odparła ciotka.

Na tem skończyła się rozmowa; dziewczęciu się już bardzo na pokład iść chciało, zaczęło się skarżyć na duszność i gorąco. Ciotka groziła na nosie, ale pieszczoszce oprzeć się było trudno, a gdy zażądała czego, straszliwie była uparta.

Po malutku Cazita przysunęła się ku wschodkom, skrycie wzięła za poręcz, cicho wstąpiła na próg ich i skromnie, niby tylko dla odetchnięcia świeższem powietrzem, poczęła posuwać się ku górze.

Ciotka dobrze już wiedziała, na czem się to skończy; ale nie miała serca się sprzeciwiać. Udawała, że nie uważa...

Gdy pan Konrad z utęsknieniem poglądał w stronę, od której mógł się spodziewać ukazania się dziewczęcia, główka jej wychyliła się, pokazała, rozśmiała i znikła. I znowu wypłynęła ostrożnie raz, drugi, a z kobiecą przewrotnością zwróciła się ku ojcu, jakby ją tylko ku niemu tak ciągnęła tęsknica. Ojciec się jej też uśmiechał, tak dawno nie widział dziecka, a tak mu ono było drogiem!! I skinął. Na dole krzyknęła ciotka Anunziata, ale już było za późno, ptaszyna jednym skokiem na pokład furknęła.

Chciał zaraz korzystać z tego Konrad, ale bał się onieśmielić ją zbytnim pośpiechem, zaczekał. Dopiero gdy ojciec z córką gwarząc rozchodzili się po pokładzie, zwolna z ukłonem przystąpił do kapitana i jego córki, i powoli odezwał się kłaniając:

— Signor Capitano! śliczna córka wasza biednego wędrowca z dalekich stron gościnnie przyjęła na pokładzie statku, ma więc i on prawo prosić, aby tę bardzo ubogą pamiątkę przyjęła od niego.

To mówiąc, rozwinął śliczny złocisty różaniec z bursztynów wielkich jak laskowe orzechy, i oddał go zarumienionej Cazicie, która z obawą, radością i niepokojem jakimś na skinienie ojca go przyjęła.

Kapitan rękę Polakowi uścisnął.

— Dziękuję wam za szczodrość waszą, rzekł, lękam się tylko, by datek nie był za wspaniały.

— Proszę sobie nie wyobrażać, aby w naszym kraju rzeczy te kosztownemi były, odparł Konrad, wstyd mi małej jego wartości... Ale to owoce naszej ziemi, morze go u nas wyrzuca, jak wiecie, i morze go robi w swem łonie ze skamieniałej drzew żywicy.

Cazità przypatrywała się uśmiechając rożańcowi i bawiła nim... niezmiernie jej było pilno pochwalić się przed ciotką, ale nim uciekła, odezwała się wlepiając oczy w Konrada:

— Bądźcie pewni, że póki życia, tej pamiątki z waszego morza, waszej ziemi i waszej dobroci nikomu nie oddam, nigdy nie rzucę. Za was na nim modlić się będę.

Tych słów kilka wymówiła okrywając się cała rumieńcem szkarłatnym, uśmiechnęła się, spojrzała

raz jeszcze, i po wschodkach jak uragan spadła do izdebki, wysoko nad głową niosąc zdobycz swoją, którą podrzucała i igrała po dziecinnemu.

Ciotka, która drzymała na poduszkach, zerwała się przestraszona.

— Co się stało! zawołała.

— Patrz! patrz! co to mi za tę *fiascone* wina ofiarował piękny ów polski młodzieniec... co za cudny sznur bursztynów... jaki śliczny krzyżyk przy nim!!

Anunziata, która już była poczęła podziwiać bursztyny, zobaczywszy krzyżyk, puściła je z rąk i siadła widocznie zachmurzona.

— Cóż to! czy się wam nie podobało?

— Te dzieci to nic nie wiedzą, zawołała Anunziata. Powiadam ci, to jest zły dar! zły dar!

— Jakto? cóż w tem może być złego? przerwała Cazità smutnie prawie, ofiarował mi go przy ojcu, ojciec przyjąć dozwolił, wszelkie formalności zachowane... cóż złego?

— Czyż nie wiesz, dodała ciotka, że rzeczy świętych kawaler kobiecie dawać nie powinien, bo one są złą przepowiednią!

— Złą przepowiednią!! bledniejąc powtórzyło dziewczę. Ani ja, ani on o tem nie wiedział pewnie. I stanęła zamyślona.

— E! ciotko Anunziato, rzekła po chwili, źli to ludzie wymyślili te niedorzeczności, czyż może być co złego w tem co święte i pobożne? Jużcić

szatan nie mógł zamknąć się w bursztynie tak jak w nim czasem komary i muchy bywają zalane...

Ciotka potrząsnęła głową.

— Kto tam zbada biedną ludzką głową, dla czego jedno złe oznacza, a drugie dobro wróży, czemu pogodny zachód dla żeglarza czasem burzę zwiastuje, a chmurny ranek dzień pogodny?

— Otóż ja się mojego różańca nie boję! zawołała Cazità, i całując krzyżyk szepnęła: odtąd na innym się modlić nie będę...

I zarzuciwszy go sobie na szyję, dobyła zwierciadełka.

— Jest mi z nim bardzo ładnie! rzekła — patrz Anunziato!

— A w czemże tobie nie pięknie póki masz te lata!! mówiła stara... skomponuj co takiego, aby mnie w tem było pięknie, to dopiero sztuki dokażesz...

Cazità parsknęła śmiechem... i na tem się skończyło.

Szybko po zachodzie słońca noc zaczęła zapadać ciemna, gwiazdzista, a coraz chłodniejsza... zwinięto trochę żagli, podwojono ostrożności, odsunął się statek nieco od brzegów, zapalono w izdebce lampę przed Madoną, niektórzy z podróżnych powoli zaczęli się zabierać do snu.

Cazità rzuciła się na swe poduszki, wieczorną zmianę stroju poczynając od włosów i klejnotów, któremi była obwieszona.

Powoli, pokład dosyć ożywiony we dnie, stawał się coraz cichszym, snuli się po nim tylko majtkowie, przechadzał kapitan doglądając, czuwał sternik u rudla, reszta nie lubując się w pięknej nocy, którą księżyc miał za chwilę rozjaśnić i uczynić przeźroczysto-srebrną, kładła się spać, gdzie kto stał. Turcy na swych skórzanych poduszkach i kilimkach już drzémali, inni też podobniejsi byli pozawijani w płaszcze do martwego pakunku, niżeli do żywych ludzi. Żegluga tak się zdawała bezpieczną, noc tak się zwiastowała pogodną, kapitan tak dobrze znał te wybrzeża, które dziecięciem na łódce, szamocząc się z bałwanami, opływał!...

Długo Konrad marzył, oparty plecami o swoje tłumoki, Bóg wié już tylko o czem... o morzu zielonem, o dziewczęciu białem, o Ziemi Świętej, o podróży długiej, o domu porzuconym, o kraju smutnym, o szczęściu niedostępnem, aż mu się oczy powoli zmrużać już chciały. Koło niego węgrzynek w burkę uwity przewracał się też z boku na bok, stękał, i nie mógł przybrać się do snu, choć zwykle miewał sen łatwy i do zbytku się w nim nawet lubował.

Już było dobrze w noc, a Konrad znowu rozbudzony przyglądał się wschodowi księżyca, który z oparów morskich wstał czerwony, jakby z łaźni wychodził — gdy nagle węgrzynek się pochwycił z posłania, otrząsnął, przeżegnał i coś mruczeć począł.

— Cóż ci to? czyś nie zdrów? spytał pan.

— Juścić zdrów, proszę panicza, rzekł chłopak, ale co zasnąć, to ani weź.

— Przecież cię gdyby w kolebce kołyszą.

— I jać to sobie mówię, ale nie... ino oczy przymrużę, to mi się dwie twarze poczynają przekomarzać: Jedna ta jejmość siwowłosa, dużo brzydsza od Murzynowskiej, a drugie to półdjable weneckie ze swoją ślicznością — i człek zasnąć nie może.

— Któż? co? spytał Konrad.

— A te dwie co wyłażą z dziury, dodał Maciek. Te dwie... człek jeszcze w życiu nic podobnego nie widział.

Paniczowi nie było lepiej, więc się rozśmiał.

— Ta druga, co to ja ją z pozwoleniem pańskiem, pół-djablem nazywam, mówił węgrzynek, piękna jak sto djabłów, ale i straszna!!

— Czemże straszna?

— Albo ja ta wiem! odrzekł Maciek. Jakże to wytłumaczyć, czemu ocet w gębie kwaśno smakuje? Tak i to. Straszna ta i straszna, że strach.. Człekby się na nią patrzał a patrzał; oczów oderwać nie sposób... a po duszy ciarki chodzą... Proszęż panicza, u nas kobieta choćby najpiękniejsza, to będzie jakoś inna, będzie zawsze z przeproszeniem trusiątko, bojaźliwa, oczki spuszcza... zdaje się drży, kuli się, stracha, i człowiekowi z nią raźniej, a ta!! oho!

Proszę tylko panicza, jak ona się patrzy, to człowiek czuje, że go do szpiku przenika; a gdyby tak pod tym wzrokiem potrzymała dłużej, to dalipan zdechłby.

— Otóżeś się rozgadał, rzekł Konrad, uśmiechając się, praw, praw, co ci na myśl przyjdzie; weselej mi, gdy tak gwarzysz. Cóż dalej mój Maćku?

— A dalej, proszę łaski panicza, odparł Maciek zmięszany, dalej to już ja nic nie wiem. Tylko mi jej strach... Myślę sobie, żeby szatan chciał człowieka spokusić na złe, to jużby chyba inaczej się nie sprezentował.

Panicz rozśmiał się i westchnął, chłopak słowy innemi, wyrazistszemi malował wiernie te wrażenia, jakich na sobie Konrad doznawał. I on był bezsenny, wzruszony, a myślał bez ustanku o tych oczkach czarnych, i słyszał śmieszek jej srebrny, i kręciła mu się po pokładzie cała błyszcząca, iskrząca, jak kiedy ją widział we dnie.

— Maćku mój, odezwał się Konrad wreszcie przeżegnaj się, to cię mary odlecą, a śpij dobrze, bo jutro już dopłyniemy do miasta, z którego dalej przyjdzie żeglować do Ziemi Świętej... a będzie przy wyborze roboty siła i na wodzie niestatecznej kłopotu nie mało; bo nie każdy dzień i nie każda noc tak spokojne i pogodne wypadną jak dzisiejsze.

Maciek posłuchał, przeżegnał się i legł, ale panicz nie zasnął. Próżno się przewracał z boku na bok, dobierał miejsca na kobiercu — oczy się już

kleić nie chciały. Trzymała je też otwartemi i ciekawość; pierwszy raz był na morzu, a ta noc powitania trafiła mu się zachwycająca.

Cicho podniósł się księżyc coraz stygnąc i jakby bledniejąc, bo z drugiej strony za łańcuchem gór w prawo, powoli już się brzaski pierwsze dnia wiosennego marzyły i widniało coraz i morze dalekie, zrazu zamglone rozjaśniało się, a po niem jak stado łabędzi niezliczone łodzie rybackie ze swemi żaglami białemi, szaremi, w pasy czerwone, snuły się jak wpół uśpione. Statek je wymijał co chwila, ludzie się pozdrawiali lekkim okrzykiem tylko, i płynęli dalej.

Dzień coraz już szybciej nadchodził, szerzej roztaczały się odblaski jeszcze niewidomego słońca i z łoża purpur i złota w jednej chwili wystrzelił brzeżek tarczy, rósł, a po falach przebiegło jak drżenie, jak muzyka promieni grająca świetnemi dla oka barwami, hymn blasków dziennych. Na horyzoncie księżyc zawstydzony, jak biała został plamka, ale wszystek świat za to zajaśniał, rozwidniał; góry poczęły się rysować ostrzej, wody zieleniej wyglądały, piana była srebrzystsza, po szafirze niebios białe migało, zwijając się, ptastwo morskie... I łodzie, których przody zdobiły wizerunki świętych, przestały widma udawać, przyznały się do drewnianych osmolonych boków i konopnych sznurów i wilgotnych sieci, któremi były poobwieszane.

Wszyscy jeszcze spali twardym snem poranka. Konrad zachwycony modlił się w duszy, błogo mu było... on jeden schwytał oczyma tę tajemniczą chwilę uroczystą stworzenia, mówiącą wyraźnie o Bogu do serca człowieczego, zdało mu się, że podsłuchał szept ziemi korzącej się i modlącej przed tronem ojca...

Kapitan nawet, obrócony ku sterowi swojego statku, drzémał, ale niebezpieczeństwa nie było, płynęli drogą znaną, wiaterek raźniej popędzał coraz, okręt zdawał się czuć i wiedzieć dokąd płynie, ciągnęło go ku domowi, ku Wenecyi.

Ledwo ukazało się słońce, wilgotna noc chłodna pierzchnęła gdzieś nagle ze swemi mroki i powietrzem zimnem; ciepło poczęło rozchodzić się coraz szybciej tak, że w godzinę zrobiło się gorąco. Spiący rozbudzili się, poczuwszy, że ich inna atmosfera otacza. Turcy obmywszy się, już modlili się; dalej żydzi rozpoczynali także głosić chwałę Bożą; ostatni chrześcianie przeciągnąwszy się, żegnali i mruczeli krótkie modlitewki ziewając.

Od wschodków ujrzał Konrad nagle rozkwitłą, rozespaną, różową twarzyczkę Cazity.

Nie spodziewała się może, by ją kto tak nie przystrojoną zobaczył, ale śpioszek ze zwiniętemi włosy, które się porozplątywały i spadały w nieładzie na ramiona, jak sploty rośliny spływające z wazonu, śpioszek był inaczej, a zawsze cudnie piękny, piękniejszy jeszcze może niż gdy się przy-

stroił. Na twarzy rumieniec snu wykwitał, oczy mniej były rozhukane jak we dnie, usta jeszcze ziewały, trochę białych, perłowych pokazując ząbków...

Wyjrzała bojaźliwie, ale zdumiona, gdy spostrzegła utkwiony w sobie wzrok Polaka, zawstydziła się bardzo, rączką machinalnie poprawiła włosy i schowała się. Jednak nie całkiem chciała nie być widzianą, a patrzeć, jedno oko tylko na pół nad deski pokładu się wyśliznęło.

— Czyżby nie spał? myślała, czy się tak rano przebudził? czegoś się zadumał, a patrzy, o!! ku mnie, ciekawy! Dam mu *buon giorno!* E! nikt nie patrzy, ciotka śpi jeszcze, ojciec drzymie obrócony plecami, o Turków nie dbam, co mi tam obcy!

I wysunęła główkę, śmiało uśmiechnięta i cicho, aby nikogo nie budzić, posłała mu *buon giorno Signore!* które on więcej odgadł niż posłyszał. Zdjął kołpaczek, skłonił głowę, a obejrzawszy się wkoło, od ust posłał jej pocałunek!...

Sam nie wiedział doprawdy jak się to zuchwalstwo stało, zawstydził się, ona mu pogroziła, ale nie straszno, popatrzała chwilkę i znikła.

Oczy Konrada padły przerażone na starego chudego Kapucyna, który na uboczu stał z różańcem w ręku i pogroził mu palcem i pokiwał głową.

Konrad zawstydził się mocno.

Dopiero gdy ochłonąwszy od tego spojrzenia groźnego, rozmyślać począł nad popełnioną nieprzyzwoitością, Konrad przekonał się, że był bezwstyd-

nym zuchwalcem... Ukłon mógł być dozwolony, naturalnie, ale ten ruch ręki do ust! o! to już było za wiele! to był prawie kryminał! Kapucyn miał słuszność gdy groził, to mówiło wyraźnie we wszystkich świata językach — pocałowałbym cię, gdybym mógł. A jakież miał prawo panicz podróżny do tak poufałego zbliżenia?...

Było to złem, było szkaradnem, ale pan Konrad tłumacząc się przed sobą, przypisał ten szał wpływowi bezsennej nocy i południowego klimatu. W kraju nigdyby był tego nie śmiał uczynić; Włochy znać mają swe prawa...

Zrodziła się też kwestya ważna, czy ona była za to gniewna czy nie? czy widziała potępienie i groźbę chudego Kapucyna? Była obawa zarazem i były znaki niektóre pocieszające, uspokajające... stanęło po rozwadze i rachunku, że musiała być trochę obrażoną, ale nie zbyt śmiertelnie.

Wypadało też rozmówić się z Kapucynem, który właśnie ranną kończył modlitwę i prosić go o rozgrzeszenie. Konrad zbliżył się do niego nieśmiało i w rękę go pocałował obyczajem naszym; księżyna uśmiechnął się łagodnie.

— Złapaliście mnie ojcze na mimowolnie popełnionej nieprzyzwoitości, odezwał się Konrad, alem złej myśli nie miał... Stało się to, sam nie wiem jak...

— Dziecko moje, odparł powoli Kapucyn, dzieje się to tak zawsze mimo wiedzy, kiedy człowiek

nie czuwa nad sobą, zbrodnia niewielka, ale poco ci karmić myśli puste i w niej i w sobie? Obcy jesteście, za godzin kilka rozdzieli was los znowu na wieki.

— To prawda, rzekł Konrad, ale nie godziż się Boga chwalić w dziełach Jego?

— Tak! tak! sofistykuj jegomość! Chwalcie Boga inaczej, to będzie bezpieczniej. I począł się śmiać stary, klepiąc po ramieniu Konrada...

— Jużem w Waszmości poznał Polaka, rzekł, a znałem dużo ziomków waszych i w Rzymie i w Padwie i na Szlązku, gdziem trochę gościł, wszyscyście poczciwi, ale tacy lekcy... i płomieniści, że żal bierze patrząc na was... jak upolować łatwo tę biedną zwierzynę.

— Ej! ej! dodał wzdychając, ino się też pilnujcie, gdzie oczów czarnych dużo, a nie wszystkie tak niewinnie patrzą, jak córka naszego kapitana, która jest dzieckiem jeszcze...

— Nie bójcie się ojcze, rzekł Konrad, choć Wenecya jest mi na pół ojczyzną, bo z włoskiej rodziny pochodzę, nie myślę tu bawić długo, tyle tylko, by się u grobu Ś. Marka pomodlić i okręt dobrać, coby mnie zawiózł do Ziemi Świętej, do grobu Zbawiciela.

Kapucyn popatrzał, śmiejąc się i potrząsając głową.

— Ty, moje dziecko, do Ziemi Świętej? a cóż to, ślub?

— Nie, pobożność i ciekawość razem.

— E! e! dodał stary, wątpię ja, żebyście tam dojechali, uwięźniecie w Wenecyi, zrazicie się trudnościami i niebezpieczeństwy... ot! może i jakie oczy czarne nie puszczą.

Konrad się uśmiechał, ale te przepowiednie trochę go dotknęły.

— Czyżby ta podróż tak w istocie miała być ciężka? zapytał.

— Jam ją odbywał dwa razy w życiu, cicho odparł Kapucyn, raz świeckim jeszcze pokutnikiem, drugi już w sukni zakonnej... ale wierzaj mi, dodał, pomódl się tutaj, a nie zapędzaj się zbyt daleko, jeźliś ślubu nie uczynił... mało kto cały powraca!

Konrad się zadumał, staruszek znowu poklepał go po ramieniu, uśmiechnął się i rzekł:

— Dłużej o tem rozpowiedzieć mogę, przyjdźcie do mnie do *Frari*, i spytajcie u furty o starego *Padre Serafino*.

To mówiąc, dobył różańca i na nowo chodząc po pokładzie, zaczął szeptać ranne modlitwy. Konrad stał w miejscu zamyślony.

W tych dumach tak się zatopił, iż nie postrzegł, jak słońce dopomniało się o zrzucenie opończy. Węgrzynek też już na pół upieczony, oczy przecierał i pacierz odmawiał, ziewając. Wszystko na nowo żyć i ruszać się poczynało na pokładzie: Turcy pili kawę, którą im zgotował Murzyn, i palili tytuń; inni przekąsywali i popijali co kto miał.

Konrad także zajrzał do swej flaszki i napiwszy się z niej, postrzegł jasno jak na dłoni, że Cazità bardzo się gniewać nie mogła, że się może nawet nie gniewała wcale, tylko dla przyzwoitości wypadało jej okazać pewne niezadowolenie.

Pod pokładem budziła się i ciotka Anunziata a Cazitę zastała zadumaną głęboko, już czuwającą, ale jeszcze nie biorącą się do stroju. Cazità myślała także, co miało znaczyć to pocałowanie wysłane przez powietrze — czy się niem obrazić wypadało, czy uważać je za oznakę niewinną więcej, niż chwilowego uwielbienia...

— Nie mógł przecie mieć złej myśli młodzieniec, który mi wczoraj tak ładny rożaniec darował?... to widoczne... gniewać się nie ma o co, ale trzeba też trochę być zimniejszą, bo to jakiś gorączka, choć z chłodnego kraju pochodzi! O! tak! muszę być bardzo ostrożną i baczną, chociaż zrażać go znowu nie ma potrzeby, - nie! Takby mi było przykro, gdybym go zraziła!! ale ja to potrafię.

Po główce jej krzyżowały się myśli różne, tak poplątane potem, tak dziwne, że ich już zwinąć w pasmo jedno nie umiała.

Ciotka żegnała się i modliła, poziewała, zaczynała gderać powoli. Cazità czesała długie włosy, i wybierała nowe sukienki.

Cała ich paczka leżała przed nią.

Na pokładzie, począwszy od kapitana, wszyscy twarzami obróceni ku przodowi okrętu stali, się-

gając w dal oczyma. Z kilku ust pocichu zerwało się *Ecco!*

Daleko, daleko, widać było piasczystą ławę... to Lido, a nad nią, jak wysokie pnie drzew wyrastające proste, smukłe campanille. Kapitan rozeznawał już nawet San Giorgio, dzwonnicę Ś. Marka i ledwie dla drugich widoczny biały wierzchołek kopuły *La Salute.* Ale co chwila rozjaśniał się ten obraz, rosły dzwonnice, ponad ławą piasku poczęły wystawać mury.

— *Venezia! ecco Venezia la bella!* zawołał głośno kapitan, i odkrywszy głowę, witał ją ze łzą w oku; drudzy witali uśmiechami. Statek wszystkie rozpuścił żagle, spieszył zdyszany, pilno było i majtkom, i sternikowi, i podróżnym.

Nigdy powolniej nie dościgamy celu, jak gdyśmy go już najbliżej. Naówczas zdaje się, że on ucieka, szydząc z niecierpliwości naszej, przed nami. Na ostatek i Cazità wybiegła na pokład z dzień-dobrym dla ojca, choć już nie pierwszem na ustach. Tego dnia zapragnęła być zupełnie inną jak wczoraj — dlaczego? to tajemnica kobiety. Ubrała się całkiem czarno, nie włożyła klejnotów, nie powieszała łańcuszków, tylko bursztynowy jeden złocił się na sukni rożaniec. I włosy zwinęła prościej, a była w istocie tym strojem do niepoznania zmienioną i znowu dziwnie piękną a znowu całkiem inną — czarownica!

Wczorajszy trzpiotek nabrał powagi i spokoju,

choć z poza ułożonych poważnie ustek, młodość zaczajona uśmiechała się figlarnie. — Przytuliła się do ojca.

Widać już było Lido. Kapitan z dala rozeznawał swój dom stary, murowaną kamieniczkę u brzegu morza, oplecioną winną latoroślą.

Żałował, że wprost przybić tu nie mógł, trzeba było opłynąć w około, i stanąć naprzeciw nieubłaganej Dogany.

Na statku, jak zwykle przed wysiądzeniem, ruch się zwiększył, pakowali się wszyscy: Turcy swoje towary, żony, kilimki i poduszki, kupcy ormiańscy i greccy tłumoki, żydzi węzełki, majtkowie porozrzucane rzeczy. Węgrzynek i pan Konrad stali i patrzali jedni nic nie robiąc, nie tyle im było spieszno co innym, a daleko dziwniej. Chłopak już był tej, którą nazywał półdjablem-weneckiem, zapomniał, bo miasto owo wyrastające wprost z morza, zdające się pływać po niem, całe go pochwyciło. Kiwał głową, załamywał ręce, ruszał ramionami i co chwila się żegnał.

— A! święty Antoni! wołał, to już chyba djabeł budował nie ludzie; jakże my tu żyć będziemy mogli, kiedy ja pływać nie umiem.

Konradowi, gdy statek stanął, gdy już na ląd się potrzeba było wybierać, zrobiło się dziwnie smutno, i pomyślał sobie:

— Już więcej może tej cudnej nie zobaczę towarzyszki... a póki życia jej nie zapomnę! Otóż

to los człowieka: mignie mu słonko i zachodzi chmurą, i znowu ciemno a ciemno na wieki.

Ani się domyślał, że Cazità szeptała ojcu na ucho, aby koniecznie podróżnego Polaka na rybę do siebie zaprosił. Nigdzie tak ryb nie przyrządzano morskich jak u cioci Anunziaty, a potrzeba się było pochwalić przedziwnym ich smakiem przed tym wędrowcem z daleka. To było koniecznością! obowiązkiem, a za różaniec wypłatą długu.

Ojciec był trochę zazdrosny, trochę się lękał; ale trafiła na dobry humor. Powracał do kraju z korzystnej i szczęśliwej podróży, jakże było pieszczonemu odmówić dziecięciu?

— Co on tam sobie o nas pomyśli? rzekł do córki; gotów posądzić, że my go łapać chcemy, żeś ty płocha zalotnica, a ja podstępny awanturnik.

— A! ojcze! ojcze! jemu widać z oczów, że podejrzliwym nie jest.

— A ty czytasz w oczach jego?

— Jak w otwartej drukowanej księdze. Napisano w nich, że jest poczciwym, a poczciwi o niepoczciwość drugich nie posądzają.

— *E vero!* rzekł z uniesieniem Zeno, całując ją w głowę, zostaw to mnie.

— Bo ja go zobaczyć muszę! dodała stanowczo choć zarumieniona dziewczyna, pokażę mu moje piękne Conchille, a jeśli ma matkę lub siostrę, dam mu z naszego morza różaniec dla siostry lub matki..

— Albo dla żony! dodał śmiejąc się kapitan Zeno

Dziewczę stanęło jak rażone tym domysłem; ale pocałunek posłany z rana wnet rozproszył podejrzenia. Była pewną, że żonaty nie byłby śmiał jej posłać tego rannego całusa.

— O! on nie jest żonaty! zawołała śmiejąc się.

— A zkądże ty to wiesz tak pewnie? spytał ojciec.

— No, wiem, odparła śmiało, dosyć że wiem.

Musiał ojciec spełnić uparte żądanie córki, ale ostrożniejszy od niej, chciał to uczynić niby sam z siebie. Odprawił ją do izdebki, chodził długo, nareszcie jakby przypomniawszy sobie coś, zbliżył się do Konrada i podał mu rękę.

— Otóż i nasza wspólna ojczyzna, rzekł wskazując na miasto, mamy się nią prawo pochlubić; wydarliśmy ją morzu i uczynili panią jego, a podziwem świata. Zabawicie tu pewnie, nie zapomnijcie i o domu kapitana Zeno. Każdy Gondolier tę starą kamieniczkę naszą łatwo wam pokaże. Będziemy wam z serca radzi! Ciotka Anunziata obiecuje dla was zgotować rybę taką, jakiej drugi raz w życiu jeść nie będziecie!

Mówił, a Cazitá zdaleka oczyma mu dała do zrozumienia, że należała do spisku, że wiedziała, o co proszono. Konrad skłonił się, szczęśliwy bardzo, ona go pożegnała uśmiechem i niedostrzeżonem skinieniem głowy... a tuż, tuż, i zamęt wylądowania się poczynał.

— Gondola! signori! Gondola! krzyczeli w czerwonych czapkach przypływający przewoźnicy.

Czarne łódki, podobne do jaskółek z lotu i kształtu smukłego, okrążały statek. Zrzucano pakunki, spuszczali się pilniejsi po wschodkach i linach. Przed podróżnymi roztaczała się w całej swej wspaniałości, słońcem ozłocona Wenecya, naówczas jeszcze pani Adryatyku, choć już podupadająca, pałac Dożów, Salute, Kanał wielki, pałace, wieżyce, kopuły, kościoły.. I krzyki ludu dochodziły od Riva dei Schiavoni aż tutaj. Roiło się przy Piazecie.

Nasi podróżni z podziwu nad tym cudem, prawie o sobie zapomnieli; węgrzynek odmawiał „Pod Twoją obronę," gdyż zdało mu się, że pierwszej nocy, pierwszej burzy, całe miasto morskie wody pochłonąć muszą.

— Co dziw, to dziw!— szemrał w duchu,— ale wolałby ta siedzieć doma... nie najadłbym się tyla strachu! Ano pełnusienko ludzi, ta i co robić... może się to zbędzie strachem, ale doma było siła bezpieczniej...

Pan Konrad miał sobie wskazaną *antica locanda* na wybrzeżu, zwała się ona *Croce di Malta*, ale nie ta była co dzisiaj.

Gospody też ówczesne w ogóle do teraźniejszych nie były podobne, sztuka przyjmowania i odzierania podróżnych empirycznie, instynktowo się wykonywała, i nie miała jeszcze tych form pewnych, systematycznych, jakie przybrała dzisiaj. Dawne *locandy* i *osterie* były to jeszcze niby domy gościnne a nie najemnicze zajazdy. To też zaledwie

się nastręczył podróżny, gospodarz zaraz starał się go poznać, ocenić, wymiarkować, i wchodził z nim w poufały stosunek, a był zwykle pokornym, zapobiegliwym, przyjacielskim, serdecznym i niezmiernie usłużnym. Słynęli oberżyści z bystrości umysłu niepospolitej, zwłaszcza w sposobach korzystania rozlicznego ze swych gości. Przymiotu tego nie stracili i dzisiaj, różnica jest w tem tylko, że dawniej odzierali kłaniając się, a dziś drą i łają. Postęp widoczny.

Locanda *Croce di Malta* acz dosyć uczęszczana, nie była bardzo wspaniała, ale ówczesny jej właściciel Signor Beppo Zanaro, słynął z tego, że umiał każdemu dogodzić, każdego poznać, przypochlebić mu się i w potrzebie wmówić, że było w *Croce di Malta* lepiej niż w raju.

Beppo Zanaro, którego gondoljerowie zwali poufale *Il gran ladrone*, był mężczyzną olbrzymiego wzrostu, tuszy odpowiedniej, czerwony, błyszczący, wesołej twarzy i wyparzonej gęby. Dawniej znakomity kucharz, dziś ograniczał się zwierzchnim tylko nad kuchnią nadzorem, mając wiele ważniejszych spraw na głowie. Dobry humor i uśmiech na ustach, jak klucze u pasa, należał do atrybucyj jego stanu.

Zaledwie gondola przybiła do brzegu, a z niej ukazał się kołpaczek z czaplem piórem, Zanaro, który czatował we drzwiach gospody na podróżnych, nadbiegł aż do wschodków z czapką swą pąsową

w ręku. Jednym rzutem oka poznał w przybywającym znakomitego, a zatem i majętnego cudzoziemca, był więc szczęśliwszy, weselszy, grzeczniejszy niż kiedykolwiek.

Podał rękę wysiadającemu.

— Eccellenza! zawołał z zapałem, mam się za szczęśliwego, iż tak znakomitego patrycyusza pierwszy w Wenecyi powitać mogę... Dom mój, osoba, wszystko jest na wasze usługi...

Nie chwalę się, dodał trzepiąc bez ustanku, nie ujmuję drugim ich zalet, ale niech powie Wenecya cala, niech poświadczy rzeczpospolita, niech sława mojego domu głośna po świecie.. dowiedzie Waszej Excellencyi, iż lepiej trafić nie mogliście. Przyjmujemy samych tylko najdostojniejszych gości, i to nie w widokach podłego zysku, ale dla honoru zbliżenia się do ich osób, dla przyjemności służenia im...

Witam Was, witam, i proszę! proszę za mną! najlepsze pokoje! najwykwintniejsza gondola... najtroskliwsza usługa...

Konrad milczał, uśmiechając się, węgrzynek poglądał z ukosa na tego wyginającego się w łamanych ukłonach olbrzyma, czerwoną jego szlafmycę i błyszczące oblicze.

Na skinienie oberżysty, niesiono już rzeczy do Croce di Malta, a ile paczek, tyle obdartusów się znalazło do posługi: szereg był wielki, od wschodów do drzwi ciągnął się nieprzerwany, każdy coś

pochwycił i niósł, aby mieć udział w zarobku . . Ostatni dźwigał w tryumfie kawał podartej rogoży...

— Bądźcie spokojni, mówił gospodarz poprzedzając gościa z odkrytą głową, nic tu nie zginie, ja ręczę... Jak się stanąć podoba W. Excellencyi? w sali i oddzielnym apartamencie, czy w kilku pokojach wesołych, lepiej Jego incognito zachować mogących?

— Jak najskromniej, rzekł wreszcie Konrad, którego włoszczyzna zdziwiła Zanara.

— Wszystko na rozkazy! pojmuję miłość ciszy, spokoju i zacisznego kątka!! W. Excellencya masz gust, którym się i ja szczycę! ale pozwolicie spytać, z jak dalekich krajów szczęśliwe wiatry tu tak dostojnego dały nam gościa!

— Jadę z Polski! rzekł Konrad.

— Z Polski! w dłonie klaskając zawołał Zanaro udając zachwycenie... o! jakżem szczęśliwy! Z oblicza to waszego odgadywałem, na tem czole maluje się szlachetność waszego narodu, który ja kocham i wielbię!. Pozwólcie abym kraj szaty waszej ucałował. Eccellenza...

— Ale choć Polak, dodał z uśmiechem Konrad, jestem zarazem Włochem i Wenecyaninem, familja moja pochodzi...

— O Boże wielki! oburącz uciskając piersi, krzyknął Zanaro, a to cud! a to szczęście niewysłowione! Pozwólcie bym wam się przypatrzył, bym

6*

się nasycił wami... bym niegodnemi usty imię wasze wygłosił.

— Lippi de Buccellis! rzekł Konrad.

Gospodarz łzę otarł wzruszony, już mu tchu brakło.

— A! — rzekł ciszej — tylko patron mój, Oblubieniec Maryi, mógł mi tak wielkie i rzadkie dać szczęście... Widzicie uczucie, jakiego doznaję... rodzinę Lippi, główny ród Buccellich znam, znam zdawna, wiem ich zasługi i dzieje, nowym się one blaskiem na ziemi polskiej okryły.

Skłonił się.

— Dość, rzekł, nie chcę was utrudzać wyrazem uczuć moich, cieszę się, że tak dostojna osoba trafiła pod dach uczciwego człowieka... Oddadzą mi też sprawiedliwość w Wenecyi, żem tu pośród tysiąca szalbierzy i oszustów sam jeden czysty jak szkło naszej fabryki w Murano...

Spocznijcie Eccellenza! dodał wprowadzając go do pokojów pierwszego piętra dosyć wspaniałych, choć nieco obrukanych... dom cały, ja, rodzina moja... na usługi wasze... Sam zajmę się installacyą...

Węgrzynek stał ogłupiały, pewien będąc, że trafili szczęśliwie albo na krewnego, lub na starego przyjaciela domu. Konrad był zmięszany... Gospodarz już czuł się panem, ale chciał okazać się łaskawym i po chwili usunął nieco, przyrzekając tylko obiad godzien samego Doży.

Jakoż w godzinie obiadowej nadszedł sam zapraszając Eccellenzę i dając do wyboru albo samotny posiłek w pokoju lub honorowe miejsce u swej *tavola rotonda.*

— Eccellenza może być pewną, dodał, że nieśmiałbym wzywać go do naszego stołu, gdybym nie był pewien, że towarzystwo, jakie się zbierze, powinno mu być miłem... Mam tylko znakomitego lekarza niemieckiego powracającego z Padwy, który zapragnął *miraviglia* grodu naszego oglądać i Signorę Boccatorta sławną śpiewaczkę, jadącą na dwór cesarski, dokąd została wezwaną, wraz z kawalerem Gerardi, który jej w drodze towarzyszy... Będę też miał przyjemność przedstawić Excellencyi waszej Annę żonę moją i córkę Magdalenę...

Spodziewając się, że wyjść będzie musiał, pan Konrad był już przybrany jak należało, miał na sobie żupanik wiśniowy atłasowy i kontusik czarny aksamitny, pas siatkowy złoty i bogatą karabelę na rapciach jedwabnych karmazynowo ze złotem przerabianych. Do tego czapeczkę karmazynową z piórkiem, w której mu było bardzo do twarzy...

Trzeba przyznać, że i malowniczo i pańsko się prezentował Lippi, tak, że we własnej ojczyznie trudnoby go kto był poznał za Włocha; krew polska i życie nasze już go na innego przerobiło człowieka. Na płótnach Weronezjusza tylko coś podobnego doń z twarzy w dawniejszych czasach znaleść było można. Wenecya ówczesna znacznie

już podupadła, a upadek każdego narodu nawet z fizyognomii jego wyczytać się daje.

W salce na dole zgromadzeni już byli goście Signora Zanaro, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmowała niesłychanie strojna panna Zenobia Boccatorta, Włoszka, rodem z Medyolanu, brunetka, słuszna, wspaniałej postawy, dumnego wejrzenia, pogardliwej minki, ale w istocie zachwycającej piękności. Był to raczej piękny posąg niż kobieta, w którejby się na pierwszy rzut oka rozkochać można, lecz niepodobna było nie zdziwić się jej olśniewającemu blaskowi. Włoszka wiedziała snać o tem dobrze i pyszniła się sobą... Po za nią stał towarzysz i stróż tego skarbu wiezionego na dwór cesarski... Cavaliere Gerardi dobrze dobrany, by zazdrości ani podejrzenia nie wzbudził, mały, garbaty, z twarzą od ospy oszpeconą, wyrazu zimnego i złośliwego.

Dalej trochę doktór Niemiec, człowiek młody, przystojny, ożywionej twarzy, uśmiechał się grzecznie do Signory Zanaro, gospodyni domu, osoby już nie pierwszej młodości, z pięknemi czarnemi wąsikami, podwójnym podbródkiem i tuszą wspaniałą, po za której robronem kryło się pisklę domu, córka jedynaczka Magdalena, biała, rumiana, ni ładna ni brzydka, ale wesołej twarzyczki i filuternych nad wiek oczów.

Wszystkich wejrzenia zwróciły się na wchodzącego Polaka, nawet Signora Zenobja obdarzyła go

dosyć łagodnem skinieniem główki... a Magdusia nie spuściła go z oka tak się jej — strój (jak mówiła) podobał.

Zasiedli do stołu, pierwsze miejsce śpiewaczka, kawaler Gerardi, nasz Polak, dalej reszta towarzystwa. Gospodarz acz miał krzesło, nie siedział, aby czuwać nad kuchnią i podawaniem potraw... Nie wiele też mógł jeść, bo mu się gęba od gadania nie zamykała. Miał mówić o czem, o Wenecyi, o Polsce, o porze, o dostojnych przybyszach, o historyi grodu, i historyi domu. Konrad mało się odzywał... był milczący. Niemiec, który doskonale się był w Padwie wyuczył po włosku, Zanaro i gadatliwa Magdalenka śmiali się i zabawiali wszystkich w czasie biesiady, która wcale złą nie była, ale dla cudzoziemca dziwną trochę.

Każdy mniej więcej tłumaczyć się musiał, zręcznie wyciągnięty na słowo, z powodów przybycia do Wenecyi; czynili wszyscy mniej więcej szczere wyznania, których znać Signor Zanaro na coś potrzebował. — Gdy kolej przyszła na Polaka, opowiedział otwarcie o pochodzeniu rodziny, o tęsknocie, która go z kraju wygnała i o zamiarze udania się do Ziemi Świętej.

Usłyszawszy to gospodarz, począł bardzo głową kiwać i ramionami ruszać.

— Niech mnie Bóg uchowa, abym ja człek pobożny, katolickich rodziców dziecię, rzekł powoli, miał waszą Eccellenzę odwodzić od tak pobożnej

myśli; mam sobie wszakże za obowiązek oświadczyć wam, że podróż ta ani jest łatwą, ani konieczną dziś, gdy tych samych odpustów dostąpić można zwiedzając inne kościoły.

— Ale cóż może zastąpić widzenie Palestyny, rzekł Konrad, poznanie ludzi i krajów nowych!

— Zapewne, odparł gospodarz, młodość ma takie pragnienia, lecz ja com się napatrzył już w życiu dużo na odjeżdżających ztąd z promieniającemi twarzami, a wracających żółtych i tęsknych podróżnych, nikogo sumiennie na niebezpieczną tę wędrówkę namawiać nie mogę... Nie liczę tych, których pożegnałem u brzegu *a rivederci*, a których chyba na innym świecie zobaczę.

To mówiąc, westchnął z miną bolesną, i znać było, że nadzieja wypróżnienia podróżnego mieszka polskiego uśmiechała mu się, a boleśnie dlań było dać go na łup niewiernym.

— Nikt was o podróży do Jeruzalem, rzekł Zanaro, lepiej objaśnić nie potrafi nademnie com już seciny wyprawiał; tędyć z Europy ciągną niemal wszyscy, z wyjątkiem niewielkiej liczby Francuzów, co się z Marsylii wyprawują.

Pora właśnie po temu, mówił dalej, wiosną zwykle pielgrzymki się przedsiębiorą; a na Boże Ciało przybywają do nas mnodzy pątnicy z całego świata. Jest też o tym czasie naw dosyć do wyboru, które ztąd płyną do Cypru, Alexandryi w Egipcie, Alexandryi Syryjskiej czyli Alexandrety, lub do Tri-

polis... A choćby kto tu i okręt i kapitana jak najstaranniej sobie wybrał, w czembym ja mu mógł być pomocą, któż zaręczy, że w Alexandryi, Cyprze, Alexandrecie, gdzie się drugi Zanaro nie znajdzie, równie trafi szczęśliwie!

Dość powiedzieć, dodał gospodarz cicho, iż ktokolwiek się w tę drogę wybiera — bez testamentu nie jedzie: z Turkami i Maurami nie ma żartów, a choroby i wypadki po ludziach chodzą nie po kamieniach. Żegna się ze światem, kto na okręt siada... spowiedzią i wiatykiem opatruje.

— O! rzekł Niemiec doktór uśmiechając się niedowierzająco, przecież tylu przynajmniej powraca ilu ginie... Signor Zanaro.

— A może więcej ginie niż wraca! odparł znacząco *il gran ladrone,* ale ponieważ zacząłem już o tem, spodziewam się, że mi dokończyć dacie, jeźli Signorinę, grzecznie zwracając się do Zenobii dodał — nie nudzi ten przedmiot.

— Owszem, i ja jestem ciekawa, odpowiedziała chłodno Boccatorta, mówcie.

— Naprzód tedy podróżny musi się ztąd o pozwolenie wyruszenia w pielgrzymkę starać u Legata Stolicy Apostolskiej; jest bowiem anathema rzucone na tego ktoby wyjechał nie dopełniwszy tej formalności.

— A toż z jakiego powodu? zapytał Niemiec.

— Powód bardzo ważny, rzekł Zanaro, bo Legat naprzód potrzebuje, aby mu okazał podróżny

najmniej sto czerwonych złotych. Trafiało się bowiem, że się zapędził ubogi, za którego XX Franciszkanie musieli potem w Jerozolimie i Ramie opłacać haracz należny... a są księża z jałmużn żyjący i wielkim to dla nich bywało ciężarem.

— A! zawołał Niemiec.

— Dalej następuje, mówił Zanaro, ważna, nader ważna sprawa, w której bez gospodarza ruszyć się nie można, wynajęcie statku do Cypru, lub Alexandretty.

Nie obmawiam nikogo, szeptał zniżając głos, ale kapitanowie statków trafiali się i tacy, co nabrawszy dobry ładunek ludzi, potem go niewiernym sprzedawali, będąc z nimi w zmowie i jakby przez korsarzy napadnięci wśród morza...

— O! przerwał Cavaliere Gerardi, toby było ohydnem.

— To w istocie okropne! szkaradne, niegodne imienia chrześciańskiego, dodał Zanaro, ale tyle poczwar chodzi i pływa po świecie!

Jeźli się tej tragedyi uniknie, mówił dalej wzdychając, pocznie się tedy zdzierstwo w Jaffie, dla różnej starszyzny tureckiej, dla Mucharów i w Ramie, w Jeruzalemie... poczną przyczepki, zasadzki, niebezpieczeństwo moru, kłótni, napadu, a za nicże liczycie długą nawigacyę i życie nędzne na statku?

O tem przy stole zamilczę, dokończył Zanaro. Nie chciałbym też, by dostojny mój gość, szczere

interesowanie się jego losem, i poszanowanie, jakie na pierwsze wejrzenie obudził we mnie, fałszywie mógł sobie — uchowaj Boże! — tłumaczyć.

Konrad skłonił głowę; uśmiechały mu się w tej chwili młodziuchna Magdusia figlarnemi oczkami dosyć zepsutego dziecka, i misterniej a ostrożniej ale nie mniej wyraziście majestatyczna Signora Zenobia...

Ale te dwie napaści kobiece na jego serce, ten tylko sprawiły skutek, że mu przypomniały prześliczną ową towarzyszkę podróży Cazitę Zeno, córkę kapitana.

— Nie lękałbym się wcale tej podróży, odrzekł pod wrażeniem wspomnienia, bośmy w ojczyźnie naszej przywykli niczego się nie obawiać; a niebezpieczeństwa pociągają nas więcej, niż odstręczają — gdyby mi się też trafił tak poczciwy i dobry kapitan statku jak ten, który mnie tu przywiózł z Tryestu...

Zanaro podniósł głowę zaciekawiony.

— Eccellenza pozwoli spytać o jego imię? rzekł żywo.

— Był to wracający ze Stambułu właściciel *Padre Antonio*, kapitan Zeno.

— Zeno! Zeno! powrócił więc! zawołali razem gospodarz, żona i córka. Kochany, zacny, poczciwy, nieoszacowany Zeno... Szczycę się jego przyjaźnią, gorąco rzekł Zanaro. Znam go jak brata, kocham jak rodzonego. Ma dom na Lido, stary

dom, stary ale krzepki statek, starą siostrę Anunziatę, i śliczny kwiatuszek, córkę.

Tu Zanaro pięć złożonych palców ręki do ust przyłożył, i pocałował je, cmokcząc.

— Cudnej piękności Cazitę...

Mimowolnie Konrad się zarumienił, czuł, że mu twarz jakby ukropem zapłynęła; obawiał się nie bez przyczyny, aby tej wywieszonej chorągwi oblężonego serca nie postrzeżono. Zanaro przelotnie spojrzał nań, i filut domyślił się wnet wszystkiego, ale udał, że nic nie wie.

— Czyście czasem nie jechali razem z ciotką Anunziatą i piękną Cazitą, — rzekł niewinnie — bo, jeźli się nie mylę, miały na niego czekać w Tryeście.

Konrad kraśniał jak dojrzewająca wiśnia; zmięszał się.

— Tak, rzekł w końcu odważnie, płynęliśmy razem.

— Więc się już nie dziwuję, że W. Excellencyi tak miłym wydał się kapitan Zeno, tak dogodnym jego statek, i tak krótką zapewnie podróż na nim. Ha! ha!

Magdalena i Signora Zenobia spojrzały trochę z ukosa na Polaka, który oczy spuszczał jak winowajca na uczynku schwycony.

— Zaprawdę, nie ustając paplać, mówił Zanaro, Wenecya ma krocie piękności i nigdy w nie ubogą nie była; ale Cazità...

— Cóż to znowu, przerwała urażona pani Zanaro, co to pleciecie? Cazità jest ładna ruda myszka, a kto ma szczęście przy swym stole przyjmować taką piękność, jak Signora Zenobia, której równej na obrazie nawet nie znaleźć... no, i komu Bóg dał tak nieszpetną córkę jak wasza, ten...

Zanaro uderzył się szybko z jednej i drugiej strony po twarzy i wypoliczkował, uznając swój występek.

— Winienem, rzekł, ale nie zaprzeczycie, że Cazitana... śliczna. Cóż wy mówicie Eccellenza? waszego jestem zdania nad wszystko ciekawym?

Konrad, któremu tak wprost strzelono w piersi tem zapytaniem, znowu się zapłonił i zmieszał.

— Są, rzekł powoli, wykręcając się, różne piękności niewieście, których jedną miarą mierzyć się nie godzi, oblicza obudzające uwielbienie (skłonił głowę przed Signorą Zenobią, która mu się tak wdzięcznie uśmiechnęła, że Cavaliere Gerardi usta aż zakąsił)... są twarze budzące braterskie uczucia... (spojrzał trochę ku Magdusi, która skrzywiła usta)... są wreszcie i niezbyt pięknych może rysów, a straszliwie niepokojące człowieka i niezapomniane dlań twarze... Spuścił oczy na talerz, kobiety spochmurniały, gospodarz chrząknął, nastąpiło głuche milczenie.

— Mam cię kawalerze, powiedział sobie w duchu Zanaro, już mi się nie wykręcisz... a że do Jerozolimy nie pojedziesz kochanku, za to ręczę.

Czas tedy było wstawać od stołu, i ruszyli się wszyscy. Signora Zenobia głośno mówiła, że będzie w teatrze, prawie zapraszając do swej loży Konrada. Magdusia bąknęła, że pojedzie na Lido.

Lido te, kilkakrotnie powtórzyła znacząco.

— Jeźli pojedziesz na Lido. dodał gospodarz, toć nie wytrzymacie, abyście nie odwiedziły ciotki Anunziaty i Cazity. Kłaniajcie się im odemnie.

Konrad odchodził powoli.

— A od was? spytała figlarnie Magdusia Zanaro, a od was Eccellenza?

— Nie śmiałem was o to prosić, Signorino, rzekł Lippi, ale jeżli łaska, proszę pokłońcie się wszystkim odemnie także.

— Wszystkim? cicho spytało dziewczę. Jam myślała, że tylko tej wieczny niepokój budzącej twarzyczce?

Konrad nie miał odwagi plątać się więcej; uśmiechnął się, nizko ukłonił i poszedł z gospodarzem, który go nie odstępował. Dopytywał, czy nie potrzebuje gondoli, czy nie zechce oglądać miasta, czy nie weźmie przewodnika na plac Ś. Marka i piazettę; a w istocie do dna badał i usiłował poznać gościa: nie przyszło mu trudno prostodusznego usidlić człowieka....

Następne dni przeszły szybko na oglądaniu miasta, które dożywało razem z rzeczpospolitą dni swoich i świetności starej... Dla cudzoziemców z da-

leka, z tej jeszcze ziemi, na której sztuka nigdy z nieustannie wzbierającego pączka nie miała czasu zakwitnąć — wszystko tu było dziwem i cudem... wszystko nauką nowego jakiegoś i niezrozumiałego życia. Konrad wprawdzie przygotowanym był czytaniem i myślami do pojęcia swej drugiej ojczyzny; fizyognomia jej nie była mu obcą, ale między opisem a rzeczywistością tyle się wciska niepochwyconych rysów...

Gorzej było z węgrzynkiem, który, jakkolwiek gra tu rolę podrzędną, jakkolwiek prosty sobie Maciek, nie może nas nie obchodzić. Węgrzynek bez języka, bez przewodnika i tłumacza, choć go Konrad wszędzie z sobą woził, aby się chłopczysko nie nudziło, był jak na niemieckiem kazaniu ciągle. Trudno mu było przy każdem objaśnieniu całą teoryą niepojętych dlań zjawisk wykładać. Maciek z otwartemi usty patrzył, podziwiał, ale nie rozumiał ani krzty.

— Już to ja, proszę jegomości, mówił drugiego dnia wieczorem, to tak jestem ciągle bezsenny, że mi się czasem zdaje, że to wszystko, na co człowiek patrzy, mara jakaś... Ale co osobliwości, to osobliwości, proszę jegomości; co rarytne, to rarytne... Aż strach, aby tego morze nie pochłonęło której nocy; bo nie wiem, czy pan zważał, ale dalipan, tu żadne domostwo i żadna wieża prosto nie stoi... gdyby pijane to na tę stronę, to na tamtę niby się walą... no, ale z dopustu Bożego do czasu to stoi...

A i, z pozwoleniem pana, kobiety, niech ich wszyscy djabli wezmą: młode, by anioły piękne, a stare brzydsze od djabłów.. Czy to może być, żeby z takich pięknych panien wyrastały tak srogo szkaradne baby! Chyba ztąd kobiety młode gdzie wywożą, a stare...

Nie dokończył machnąwszy ręką; i widząc, że pan się śmieje, sam też śmiać się począł.

Wezwał pan Zanaro wedle zwyczaju Eccelenzę do stołu, a węgrzynek, który już był się posilił i dobrze wina napił, sam pozostał.

Było mu zalecono pilno, ażeby stancyi strzegł, i z domu się sam, dla nieumiejętności języka, nie oddalał. Ale węgrzynkowi robiło się nudno, a ruch na *Riva* wyzywał go i nęcił. Przed oknami kuglarz właśnie hecę z małpą wyprawiał, i olbrzymia kobieta grała na bębnie, jak tu było wytrzymać?

— A co mi się ma stać jak wyjdę? rzekł do siebie, juścić bez rozpytania nazad do gospody potrafię, bo i wiem, że się Malta zowie! A tuć nic nie ukradną, bo trzosy gdzieś na przechowanie oddane, a drzwi się dobrze zamykają... pan nie zaraz powróci.

Jak rzekł, tak uczynił; ale się węgrzynek nie rozrachował dobrze z następstwami wycieczki. Nim zszedł z piętra po cichu, kuglarz i olbrzymka zni̇kli, lud się rozszedł, na placyku nie było już co robić i na co się wyszczerzyć. Węgrzynkowi świerzbiały pięty strasznie.

— Ano pójdę przed kościół Ś. Marka, rzekł sobie, to się podziwię tym złocistym obrazom, bom takich jako żyw nie widział.

Drogę znał trochę, i przez placyk pociągnął bardzo przyzwoicie na sam plac, przeżegnał się przed kościołem, zdjął czapkę, Zdrowaśkę odmówił, a począł się przyglądać, a przyglądając się i dumał.

— Poco to oni cztery konie na kościele postawili? Chyba to te, któremi S. Marek przyjechał przez morze, odpowiedział sam sobie i westchnął. Tłumaczenie własne uspokoiło go co do koni, ale wpatrzywszy się w jeden z mozaikowych obrazów, mocno się zgorszył i znowu okrutnie zadumał. — Spostrzegł na nim doskonale wyobrażonego świeżo zabitego wieprza *). Tyle razy o Bożem Narodzeniu i przed Wielką Nocą oglądał podobne na folwarku, myśląc o przyszłych kiełbasach, że nie mógł się omylić.

Nie znając legendy, nie rozumiejąc co tam wieprzowina robiła na kościele, Maciek posmutniał...

— Kie to licho zrozumie, rzekł ręką machnąwszy, kto go sobie namalował, niech sobie na niego patrzy...

---

*) Wenecyanie wykradając ciało św. Marka, okryli je wieprzowiną, aby odstręczyć od ściślejszego przeglądania urzędników granicznych. Jeden z obrazów na kościele to przedstawia.

Odszedł zgorszony od kościoła, a tu go zegar ze swemi sztukami bijący właśnie zatrzymał. Tuż przez bramę, widać było ciasnę uliczki na *Mercerycach*. Gdy zegar przestał bić i sztuki wyprawiać, Maćkowi się okrutnie zachciało wejrzeć tam w głąb tych ciasnych szyi, obstawionych sklepikami.

— Kiegożbym licha nazad nie miał trafić! rzekł w duchu, ano pójdę, zajrzę.

A miał na sobie jak przystało odzież nowiusieńką, z węgierska, z cienkiego sukna cale ładną, i pasik kowany i czapeczkę, magierkę piękną i wyglądał bardzo przystojnie; ludzie się też na niezwykły strój poczęli trochę gapić. Szczególniej jeden jakiś wielki drab, ponurej twarzy krok w krok za nim ciągnął, a z oka go nie spuszczał.

Ale Maćkowi nie było to w głowie i nie spojrzał nań nawet. Zaraz za bramą, która od Prokuracyi prowadzi w ciasne uliczki Merceryi, węgrzynkowi wpadły w oko sklepiki jeden dziwniejszy nad drugi... Rupiecie tam były wszelakie, których on użytku zrozumieć nie mógł. Gdy się tu zagapiwszy stoi, ów drab pchnął go mocno. Maćkowi krew buchnęła do głowy, bo był gorączka, więc też pięścią oddał. Drab zaraz przystanął, a tuż i do noża. Maciek odstąpił nieco zuchwało, choć do boju, ale bezorężny, ino wkoło patrzy, coby pochwycić, aby garść nie była próżną.

Ale włoszysko zmiarkowawszy, że chłopaka nie zje w kaszy, zamiast się doń porwać, jął okrutnie hałasować i krzyczeć.

— *Ladrone... canaglia...* i gorsze jeszcze wyrazy posypały się gradem. Maciek też usta otworzył i w długu nie chcąc zostać, nuż go po polsku bezcześcić. Na ten wrzask, tłum ze wszystkich sklepików jął się zbierać, gromadzić, obłegać, tak, że ciasne owo przejście całe się wnet ludźmi zatkało. Im głośniej wrzeszczał drab wywijając nożem, tem Maciek też serdeczniej mu dopiekał. Oba się nie rozumieli, ale doskonale domyślali się, że to nie musiały być błogosławieństwa.

Już się na to zabierało bardzo, że zbiry obu ich do więzienia pochwycić mieli, gdy w pośrodek między zwaśnionych wcisnęła się osobliwsza figura. Był to mały, blady garbusek, z głową ogromną a łysą jak kolano i błyszczącą, przyodziany dziwacznie, bo w koszuli tylko, spodeńkach letnich, z bosemi nogami w pantoflach, i w skórzanym od pracy świecącym a załojonym fartuchu... Na nosie miał ogromne okulary mosiężne, a że te widać tylko do roboty mu słyżyły, patrząc na świat spuszczał głowę, aby wyżej nich nagiemi oczyma mu się przyglądać, więc też i głowę osobliwszym sposobem wykręcał. Z za fartucha wyglądało mu godło rzemiosła jego kopyto drewniane, a w ręku (ręce miał żylaste i olbrzymie mimo niewielkiego wzrostu) trzymał szydło i dratwę.

Garbus zerkając z za okularów na obie strony, wciąż jedno ucho ku Maćkowi nastawiał, a co go doleciało przekleństwo, to się uśmiechnął, na osta-

tek jakby zniecierpliwiony przypadł do Maćka, porwał go za rękę żylastą dłonią i pociągnął wlekąc za sobą do małego sklepiku, którego drzwi zatrzasnął.

W ulicy wrzawa była ogromna, ale szewc ani słuchał jej, obrócił się do węgrzynka i — Maciek o mało z podziwienia nie struchlał — po polsku go ofuknął.

— Czegoż to się tak samopas po ulicach włóczycie w obcem mieście? hę?

Węgrzynek ręce złożył.

— A! Matkoż ty Boża! zkądże wy po polsku umiecie?

— A tobie co do tego smyku! rzekł szewc, mów! coś to zrobił? zkąd idziesz, i pocoś tu wlazł w to osie gniazdo?

— Mój dobrodzieju, panie szewcze, odparł Maciek, jam se na przechadzkę wyszedł z Malty... drab mi pierwszy dał racyą, tom ci mu oddał pięścią, jak się patrzy, a ta bestya zaraz hałasu narobiła.

— Czyjżeś ty jest? zapytał szewc żywo.

— A pana Lipińskiego z Robnina.

— I jakież was tu licho przygnało?

— No, toć do Ziemi Świętej jedziemy.

— Siedźże trutniu cicho, a czekaj! odparł gospodarz, i otworzył drzwi.

Przed progiem tłum jeszcze i ów drab cisnęli się i krzyczeli okrutnie, szewc na górnym wschod-

ku stanąwszy poważnie, wyglądał jak na kazalnicy. Skinął ręką... umilkło wszystko, odchrząknął...

— Czego chcecie! próżniaki, mazgaje, trutnie, psy Najświętszej Panny! hę! czego? Lenardo ty będziesz wisiał, ja ci mówię, że wisieć będziesz, jeźli ci pod czerwonym słupem na piacecie łba nie utną. Zaczepiłeś niewinnego chłopaka, sługę możnego pana polskiego, który ci tego płazem nie puści... Ja przeciwko tobie sam świadczyć będę... pierwszyś go kułakiem uderzył... chciałeś odrzeć lub kłótnię wykupnem skończyć, ale złamanego denara nie weźmiesz, a ja cię osadzę w więzieniu, ja, ja, jakem Jacopo Nani, hę! słyszysz!

Poparł tę mowę jak przystało obyczajem włoskim ogromnemi ruchami rąk żylastych, a w końcu tak się pięścią w piersi grzmotnął, że mu się aż okulary zsuwać poczęły niebezpiecznie zjeżdzając, poprawił je wszakże szybko, i miał tę pociechę, że wysiłek nie został bez skutków bo drab mrucząc wszył się w tłum, a ciżba powoli rozpływać się poczęła.

Dopiero Jacopo Nani zwrócił się do węgrzynka z uśmiechem.

— To twoje szczęście chłopcze, rzekł, że się ta awantura stała przed sklepem moim, bobyś z niej cało nie wyszedł i alboby cię odarto, albo zbito. Gadajże mi teraz, zkąd wy tutaj!

— A! mój dobrodzieju! odparł węgrzynek zmięszany, gęby nie otworzę dopóki się nie dowiem jakim sposobem wy po polsku umiecie toż... to...

Szewc siadł powoli na stołku, ręce opuścił i z za okularów spojrzał na chłopaka z uczuciem; w oczerwienionych powiekach kręciła mu się łza... głos miał też drżący.

— Hej! hej! zawołał — dziwno się wam zdało naszą mowę posłyszeć z takiego rozbitego jak ja garnka, ależ i mnie, i mnie com jej tyle lat nie słyszał... mało serce nie pękło...

Szewc otarł czoło i oczy...

— Toście wy też z Polski? spytał węgrzynek.

— A juścić! odpowiedział szewc, alem nie od dziś wywędrował, a wypchnęło mnie nieszczęście... Z którychże wy to stron?

— Od Poznania.

— A jam od Krakowa, moje dziecko... od tego starego dziaduszka naszego, nad którym Wawel na straży stoi, kędy mogiły Wandy i Krakusa... użem ja tu lat dwadzieścia na tych Włochach, i mowęm zmienił, i wrósłem tu i nawykłem, a gdy zasnę, to mi się śni Hejnał z Maryackiej wieży i śpiewa w duszy... aż płaczę... Oj! nie daj Boże włóczyć się po obcych i cudze wycierać kąty...

Maciek stał i słuchał, i jemu to znowu jakby snem się zdawało... byłby się też zasłuchał może niewiedzieć dopóki, gdyby nie przypomniał, że pan od stołu powrócić może i jego i klucza nieznaleźć.

Przyznał się tedy zaraz panu Jakubowi, który z kołka wziąwszy starą wytartą aksamitną, spłowiałą kurtę, rzekł...

— Choćbyś i trafił do Malty, ja cię na Rivę przeprowadzę, aby znowu nie opadli te zbóje... a pilnuj się mi chłopcze i sam nie chodź, bo cię tu co złego spotka.

Domawiał tych wyrazów szewc, gdy przez drzwi z głębi wyjrzała kobieca główka. Węgrzynkowi się w oczach zaćmiło, taka była piękna. Nic nie widział ino parę czarnych źrenic ogromnych, i śmiejące się białemi zębami usta, ale te ząbki go odrazu za serce pochwyciły.

Szewc jak tylko spostrzegł ciekawą, tupnął nogą i począł łajać po włosku.

— A nie pójdziesz ty mi precz! szatanie ty jakiś! a czego to tu wyglądasz? a co tu ciekawego? schowaj ty mi się zaraz, a prędko, bo kułakiem napędzę.

Maćkowi serce mdlało, a wpatrzył się w nią i ona w niego tak, że Jacopo nie rychło potrafił przepędzić niebożątko.

— O mój dobrodzieju! krzyknął Maciek gdy znikła, a cóż to za śliczne dziewczątko; a cóż to za malowana twarz.

Szewc milczał gdyby głuchy.

Niestety! była to córka jego Marietta, o którą w ciągłym był i tak niepokoju. Przybyło mu kłopotu. Czuł, że to spotkanie bez kozery nie będzie.

— Co ty tam po kątach patrzysz, zawołał, co ci tam po dziewczętach, hę! jeszcześ wąsa nie dostał; ot zabieraj się ze mną.

— Ale proszę pana majstra kto to taki? nalegał Maciek.

— Kto? odparł szewc, podnosząc na niego oczy, królewna neapolitańska... a teraz chodź!

I wyciągnął go na ulicę milczący, a doprowadziwszy do placyku, chciał porzucić.

— Mójże zbawco kochany, wstrzymując go i całując w ramię, rzekł Maciek, ja was nie puszczę, żebyśmy się nie widzieli; toć i wam miło być musi swoich zobaczyć?

— Jeszcze my się spotkamy, chmurno odpowiedział szewc, ale ty mi na Mercerye się nie włócz, bo cię djabli wezmą.

I odszedł. Maciek spuściwszy uszy po cichu, jak zmyty wrócił do Malty. Szczęściem, że tu nie postrzeżono jego wycieczki, bo Konrad poszedłszy do stołu, jeszcze był nazad nie wrócił.

A były powody ważne, dla których się tak opóźnił.

Ci sami goście, co dnia pierwszego zebrani byli w pokoju, gdy *gran ladrone* wprowadził Eccelenzę, jedna im tylko nowa przybyła postać, nieobojętna zdaje się dla Signory Zenobii, chociaż ona go niby nie znała, a on na nią ani patrzał. Udawanie jednak tak było w obojgu widocznem, że tylko Cavaliere Gerardi mógł się na niem niepoznać. Przybysz był

bardzo pięknym mężczyzną, lat zaledwie trzydziestu, strojnym wytwornie, i, jak ze stroju wnosić było można, wielkim panem lub wielkim w odegrywaniu państwa artystą.

Zanaro po cichu szepnął Konradowi, iż dostojny gość jest Principe Alesandro di Ponte-Vecchio, krewnym papieża nieboszczyka, bogatym Rzymianinem, jadącym z ważną misyą na dwór cesarski, o czem wszakże. najgłębsze milczenie zachować wypadało.

Principe tą razą podsiadł Polaka i znalazł się po drugiej stronie Signory Zenobii, która wciąż od niego głowę odwracając tego dnia, z szczególną uprzejmością rozmawiała z Cavalerem Gerardi. Zato przy Konradzie znalazła się Magdalenka Zanaro ze swym filuternym śmieszkiem. którym obdzielała doktora Niemca, Polaka, a rada była obdarzyć i Principe, ale Principe patrzał dziwnie jakoś wciąż na sufit, choć sufit nie był złocony i malowany jak w pałacu dożów.

Zanaro też tego dnia z osobliwszą pieczołowitością zajmował się Cavalerem Gerardi i traktował go Eccellenzą za każdą łyżką.

Signora Zanaro miała tego dnia minę poważną kobiety bardzo przyzwoitej, a zmuszonej wiedzieć o intrydze, której jej domyślać się nie wypadało. Mówiła o rzeczach obojętnych, o osychaniu Canal Grande, o Bucentaurze, o bliskiem święcie Bożego Ciała i jego wspaniałościach...

Principe di Ponte-Vecchio był zadumany i obojętny.

— Ledwie skończyli *brodo*, na którego pochwały wysilił się sam gospodarz, bo w istocie on sam tylko mógł je chwalić, Magdalenka pochyliła się ku Konradowi i szepnęła...

— Nie byliście na Lido?

— Ja! dotąd nie...

Czekają was tam z rybą... zaczęła się śmiać... ciocia Anunziata...

Konrad się zarumienił.

— Kapitan Zeno! dodało dziewczę.

— Szczerzem im obowiązany.

— I nikt więcej! zawołała Magdzia.

— A! rzekł Konrad.

— Tak! tak! ktoś trzeci to się może na was gniewa.

— Na mnie? spytał Lippi, za co?

— Ja to tam tego nie wiem.... szepnęła dziewczyna.

I zamilkli — a po chwili znowu Magdusia się ozwała:

— Widziałam śliczny różaniec...

— O! nie piękny, przerwał Konrad pomięszany...

— Jakże wiecie, kiedyście wy go widzieć jeszcze nie mogli? odparła żywo Magdalenka, zaczynając się śmiać... Mylicie się, mylicie... to różaniec z konch morskich i korali przeznaczony dla kogoś, ale niewiem dla kogo...

— Filut dziewczyna! pomyślał Konrad.

W tej chwili mimowolnie oczy zwróciwszy, dostrzegł jak Signora Zenobia, która bardzo żywą wiodła rozmowę z Cavalerem Gerardi, ręką w tył zwróconą od książęcia di Ponte-Vecchio, patrzącego zawsze na sufit, brała wciśnięty jej nader zręcznie bilecik. Przypomniało mu to, że był w kraju intryg i zdrad niewieścich i postanowił się mieć na baczności, ale to nie przeszkadzało nader ostrożnie po południu popłynąć na Lido.

Sądził, że tego obowiązku grzeczności względem kapitana Zeno dopełnić wypadało.

Magdusia, której oko manewr bilecikowy dostrzegło także, poczęła się bardzo śmiać, chwyciwszy chusteczkę do ust; ale śmiech złożyła na przypomnienie jakieś niewczesne.

— Spodziewam się, szepnęła sąsiadowi, że pan nie wydasz tajemnicy?

— A wy? odparł Konrad.

— Jabym to może zrobiła, gdyby... gdyby mi się to na co przydać mogło, szepnęła pocichu, ale muszę czekać dwa lata. Tak mówi ojciec i matka, mam dopiero czternaście... ale skończonych... więc cóż mi to szkodzi!

I puste dziewczę popatrzyło na Konrada, kładąc palce na ustach.

Zanaro gadatliwszy był jeszcze niż kiedykolwiek; dziwne wyplatał historye. Niewiedzieć jak rozmowę wprowadził na kapitana Zeno.

Znać dlatego, aby uwagę Polaka odwrócić od tej pary, która była na pozór dla siebie obojętną, jak w istocie bliską myślami i sercami. Oczywiście przygotowywało się coś tajemniczego, do czego służyła i serdeczność Signory Zenobii dla Cavaliere Gerardi i gadatliwość gospodarza i przybrana powaga młodego Principe di Ponte-Vecchio.

Nie wiadomo, jak się to stało, ale ku końcowi obiadu książę w bardzo żywej i serdecznej był rozmowie z Cavalierem, posłannikiem cesarskiego dworu. Signora Zenobia z dosyć kwaśną minką patrzała na to. Komedya odegrywała się z prawdziwie włoskim do intrygi talentem.

Od tavola rotonda rozchodząc się goście, rozmaite potworzyli projekta. Cavaliere z księciem pojechali razem gondolą. Signorę Zenobię głowa bolała. Konrad nie mówiąc nic nikomu, nie zaglądając nawet do mieszkania powierzonego straży Maćka, wysunął się na wybrzeże, skinął na gondoliera, i szepnął mu na ucho: Lido.

Na Lido bywały zawsze najlepsze kąpiele, gondolier się nie zdziwił, a nikt więcej nie słyszał. Magdusia tylko filutka domyśliła się i wyszpiegowawszy kierunek, w jakim posunęła się łódka, z okna plasnęła w dłonie. Konrad ani dostrzegł jej, ani uszów jego nie doszedł śmieszek wpół dziecinny.

Dzień był wiosenny, prześliczny, ciepły, lekki wiatr marszczył zaledwie wód powierzchnią, błyszczącą od pomarańczowych promieni zachodzącego słońca. Kanały pełne były czarnych gondoli zwijających się na wszystkie strony; zdała dochodziły urywane śpiewy młodszych przewoźników, powietrze pełne woni, wesela, świeżości, życia. Oddychając niem, wciągało się ochotę i siłę do życia, spokój i ufność jakąś, rozwianą ponad światem w tej chwili jego wiosennego rozkwitu.

Dziwnie też piękną, uroczą, jasną wydała się Wenecya Konradowi, w którego duszy jakby przypomnienie rodzinne praojcowskie odzywało się; czuł, że to wszystko gdzieś w przedświecie znał, widział i ukochał.

Po krótkiej przejażdżce gondola przybiła do piasczystego pustego prawie wybrzeża na Lido... Wyglądało ono smutniej, dziczej niż samo miasto, domki były stare, niskie, niepokaźne, ludności prawie nie widać, zpoza dachów domostw sterczały maszty łodzi drzemiących pod wyspą... Poobalane mury, ogródki, na których zieloność się wiła bujna, gdzieniegdzie uczepiona górą winna latorośl przy drzwiach rosnąca, obrazek Madony wyglądający nad drzwiami, rozweselały nieco, dość opuszczoną ławę piasku i morskich kamyków.

Nie trudno się było dopytać o domek kapitana Zeno, pierwszy przechodzień z wiosłem na ramie-

niu pokazał go Konradowi... Stał on w prawo nad samym morza brzegiem i znać nie od dziś dnia rozpoczął życie, kilka pokoleń lepiło tę budowę tem piękną, właśnie, że niespodziane przedstawiała linije, załomy, wyskoki, dające jej niezmiernie malowniczą powierzchowność. — Dokoła opasywały ją wschodki, poczepiane słupki, galerye, winne gałęzie i rozpięta na jednej ze ścian cytryna, której pień stary żenił się z suchą latoroślą winną, i liście się mięszały razem. Zpośrodka gęstej zieleni, do której i bluszcz pasożyt się przymieszał tu i owdzie wyglądało okno, wychylały się drzwi ciemne, przez które sięgnąć było można do głębi dziwacznie skleconego domostwa. Gość przychodzący musiał się dobrze namyślać, kędy wnijść do środka, kilkoro bowiem równouprawnionych drzwi z obrazkami Madon i Świętych zdawały się go wyzywać zarówno, a nic głównych nie oznaczało. Byłby też może Konrad w niepewności pozostał, gdyby go u muru otaczającego ogródek nie spotkała miła niespodzianka... spostrzegł osłoniętą kapeluszem słomkowym dobrze sobie znaną z Padre Antonio twarzyczkę Cazity, która mu się uśmiechała wdzięcznie.

— A! przecieżeście sobie przypomnieli obietnicę waszą, zawołało dziewczę, ale przychodzicie właśnie, gdy ojca mojego nie ma w domu.... Co za szkoda! jak będzie żałować. Szczęściem spodziewamy się go pewnie przed wieczorem, pojechał

tylko do Scoła di San-Rocco na radę, doczekacie się go pewnie. — Dam znać cioci Anunziacie! wejdźcie proszę, tam, tam, temi drzwiami, nad któremi jest ś. Franciszek i Antoni, opiekunowie nasi domowi... ja zaraz przybiegnę poza murem... i wprowadzę was.

Stało się jak rozkazała Cazità, i nim Konrad ze drzwi po wschodkach wszedł do sieni, już ona drugiemi wbiegłszy do domu od ogrodu, witała go zarumieniona i wiodła po wschodkach dalej na górę do paradnych pokojów, któremi się jej pilno było pochwalić. Zwabiona jej głosem szczebiotliwym ciocia Anunziata z głową siwą w nieładzie zjawiła się także na przyjęcie gościa, któremu mniej daleko rada była niż siostrzenica.

Pokoiki na górze, które kilka pokoleń marynarzy przystrajało, wyglądały trochę dziwnie może, ale ładnie. Był tam sprzęt różnych lat, zwierciadełka weneckie, szkła stare z Murano, konchy z różnych wybrzeżów, kilka dawnych obrazów, stołki rzeźbione i szafy dębowe i wschodnie kobierce nie wytworne, przecież nęcące oczy. Z okien cudny widok na morze, wpośród którego rzędami stały powbijane pale, a na najbliższym z nich rodzaj ołtarzyka drewnianego z Matką Boską... Na opałowych falach ze złotemi odbłyski, snuły się barki rybackie i statki z drzewem i łódki z warzywem i zielenią. Cazità otworzyła okno, przez które do wnętrza zajrzała ciekawa gałąź winnej latorośli.

— Patrz pan, rzekła, oto tam ten statek odpoczywający na kotwicy, ze zwiniętemi żaglami, to nasz Padre Antonio. Jak tam teraz cicho i spokojnie, żywej duszy na pokładzie, a za dni kilka, najdalej za tygodni parę ruszy on znowu zabierając nam ojca, i z ciocią Anunziatą zostaniemy same w tej pustce, na oczekiwaniu i modlitwie.

Ciotka tylko pomrukiwała, widocznie przerwana siesta popołudniowa jeszcze jej oczy kleiła i ustom odebrała siłę do rozmowy, kiwała głową, tłumiąc ziewanie natrętne. Zato Cazità ożywioną była jak nigdy, a w domu własnym czuła się śmielszą i panią, wiedziała, że na niej leżało przyjęcie gościnne.

Strój dziewczęcia nie tak wytworny, dość prosty nawet, nie ujmował jej wdzięku, czynił ją może ponętniejszą jeszcze. Cała twarzyczka gorzała przechadzką i skwarem dnia spędzonego na powietrzu, w wyziewach morza... i spiece ogrzanych piasków.

— Zaprosiliśmy was wprawdzie na rybę z ciocią Anunziatą, rzekła, bo nikt tak ryby nie umie przyprawiać jak ciocia, ale drugi raz musicie, bo od tego nie odstąpimy, przybyć na nasz przysmak; dziś już zapóźno... ryby świeżej nie ma, przywiozą ją dopiero rano. Przyjmiemy was jak na okręcie szklanką wina i chlebem.

To mówiąc, pobiegła do szafy i poczęła się sama krzątać przy stole... Ciocia Anunziata jeszcze do życia całkiem rozbudzoną nie była. Konrad onieśmielony, wpatrzony, niewiele mógł mówić.

— Wam się tu pewnie wyda pusto, może nudno, może dziko, mówiło dziewczę, ale ja moje Lido kocham i jest mi dobrze i wesoło. Patrzę na całą Wenecyą z tego okna, dodała, z tego na morze... tu San Giorgio... tam Campanila Ś. Marka... Salute, Dogana... wyspa Ś. Heleny, z drugiej strony... w dali domki na Giudecca... ot i część Canal grande... Ci co żyją w samem mieście, tak go jak my dobrze nie oglądają.

Przytem cicho tu i spokojniej.. i mamy drzewa, zieloność, ogródek, a obróciwszy się widać morze... nasze lazurowe morze... Tylko w zimie, gdy burza ryczy, domek się nasz trzęsie i fale biją o mury prawie, i noc całą słychać zagniewaną wodę mruczącą i rozbijającą się o wybrzeże, ale myśmy do tego przywykły...

Ja usypiam wsród tego szumu spokojna, bo oko Boże czuwa nad nami...

Nie myślcie też, mówiła prawie nie ustawając, żebyśmy my tu na Lido zawsze tak pustelnicze wiodły życie, kilka razy do roku mamy *fierę*, cała Wenecya zbiega się na Lido, przekupnie, garkuchnie, kuglarze, muzyka, tańce... o! i jest bardzo wesoło. — Ale nam dużo szkody w ogrodach narobią zawsze.

— Więc tu cały rok żyjecie? spytał Konrad.

— Ojca najczęściej nie ma w domu, odpowiedziało dziewczę, ojciec musi zarabiać na morzu ze statkiem, a gdyby i mógł spocząć, to już tak przy-

wykł do tej włóczęgi po wodzie, żeby niewytrzymał. Czasem gdy dłużej posiedzieć mu przyjdzie, znać już po nim, że się nudzi, a gdy odpływa to choć mu ciężko się rozstać z nami, twarz jego zaraz promienieje inaczej... Naówczas, gdy żagle statku Padre Antonio znikną nam z oczów, zaczynamy się z ciotką modlić o jego powrót szczęśliwy i czekać, aż się nam znane jego żagle pokażą znowu... Czasem odwozi nas ojciec do Tryestu do krewnych i tam czas jakiś przesiedzimy, ale zwykle ja, ciocia i stary sąsiad Pietro, którego opiece jesteśmy powierzone... pilnujemy domu.

Ale niemyślcie, byśmy się nudziły, jeździm do miasta na odpusty, na regaty, na muzykę, na plac S. Marka, mamy dużo znajomych.

— A! prawda, przerwał Konrad, wszak i rodzina Zanaro z Croce di Malta znajomą wam jest także, a Magdalena jest przyjaciołką waszą.

— Dobre dziecko! odparła Cazità.. ale dziecko jeszcze, ja więcej niż o rok przecie jestem od niej starsza! wymówiła to z pewną dumą.

— Zanaro wielki filut, dodała Anunziata, niepowiadam, żeby był zły lub nieuczciwy człowiek, ale bardzo przebiegły i ze słabości ludzkich nawykł korzystać.

Konrad wspomniawszy ranek uśmiechnął się.

— Magdzia będzie kiedyś ładną, dodała Cazità, nieprawdaż?

— I pewnie nie ustąpi ojcu w przebiegłości,

dodał Konrad; z oczów jej patrzy... większa nad wiek dojrzałość.

— O! to prawda, potakiwała ciotka Anunziata, ale w gospodzie między obcymi niepodobna się jej było długo dzieckiem uchować.

I pomruczała coś niezrozumiale ciotka, ruszając ramionami.

— Cóż to szkodzi, że trzpiotowata, wesoła i przebiegła, przerwała Cazità; wszyscy nam ciągle mówią, ze jesteśmy przez mężczyzn oszukiwane; to lepiej, że się ma na baczności, i gotuje do obrony.

— Czyż wszyscy mężczyzni, spytał Konrad, tak złą u was sławę mają?

— Ja nie wiem; przynajmniej naszego kraju panowie nie odznaczają się cnotą wierności, i ciągle sama ciocia powtarza, ażeby się ich strzedz, bo są wielcy oszuści.

— O! o! nietylko nasi, moja kochana, dodała ciotka, wszyscy oni jednacy z końca w koniec świata, i wszyscy czychają tylko na zgubę naszą.

— Muszę się też ująć za płcią moją, odezwał się Konrad, niewiem jak tu w Wenecyi się dzieje, ale u nas w Polsce myśmy dobrymi mężami i stałymi wielbicielami. Nie słychać u nas tych skarg i żalów na mężczyzn, więcej może na rodzaj niewieści.

— O! to słowo w słowo jak wszędzie, rzekła Anunziata. Kobiety na mężczyzn, mężczyzni narzekają na niewiasty, a słabsze my, zawsześmy pokrzywdzone.

Konrad się uśmiechnął. W czasie, gdy ciocia sobie gderała, oczy młodych, niepamiętne przestróg siwizny, grały scenę z odwiecznego miłości dramatu, prolog ów czarowny poznania, cichą rozmowę pierwszą bez słów a tak wyraźną. To ona, to on, spuszczali źrenice, to ona wybiegała niemi gdzieś w dal, udając obojętność, to on patrzał w stronę, nie chcąc być natrętnym, a potem powoli wracali do siebie, i usta się uśmiechały, i wejrzenia badały, i sprzeczały znowu i godziły drżące a bojaźliwe.

— Wyście mnie obdarzyli kosztownym i pięknym upominkiem z waszego kraju, odparło dziewczę; ja nie mogę zostać dłużną, choć ubogim datkiem muszę się wam wypłacić. Mam i ja, rzekła, różaniec dla was, ale skromny, z konch naszych morskich, ubogi. Wszak macie siostrę? dodała rumieniąc się.

— Tylko jedną siostrę, rzekł Konrad, jakby zrozumiał pytania znaczenie, tylko siostrę jedną, ani matki ani z kobiet nikogo; ale my Polacy mamy zwyczaj i mężczyzni modlić się na koronkach.

Ciocia Anunziata zamilczała, Cazità dobyła swój różaniec z morskich muszelek drobnych i zawstydzona podała go Konradowi, który pochwycił jej rączkę i mimo, że mu się wyrywała trochę, ucałował ją usty gorącemi. Pocałunek ten pełen poszanowania był zarazem tak pełny ognia, iż dziewczę siąść musiało, tak się niem poruszonem uczuło.

Cała jej twarz oblała się rumieńcem, ale oczy były wesołe, choć nie tak już śmiałe jak przed chwilą.

Szczęściem wśród tej chwili zakłopotania, głos powracającego z narady Bractwa Ś. Rocha kapitana Zeno dał się słyszeć na wschodkach. Rozradowane dziewczę podbiegło naprzeciw niego.

— Ojcze! ojcze! zawołała, mamy gościa.

— Już wiem, rzekł kapitan.

— Jakim sposobem?

— Na drodze spotkałem Zanara, a Zanaro wié o wszystkiem, nawet dokąd płynie gondola jego gości, choć nikomu o sobie nie mówi... Witam was, rzekł, wstępując na próg, witam, ale ciocia Anunziata nie dopisze nam z rybą dzisiaj.

— Już eśmy się ułożyli, podchwyciła dziewczyna, że Polak nasz musi na rybę przybyć raz drugi i to rano.

— Juścićby się ryba znalazła, odpowiedziała ciotka, ale ani ladajakiej ani ladajako dać nie mogę cudzoziemcowi, który może ją raz tylko w życiu jeść będzie. Chciałabym, żeby smak jej powiózł z sobą do kraju, i całe życie go pamiętał.

— Nie potrzeba ryby na to, żeby mi gościnność wasza nigdy z pamięci nie wyszła — odpowiedział Konrad cioci, ale patrząc na siostrzenicę — nie zapomina się obcemu przyjacielsko podanej dłoni, i tak miłego jak wasze przyjęcie.

Cazitá wejrzała smętnie na niego.

— A cóż z waszą dalszą podróżą? zapytał kapitan, macieli już statek?

— O! nie jeszcze, nawet ani pewności, że pojadę; wszyscy się uwzięli mnie straszyć.

— No, to już i ja dodam moją radę, rzekł Zeno, wiem z najlepszego źródła o morowem powietrzu w Jaffie wybuchłem; pójdzie ono karawanami po całym wschodzie. Nikt teraz nie popłynie z Cypru do Aleksandryi ani do Tripolis. Potrzeba wędrówkę pobożną odłożyć na raz inny.

— Ale czyż to rzecz pewna? spytał Konrad.

— Tak pewna, że ja, com zamierzał znowu na wschód płynąć, dalej jak do Cypru nie sięgnę, rzekł Zeno, nie chcę ani ludzi tracić, ani sam na pewną niemal śmierć się narażać — i wy zostańcie w Wenecyi. Na Boże Ciało, jak zwykle, karawana pielgrzymów nie wyruszy, odstraszy ich powietrze... Potem, potem już nie ma zwyczaju wybierać się do Ziemi Świętej, i nie ma tak dobrych zręczności, posiedzicie chyba do drugiej wiosny.

Konrad posmutniał, spuścił głowę.

— Sam jeszcze nie wiem co zrobię, rzekł, pojadę do Padwy, poszukam czy mi tu jacy choć dalecy krewni nie zostali, zobaczę choć ten dom, w którym się pradziad mój urodził i wychował, a potem... spojrzał na Cazitę ukradkiem — zobaczymy! Trzeba też będzie i do domu powracać!

— Tak prędko? spytał Zeno, tak prędko? a po cóż było jechać? musicie przecie poznać *Venezia*

la bella, swoją dawną ojczyznę, a jeźli zechcecie tylko obejść kościoły, podziwić się obrazom, przypatrzeć ludziom, pokłonić pięknościom, obejrzeć cuda... dużo na to czasu będzie potrzeba.

— O Wenecya! prędko przerwała Cazità, gdybyście weszli tylko na wieżę San Giorgio, albo Ś. Marka, gdzie tak wygodnie bez wschodów można tańcując zabiedz, dopierobyście zobaczyli jaka rozległa, jaka cudowna, ile kościołów, placów, a wszędzie pamiątki, co krok osobliwości. Wszystko przecież obejrzeć musicie.

— Będę się starał, rzekł Konrad, i nie zbywa mi na ciekawości, ale mi smutno, że się do Ziemi Świętej nie dostanę.

— E! życie długie! przerwał Zeno, nie teraz, to potem... wyście młodzi, zresztą rok upływa szybko, szczególniej w Wenecyi i w waszym wieku... na przyszłą wiosnę o morze słychać nie będzie. Tylko dałbym wam jedną dobrą radę, dodał kapitan, ale się zawahał.

— Proszę o nią, rzekł Konrad.

— Jeźli dłużej tu pobyć macie, zniżając głos dodał Zeno, czy koniecznie w gospodzie przebywać musicie? Zanaro jest zapewne wśród oberżystów dobry jeszcze człowiek, ale nikt od niego z nieopróżnioną nie wyszedł kieszenią. Poczciwy, ale filut. Nie chciałbym mu krzywdy czynić, pozbawiając tak dostojnego i pożądanego gościa, jednak wolę wam niż jemu uczynić przysługę.

— Znacież, gdzie lepsze miejsce? zapytał Konrad...

— O! ja... nie, ale później, gdy się z miastem obeznacie, nad Canal grande pełno domów pustych, a w domach rodzin zubożałych, znajdziecie łatwo do najęcia kątek i stół taniej niż u poczciwego Zanaro, który przywykł trochę ze skóry odzierać.

Konrad ścisnął za rękę kapitana uśmiechając się...

— Dostrzegłem ja to już sam, szepnął, ale obcemu w miejscu nieznanem, trudno sobie dać rady...

— To się obeznacie, odparł kapitan jakby się nagle pomiarkował; zresztą nie pilno to jeszcze... a Zanaro was nie puści łatwo...

Gdy ojciec to mówił twarzyczka Cazity to rumieniła się to bladła, spodziewała się podobno innego końca rozmowy... ale ojciec surowo spoglądał na nią, i nagle przerwał...

Ciocia Anunziata wyprowadziła Cazitę na jakąś naradę, zapewne względem ryby i zaproszenia Polaka na śniadanie, aby już raz się go pozbyć, a Zeno dodał, obejrzawszy się, gdy zostali sami:

— Niechciałem tego mówić przy córce, ale Zanara nie darmo zowią gondolierowie *il gran ladrone*, lis to szczwany, a wyście młodzi; pełno u niego pięknych twarzy, gdy takiego jak wy majętnego gościa potrzeba przytrzymać... miejcie się na baczności... Nawet córki się popsuć nie obawia... stary wyga... ale... dość...

Weszła Cazità z ciocią.

— Otóżeśmy uradziły, zawołała, na przyszły piątek będzie doskonała ryba, Pietro wcześnie ją zamówi u starego poczciwego rybaka... więc prosimy Cavaliera na piątek przed południem.

— Tylko się proszę niepóźnić, bo ryba zła będzie, zawołała ciocia Anunziata; a już ją sama muszę przyprawiać, bo mi chodzi, aby była taka, jaką aniołowie tylko jedzą w niebie.

— Jeźli w niebie jedzą! rzekł uśmiechając się Zeno.

— A juścić! ofuknęła na to niedowiarstwo ciocia, spodziewam się że muszą, jeźli gdzie, to tam, być z postem i rybą!!

Pewną będąc, że obroniła religijnego dogmatu, ciocia przybrała minę surową... Cazità uśmiechała się dziwnie, Zeno spuścił oczy.

Nasz gość spojrzał przez okno, widział, że wieczór szybko nadchodził; jemu oddalić się wypadało, a tęskno, przykro było ten cichy kątek i tych poczciwych ludzi i te oczka co mu tyle mówiły — opuścić. — Wziął za kołpaczek...

Cazità spojrzała, i dużo tam coś przez wejrzenie jej skromne weszło do jego serca. Nie byłoto dziś owe trzpiotowate, wesołe dziecko, które pierwszy raz z takim *brio* wyskoczyło na pokład okrętowy; jakąś mgłą zamyślenia zachodziły czarne jej źrenice, czoło powlokła zaduma, a choć usta się uśmiechały, to jakby tylko ze starego nałogu.

Ledwie dosłyszane westchnienie zpod warg koralowych się wyrwało.

Konrad żegnał do piątku, Zeno wziąwszy swą domową czapkę czerwoną wenecką, odprowadzał do gondoli, a z okienka zpomiędzy zielonych liści cytryny i winnej latorośli twarzyczka nań patrzała Cazity, to się chowając, gdy się ojcowskiego wejrzenia spodziewała, to błyskając oczkami, gdy mogła go uniknąć a spojrzeć jeszcze na piórko u kołpaczka...

— O! niegodziwy, rzekła sobie w duchu, niegodziwy! nie klęka, nie zaklina się, nie płacze, nie mówi, prawie nie patrzy, a czaruje mnie oczami! I tak po nim tęskno, jakby już w niebie Madona nasze pierścionki pomieniała!

Konrad rzucił się w głąb gondoli na czarne poduszki i doświadczył po raz pierwszy jak w tej łódce marzyć dobrze kołysanemu falą, niesionemu wiosły szybkiemi.

Ani się spodział, gdy go wysadzili na Riva, naprzeciw tej Croce di Malta, która wraz ze swem otoczeniem po małym domku na Lido, wydała mu się niemal brudną, a nadto gwarliwą i nieznośną gospodą.

W progu stała śmiejąca się Magdalenka szpiegując powrotu, a Maciek zamyślony, z kluczami, oparty o uszak, oczekiwał także na pana, medytując nad swą przygodą. Dziewczę z tego niemego Polaczka młokosa śmiało się i rade było z nim

pofiglować, ale Maciek tą razą był poważny, jakby wrócił z cmentarza. Myślał o szewcu... a co gorzej o diabelskich czarnych oczach tej królewnej Neapolitańskiej, którą widział na progu sklepiku u szewca.

— Co pan dasz? spytała Magdzia wracającego, jeźli zgadnę gdzie byłeś?

— Nie wielka sztuka, odparł Konrad; gondolę widać zdaleka, a panienka jesteś zbyt grzeczną, żebyś nie dorozumiała się, że będąc winien wizytę, oddać ją musiałem.

— *Poverino!* litując się rzekła Magdusia — biedaczek! musiał! prawda! Jak spełnienie tej powinności drogo kosztowało? nieprawdaż? I poczęła się śmiać.

— Za co mi dokuczasz? spytał Konrad w dobrym humorze... ojcu się poskarżę.

— Znać, żeś nie wenecyanin, dodało dziewczę figlarnie, bobyś nie skarżąc się nikomu, czternastoletniej dziewczynie dał naukę, ale teraz to już z tego nic nie będzie, bo ucieknę...

Uśmiechnęła się, wyciągając szyjkę ku niemu i już jej nie było.

— Nie winszuję temu, kto na jej białe ząbki popadnie! rzekł do siebie Konrad. Ale w tem zobaczył stojącego jak na pokucie Maćka, osmutniałego widocznie i spytał go po polsku, lekko zakręciwszy za ucho:

— Cóż ci to chłopcze? czyś chory?

— A! gdybyć chory! proszę pana, toby to jeszcze nic, rzekł Maciek, człekby się wódki z pieprzem napił albo co, toby i przeszło, ale tu w tem mieścisku, to człek z rozumu zejdzie.

— No! co ci tam nowego?

— A cóż proszę Jaśnie pana, tać to i ja miałem już awanturę!

— Ty? awanturę.

— Juści się przed Jaśnie panem taić nie będę, jeszcze mi się we łbie kręci.

— Całyś wyszedł? spytał troskliwie Konrad.

— E! no, jeszczeć mi nic, tylko po głowie świdruje.

— Gadajże co to było?

Maciek wziął klucze i prowadząc pana do mieszkania tak począł:

— Jak Jęgomość poszli na obiad, przyznaję się, że mnie skorciało troszkę sobie wyjść na powietrze, zwłaszcza, że pod oknami drab baba w bęben biła, a jak żyw nie widziałem takiej okrutnej kobiety i jeszcze z bębeniskiem, tak ja myślę sobie wyjdę ino na próg; ale nimem się z tych przeklętych schodów stoczył, już nie było kobiety ani bębna. Nudno mi się zrobiło, myślę sobie pójdę przed Ś. Marka Zdrowaśkę zmówię, co mi ma być? Ta i poszło się... Popatrzyłem na kościolisko, straszecznie bestya piękna, ino nie rozumiem dlaczego na nim świnię namalowali, otoczywszy złotem...

Konrad się począł śmiać.

— Ano, to tam fracha ta świnia, z przeproszeniem pańskiem, ale proszęno posłuchać co dalej... Stanąwszy ja przed kościołem, myślę sobie, gdyby człek trochę się po ziemi przeszedł, bo aż nogi pozaklękały, tylko się ustawicznie pływa a pływa... A co mi się ma stać jak pójdę w uliczkę kruciuśko i nazad powrócę? Zegarzysko biło, a figurki na nim tańcowały gdyby w szopce; nacudowawszy się idę, ta idę, patrzę drab okrutny jakiś za mną. A co mi tam do niego? myślę, on idzie ja idę, idziewa we dwóch, ta i po wszystkiem... A no czegoś idąc bestya prycha, a ociera się blisko, widocznie szuka racyi. Trzeba Jegomości wiedzieć, że ja mu temu chłopu daj Boże brodą do pasa dostać, tak to wyrosło niepoczciwe jakieś zielsko... ale, myślę ja sobie, żebyś ty był jak ta wieża to ja cię się nie zlęknę... Idę w uliczkę, a dziwuję się łachmanom i ciasnocie, bo co brudno to brudno, kiedy ja sobie najspokojniej się gapię, ten mnie pod bok i jak zacznie krzyczeć a łajać a wydziwiać! Jezu Maryo! prawda żem nie rozumiał tylko jedno *Canaglia*, ale jam tego do siebie nie brał tylko do kanałów, ale też go nie poszczędziłem i jak pocznę sypać mu od kpów albo jeszcze lepszego, tak tylko co do bójki nie przyszło... Ale drab noża dobył, a przy mnie i kozika nie było, myślę sobie, aby co złapać to mu cisnę w chrapy... A tu jak się pocznie obdartusów ciżba, dzieci, bab, różnego luda cisnąć, tłok, tak ani się

ruszyć. Widzę, że będzie źle, bo gromada na jednego, toć pewnie swój za swoim pociągnie, i już tylko patrzę, gdzieby się przyprzeć, aby z tyłu mnie nie wzięli, aż wylatuje mały szewczyna, stary, w okularach ze sklepiku bod bokiem. Ino popatrzał, kiedy nie chwyci mnie i cisnął do kramu a drzwi zatrzasnął.

Pomiarkowałem, żem tu już był bezpiecznym... dopierom odetchnął... widać Pan Bóg się ulitował, że mi tego starowinę zesłał.

Stary, słyszę tylko, ode drzwi jak pocznie sam łajać, lud mu się zaraz ustąpił; kiedy powróci do izby, proszę Jegomości, omało na wznak nie padłem, wszak po polsku do mnie zagadał.

— Co pleciesz? krzyknął Konrad, szewc Włoch po polsku.

— A toż to jest, proszę Jegomości, że Włoch a nie Włoch, nieprzymierzając jakby to sam pan co Polak, a nie Polak, tak i to, bo z Krakowa rodem.

— Czy ci się śni?

— Ale ba! kiedy mnie aż tu przyprowadził i dobrze nałajał, za com z domu się sam ważył... a com jeszcze u niego widział, dodał ciszej.

— Cóżeś ty tam zobaczył jeszcze? spytał Konrad.

— Ano, taką dziewczynę, z pozwoleniem pańskiem, że jak żyw jeszcze podobnej nie śniłem nawet... ino że to nie dziewczyna, a on powiada, że królewna neapolitańska.

— Zwaryował, rzekł poważnie, z politowaniem Konrad, przystępując do niego; zwaryował albo się upił.

— Nie, proszę jegomości, odparł smutnie Maciek, jeźli to waryacya to nie wiem, ino mi się nie zdaje... ale co wina tom nie tykał!

— Gdzież? co? jak?

Maciek począł na nowo.

— Co ja tu z tobą będę bałakał, zawołał Konrad, biorąc kołpak, trafisz do szewca?

— A jakby nie? porwał się chłopak, choć po nocy.

— Prowadź! rzekł krótko Lipiński.

Nie tracąc chwili, wyszli z gospody. Węgrzynek przodem biegł oglądając się na pana. Minęli wieżę i bramę, weszli do Merceryi, ale tu już trochę zmierzchało. Gdzieniegdzie błyszczały lampki pozapalane pod obrazami Madon. — Maciek zdaleka poznał na wschodkach siedzącego swego szewca, a po zanim o stopień wyżej przecudowną czarnobrewę Mariettę.

— Otóż i on i królewna neapolitańska, krzyknął do pana.

Ale zaledwie ją mógł dojrzeć Konrad, szewc, który chłopaka poznał, skinął na córkę aby uszła, i dziewczę musiało się skryć wgłąb domostwa, przez szparę tylko posyłając ku przybyszom wzrok ciekawy.

— Panie majstrze! krzyknął Maciek, oto i mój pan.

Szewc wstał, zdejmując czapeczkę.

— Przyszedłem wam sam podziękować za to, żeście mi chłopca szalonego nie dali stłuc na miazgę — alem zrazu całej historyi mało wiary dawał.

Jakub skinął, aby weszli. Niespodzianie przystąpiwszy do drzwi, zetknął się z ciekawą Mariettą, która do drugich uciekła. Tymczasem goście weszli do sklepiku, gdzie już lampka tlała przed N. Panną i Ś. Antonim. Tu dopiero gdy za sobą zamknął od ulicy, do kolan się schylił pan Jakub przybyłemu, a czule i z serca, od wielu lat stroju i twarzy swojej nie widział, nie słyszał mowy, na raz odzywało się w jego duszy co dawno miał za umarłe, i łzy mu powoli ciekły z powiek, ale ich za okularami nie było szczęściem widać. Starł fartuchem stołek i posadził na nim pana Konrada... głosu mu brakło zrazu na powitanie.

— Bóg wam zapłać, rzekł wreszcie, że ubogą dziurę moją chcieliście nawiedzić. Chłopiec nie skłamał, Polak jestem, ino dawno ze swojej się ziemi wyszło, a długo po obcych włóczyło, dużo biedy najadło i biedzie się jeść dało, aż tu wiatr przypędził na tę smrodliwą uliczkę, na stare lata; ale to mój dobrodzieju, swoja już chata, po nieboszcze żonie, po której mi ino ten muru kawałek i córka została? Szewc mówił i płakał, język mu się plątał z radości, że swoją mową się mógł odezwać, a co chwila za kolano ściskał Konrada.

Tymczasem Maciek stojąc w kącie, dopatrzył szpary we drzwiach, a w szparze czarnego oka i taki był do niego pobożny, jakby się obawiał utracić jednego wejrzenia. Odbywało się to w sekrecie; szewc był zajęty gościem.

Z szewca nie trudno było dobyć jego przygody; po długim odpoczynku język mu świerzbiał, jął więc opowiadać i jak z Krakowa uciekał i jak w Szląsku się bawił, i jak potem podniemczawszy, do Wiednia się dostał, a koniec końcem zawieruszył aż do Wenecyi. W historyi tej w istocie wiele było biedy, trafunków, ale co najosobliwsza, że niepozorny szewczyna znalazłszy służbę u wdowy pani majstrowej Nani, naostatek ją poślubił, a ta mu kamieniczkę, prawda tylko o dwóch oknach od ciasnej uliczki, zostawiła wraz z córką. Od ożenienia swego, Nanim się nazywał, i tak go tam już ludzie ochrzcili, a zwłoszał i przywykł do swojej budy, tak, że tu już czekał rychło mu wybije ostatnia godzina.

Jedyną troską była córka Marjetta, i nadto piękna i niezmiernie, jak ją nazywał, *ciekawa*.

— Toć to pewnie ta, rzekł ciszej Konrad, co mi ją Maciek nazwał królową neapolitańską.

— A cóżem mu miał powiedzieć, odparł szewc, tak mi ją oczyma jadł, żem musiał go czemś odpędzić.

Nuż tedy rozpytywać, nuż w gawędę; a szlachcic jak się stęskni za swymi, czemuby i z szewcem

pogawędzić nie miał; dosyć, że tak poszło do nocy. Tylko że w Wenecyi, zwłaszcza wiosną, nocy nie znają, rychlej we dnie zasną. Maciek przez szparę odedrzwi patrzał ciągle, mało nie oślepł.

Powiedział też i szlachcic majstrowi, jak i poco przybył, co go tu sprowadziło, i jakie miał nadal zamiary.

Nani głową pokręcił.

— Do Ziemi Świętej ani myśleć, kiedy wam tu już prawią, że mór panuje, rzekł powoli, ale i tu wam trzeba ostrożnie, bo miasta nie znacie, a choć ja sam w niem jak swój już, ale straszniejszej jamy dla cudzoziemca niema, dodał, jak Wenecya. Świeci się to świeci, a wesoło wygląda; mało kto jednak bez płaczu ztąd odjechał. Kobiety — wyjąwszy moją żonę nieboszczkę, a daj Boże, córkę — istne djabły... młodemu człowiekowi chyba z zawiązanemi chodzić oczyma.

Konrad się uśmiechnął i westchnął razem.

— Gospodarza też z pod Krzyża maltańskiego, mówił szewc, znam dobrze... a no! i o temby dużo gadać jeszcze. Zabić nie zabije, jak to się tu w tych Włoszech trafia często; okraść nie okradnie, ale z kieszeni wyłudzić i za poły różnemi sposoby w domu przytrzymać potrafi. Więc się jegomość strzeż, chceszli na czas i cały do domu powrócić, dodał szewc.

— No! a wy, toć pewnie też myślicie kiedyś na swoją ziemię wrócić także?

W milczeniu podniósł głowę Nani... łzy mu płynęły ciche po fałdach wyżółkłej twarzy.

— Marzyło się to, rzekł, dawniej, niegdyś, marzyło, z dnia na dzień odkładało, ale mój dobrodzieju, postaw ino człowieka na jakiej chcesz ziemi, to jak drzewo do niej przyrośnie, już go potem chyba wicher wyrwie z niej. Jeźli się zatęskni, to się obraca jak słonecznik w tamtą stronę, z której wyszedł, ale oderwać się... nie ma sposobu. Mnie tu dziecko i ten kawałek muru przykuł; co jabym robił z tą dziewczyną, jakbym ją na suchy ląd wyprowadził... onaby zmarniała, a ja z nią. I poco tam iść? ino groby... A ktoby tam człowieka poznał? Gdyby w zaduszny dzień ludzie wstawali, to jeszcze...

Spuścił głowę stary, okulary mu spadły, podniósł je i otarł milczący. Panu Konradowi zrobiło się też czegoś smutno; a że mu się różne rzeczy po głowie snuły, znalazł się na języku i kapitan Zeno.

— To wy zapewne znacie już to całe miasto, od tylu lat mieszkając?

— Tak, prawie jak całe, bo człek, rzekł szewc, należy do bractwa, do cechu, do swojej gminy, to się tam różni ludzie spotykają.

— A z innych wysp? spytał Konrad.

— Gdzie niektóry znajomy, odparł Nani — ale o kogóż pytać chcecie?

— Tak, dla ciekawości, o kapitana Zeno.

— O tego, co ma ładną córkę! dom na Lido! nie znałbym go, odpowiedział szewc, ale koło jego domu zawsze się jarmark sadowi co rok, a ja mojej Marjetty byle jarmark i odpust nie utrzymam i na łańcuchu... Samej nie puszczę, muszę się z nią stary wlec, boby to przepadło między ludźmi, żeby człek nie pilnował. Otóż jak znam i kapitana i Cazitę! Ej! ej! dodał — już tam wasze oko padło, ot i bieda!

— Nie posądzajcie, bo nie ma ani o co, ani dla czego, zawołał Konrad, prosta to ciekawość, przybyłem tu na jego statku.

— I z córką, jakbym się patrzył, szepnął szewc, nie chybi...

Konrad się uśmiechnął; Nani patrzał z politowaniem jakiemś.

— O! miły Boże! zawołał, toście wy przepadli...

— Nie bójcie się, nie bójcie, począł się bronić Konrad... nic się złego, uchowaj Boże, i nie stało i nie stanie... Cóż mówią o kapitanie Zeno?

— To poczciwy człowiek, rzekł jakby mimowoli Nani, nic nie mówią, bo złego nie mogą ludzie, a dobrego mówić nie lubią... Tylko to wiem jedno, dodał po ch ili, że stara ciotka Anunziata, ma krewniaka, wielkiego zawadyę, który gdzieś mieszka na lądzie niedaleczko... i tego chce z Cazitą ożenić...

Konrad nic nie odpowiedział, ale mu się zrobiło jakoś przykro.

— A co mi tam do tego! zawołał, niech ich sobie żeni kiedy chce...

To mówiąc wstał.

— Bóg wam zapłać, rzekł, żeście mi chłopaka ratowali, gdybyście co odemnie przyjąć chcieli.

Szewc skoczył jak oparzony.

— Stój! paneczku! stój, nie rzecz słowa, którembyś mi popsuł radość widzenia Polaka. Choć chudopacholsko wyglądam, ale...

Uderzył się po boku...

— Jest tam cekinów para... Chcecie mi dowieść dobrej woli?

— Ano? i owszem, o to chodzi, rzedł Konrad.

— Więc mi się dajcie odziać ino i nie powstydźcie się przyjąć moich zaprosin, wypijemy razem *fiascone* dobrego wina, które ja tu znam pod Prokuracyami u starego Castiglio? no co?

— Zgoda! zawołał Lipiński, który choć staropolski szlachcic, na cudzej ziemi już się czuł bratem, choćby szewcowi Polakowi. Inaczejby może było w Polsce, ale w Wenecyi....

Szewc pobiegł, a tak chyżo, że dopadłszy drzwi nim Marietta od nich pierzchnęła, odkrył wielką jej zbrodnią, oczkowanie nieprzyzwoite z Maćkiem; był gniewny, ale popędziwszy dziewczynę, odłożył gderę na jutro, a sam się corychlej przystroił...

Wyglądał tak na Wenecyanina, żeby go nikt w świecie nie poznał, iż się nad Rudawą gdzieś rodził, a włożył suknie od niedzieli, aksamitne,

z guzami, i czapkę nową zwiesistą i buty nowe, aby ziomkowi wstydu nie zrobić...

Maćka zaraz z rozkazem pilnowania domu odprawił Konrad, a sam z majstrem pełnym poufałego uszanowania poszedł pod Prokuracye. Znaleźli wiechę starego Castiglio, który im przy stoliczku na placyku Ś. Marka naprzeciw swojego domu wystawił ową *fiascone* wina...

Noc, bo już się było późno zrobiło, prześliczna, gwiaździsta, księżycowa, pół-przeźroczysta, orzeźwiająca, wywabiła z domów co było na placyk Ś. Marka. Roił się ludem jak nigdy we dnie; strojne kobiety, kawalerowie, podżyłe damy, duchowni wszelakiej barwy, mnóstwo cudzoziemców w strojach malowniczych snuło się po marmurowych posadzkach placu, który na tę ciżbę wydawał się zamały.

Wszystko się rozbudzać zdawało dopiero do życia, kuglarze pokazywali sztuki, muzycy próbowali głosów, niewiasty o złocistych warkoczach wabiły oczyma, śmiechy, gwar, rozmowy, śpiewy rozlegały się dokoła, a Ś. Marek osrebrzony księżycowem światłem patrzał na swe dzieci staruszek z za kandelabrów, w których zwinięte dawnych posiadłości drzymały sztandary. Tu dopiero życie ludu weneckiego poznać było można, charakter jego, wesołość, przebiegłość i cnotę i zepsucie. Bo też jednej i drugiej było zarówno.

Patrycyusze ocierali się o gmin, urzędnicy o nędzarzy... wieczór, chłód i wesele na chwilę ró-

wnały wszystkich. Nani był doskonałym tłumaczem dla cudzoziemca, wiedział on historyą niemal wszystkich zrujnowanych patrycyuszów, którzy po nocy jeszcze wyglądali na magnatów, a za którymi nie widać już było dawnej ciżby klientów; nazywał po imieniu tych co niedawno wkupili się do złotej księgi za sowitą opłatą, pokazywał kobiety sławne z wdzięków i zalotów, opowiadał dziwne przygody młodych i starych, usta mu się nie zamykały, zwłaszcza gdy trochę je wino w żywszy ruch wprawiło.

Konrad słuchał.... było to dlań nowe i potrosze przestraszające, nic podobnego w kraju o uszy się jego nie obiło; dumał nad tym ludem tak jakoś inne, szumne i niebezpieczne życie wiodącym... Szewc paplał, ale mówiąc z poza okularów, rzucał oczyma na wsze strony tam i sam, i znać coś dostrzegł co uwagę jego zwrócić musiało, bo się parę razy wzrok jego pod ciemnemi galeryami Prokuracyi zatrzymał i poszedł a śledził kogoś i wracał niespokojny.

Konrad zajęty widokiem placyku i zabawy, nie uważał na to i nie zobaczył też Signora Zanaro, który z za kolumny ostrożnie palcem wyraźnie parę razy nań wskazał młodemu, słusznemu, przystojnemu mężczyznie... Nieznajomy ten, płaszczem okryty, z kapeluszem na oczy nasuniętym, zdawał się uważnie wpatrywać w Polaka, i począł po chwili dokoła stoliczka, przy którym siedzieli krążyć.—

Ale zobaczywszy znać, że Konrad nie był sam, usunął się w tłum i zniknął.

Nani widział wszystkie jego ruchy, choć właściwem uznał udawać, że wcale nań nie patrzy; ale gdy po chwili nieznajomy przepadł... zapomniał o nim prawie...

Choć noc już była, nie chciało się odchodzić, tak wesoło tu było na placu Ś. Marka. Zmniejszył się wprawdzie tłum, powoli część jego na Piazettę do gondoli na Mercerye i w małe uszła uliczki; zostało jednak pod Prokuracyami przy latareńkach gwarzących par i gromadek dosyć i snujących się jeszcze postaci samotnych lub po kilka pozbieranych. Ale *fiascone* skończono, Konrad postanowił odejść, pożegnał uprzejmego szewca i skierował się ku Krzyżowi Maltańskiemu...

Nani powoli ciągnął ku swojej uliczce, niespokojny był prawdę rzekłszy, zawsze o Maryettę, a tą razą ciężył mu jeszcze gniew niewygderany na sercu.

Ledwie kilka kroków postąpił ku kościołowi Ś. Marka Konrad, gdy w blasku księżycowych promieni niespodziane zatrzymało go zjawisko...

Ciocia Anunziata pod rękę z Cazitą; Cazità go poznała zdaleka i prosto ciągnęła ku niemu... uśmiechnięta, wesoła... Ciotka zdawała się oburzoną tem zuchwalstwem, ale oprzeć mu się nie mogła; mimo wysiłków widocznych i targania na bok... Cazitą już rzuciła — *Buona sera!* w powietrze,

Konrad je pochwycił i rozmowa się poczęła. Na twarzy Anunziaty malował się gniew płomienisty, ale milczący...

Poczęli przechadzać się razem...

— Nieprawdaż, że na całym świecie nie ma takiego placu, takiego kościoła, takiej nocy i tak szczęśliwego i wesołego ludu? poczęła Cazitá.

— A! prześliczne, odparł Konrad zachwycony, nie umiejąc się już powstrzymać (włoskie nań znowu działało powietrze), ale mi się to wszystko dopiero teraz tak cudownem wydaje, gdym was tu zobaczył.

— O! kłamać nie pięknie!

— Skłamałbym, mówiąc inaczej; grzeszyłbym, gdybym milczał.

— O! o! przerwała Anunziata, w waszym to kraju, jak widzę, umieją kobietom pochlebiać.

— Myślałaś pani, że nam serca pozamarzały?

— Nie, zawołała ciotka, ale że się powolniej otwierają, i że więcej szanujecie i uczucia i kobiety.

— Sroga nauka! rzekł Konrad trochę urażony, więc milczę.

Cazitá spojrzała nań płacąc mu wejrzeniem ciotczyne połajanie.

— Nie gniewajcie się, szanowna pani, dodał gość grzecznie, czasem się słowo wyrwie jak ptak z klatki.

— Nie trzeba drzwiczek mu odmykać, to nie poleci, rzekła ciotka poważnie, a co szkody narobić może!!

Potrzęsła głową. — Ej! ej! pusta z was młodzież, nie tak to za naszych czasów bywało. Mój nieboszczyk, świeć Panie nad duszą jego, pięć lat patrzał na mnie, słowa się nie ważąc powiedzieć.

— Szanowna pani, odparł Konrad, nie wszyscy mają tak dobrze zamknięte usta; ale raczcie mi powiedzieć, przez te pięć lat czyście nie domyślali się nic? czyście go nie rozumieli tak dobrze jak gdyby codzień wam jedno powtarzał?

Ciocia uderzyła go złekka wachlarzem po ręku.

— Cichoż! psotniku jakiś! cicho! bałamucie, gorszysz mi dziecko.

Ale czy ją wspomnienie nieboszczyka rozstroiło, czy łagodność Konrada znalazła w jej sercu furtkę do wyrozumiałości, dosyć, że nie zważała prawie, iż Cazità pocichu śmiejąc się szeptała coś do Polaka, a Polak jej żywo, gorąco odpowiadał.

Ciotka zamyślona patrzała na niebo gwiaździste, szukając w niem może swojego nieboszczyka.

Rozmowy tego rodzaju gdy spisywać przyjdzie, należałoby notować jakiemiś osobnemi znakami, tak je trudno ująć w słowa, określić znaczenie, które im uśmiech, głos, ruch nadają. Zostają one nawet w pamięci dwojga ludzi, jak jakaś muzyka, której się pomni melodyą na zawsze, nie wiedząc z czego się składała.

Ciocia nareszcie przypomniała oczekującą u brzegu na Piazecie gondolę, a Konrad odprowadził je aż do łódki. I gdy wiosła odniosły na kanał gon-

dolę, zapatrzył się na posrebrzone wody, na świecącą ognikami jak gwiazdkami Giudeccę.

Stał tak a patrzał, gdy go ktoś uderzył po ramieniu zlekka.

Odwrócił się, przed nim był płaszczem okryty, w kapeluszu na oczy nasuniętym, słusznego wzrostu mężczyzna, z postawy sądząc, młody.. nieznajomy...

— Przepraszam, rzekł, pan mnie nie znasz, ja zaledwie wiem, żeś cudzoziemiec i kto jesteś, ale, jeźli to panu zbytniej przykrości nie zrobi, prosiłbym go o chwilę rozmowy.

Konrad nie był ani podejrzliwym ani tchórzem, jakkolwiek noc była późna, a plac się opróżniał, miał swą szablę u boku. Nie uląkł się więc bynajmniej dosyć podejrzanego zaproszenia.

— Służę panu, rzekł, ale mam ten zwyczaj, że lubię wiedzieć z kim mówię, i chcę być znanym temu, kto mnie zaczepi. Jestem szlachcic wenecki i szlachcic polski Konrad Lippi de Buccellis... do usług.

Skłonił się.

Nieznajomy zdjął kapelusz z głowy, i odkrył twarz piękną, młodą, męzką, ogorzałą, rysów szlachetnych...

— Ja także, odparł, ani imienia się swojego nie wstydzę, ni ukrywać lubię. Jestem Gabriel Antonio Sabrone; nie szlachcic ale obywatel wenecki i posiadacz kawałka ziemi należącego do Rzptej.

— Czemże służyć mogę szanownemu panu, zapytał Konrad.

— Rozmową tylko; przejdziemy się jeno chwilkę po tym placyku, który świeżo przebiegałeś pan w tak miłem towarzystwie. Rozmowa nie potrwa długo; jam wieśniak i człek otwarty.

— Słucham, rzekł Konrad.

— Ciocia Anunziata, odezwał się Sabrone, jest moją krewną po dziadzie, Signora Cazità daleką moją powinowatą. Los i dobre imię ostatniej, jak się łatwo domyślicie, wiele mnie obchodzi. Wyraziłżem się dosyć jasno?

— Dla mnie zupełnie dostatecznie, odparł Konrad. Nie znam dobrze obyczajów waszego kraju, choć do niego należę, ale w czemże mógłem lub losowi Signoriny lub jej dobrej sławie zagrozić?

— Gdyby już groźnego co było, zawołał Sabrone, mówilibyśmy inaczej. We Włoszech, wy wiecie, lub domyślacie się, nietylko usta, w ostateczności i noże mówić umieją.... Nic jeszcze nie grozi, ale... Signore Corradino? szczerze... nie bałamucicie wy mi kuzynki?

— Nie miałem i nie mam tej myśli, odparł Polak. W naszym kraju, w mojej przybranej, drugiej ojczyznie, w Polsce, mężczyzna stara się poznać kobietę, jeźli mu się podoba, zbliża się do niej pełen poszanowania; jeźli ją pokocha, oświadcza się, jeźli kochanym jest, żeni się. My innych bałamuctw nie znamy.

Wyrzekł to z pewną dumą i zapałem. Sabrone poprawił kapelusz.

— To co innego, rzekł, jesteście więc na jakim punkcie tej ciekawej historyi polskiego kochania?

— W przedmowie, odpowiedział Konrad.

— A gdy się dzieło nie podoba, myślicie je porzucić? hę?

— Signore Sabrone, zawołał Konrad, jak się u was żenią, z zawiązanemi oczyma?

— Słuchaj polski szlachcicu, kładąc mu rękę na ramieniu, odpowiedział Antonio, jam wieśniak i nie dowcipuję; powiem ci wszystko odrazu... ja kocham Cazitę, i chcę się z nią żenić.

— Dopowiedzże mi, rzekł Konrad, czy ona?...

— Ona! ona! szepnął ponuro Antonio, otóż nie wiem, ale ja sam będąc, mogę mieć nadzieję... Jestem młody, trochę piękniejszy od djabła... i na Madonę, dodał gwałtownie, ja ją kocham, ona mnie nie dziś to jutro kochać musi.

— Signore Sabrone, tej racyi nie rozumiem, z przekąsem trochę rzekł Polak.

— A ja ją rozumiem tak dobrze, szybko dorzucił Wenecyanin, że jeźli mi się koło niej plątać będziecie...

— To co? spytał Konrad.

— Domyślcie się.

— Nie chcę się domyślać niczego, coby waszej czci uwłaczało; sądzę, że mnie wyzwiecie na rękę... no! to się bić będziemy.

— Jak? na szable? na rapiry? na szpady? na pistolety? zapytał, szydząc Włoch.

— Jak zechcecie.

— A! nauczcież się wcześnie bić na noże, bo ja inaczej nie umiem, i walczyć nie będę. Signore Corradino! tak! my się nie bijemy inaczej! Ręka obwija się płaszczem, w drugą bierze się nóż, i...

To mówiąc, zza pasa dobył żelazo, i przed oczyma Konrada błysnęła klinga krótkiego, ostrego sztyletu. — Nie myśląc i nie zastanawiając się, Polak już miał w mgnieniu oka dłoń na szabli; sama mu ona wyskoczyła z pochwy i świsnęła ku górze.

— Stój! gorączko! rzekł, nóż chowając Sabrone, to była tylko lekcya *coltellaty*, schowaj szablę do pochwy, aby cię zbiry nie ujęły. Bić się dziś jeszcze nie będziemy, ale pamiętaj!... do zobaczenia!

To mówiąc, oddalił się tak szybko niknąc w galeryi pałacu dożów, od którego stali niedaleko, że gdy schowawszy żelazo do pochew Konrad się obejrzał, był już sam jeden, a wiatr od morza chłodnawy rozpłomienioną twarz mu głaskał, jakby go chciał za niegrzeczność tego napastnika przeprosić.

Drżąc jeszcze podwójnem wrażeniem rozmowy z nią i z Signorem Sabrone, Konrad powoli skierował się ku Rivie i swej gospodzie.

Wrota jej niezbyt oddalone, pełne jakoś były ludzi... pochodni, zgiełku... Widocznie niezwyczajnego coś się tam trafić musiało, Konrad sądził, że

Signor Zanaro przyjmował pewnie najmniej jakiegoś udzielnego księcia.

Ludzie biegali żwawo, głosy się rozlegały, pośpiech jakiś i niepokój był widocznym. Trochę przytomniejszy, byłby Konrad poznał, że tu niechodziło o przyjęcie niczyje, ale widocznie o przygodę nieszczęśliwą, bo zpośrodku zgiełku słychać było wyrzekania i przekleństwa, jęki i szlochy, krzyk gospodarza, płacz gospodyni, głośne łajania i swary...

— Cóż to się tam stać takiego mogło? spiesząc, spytał się sam siebie Konrad.

Gdy się o kilka kroków do gospody zbliżył, mógł już rozeznać w pośrodku tłumu złożonego z całej niemal ludności domu, zwiększonej parkanem przechodnem od ulicy, kawalera Gerardi z najokropniejszym gniewem wybuchającego przeciwko panu Zanaro, który z założonemi na piersiach rękami, cierpliwy, wspaniałomyślny, wielki majestatem spokoju, znosił krwawe miotane nań obelgi... Poza nim stojąca żona podparta w boki gniewna, szarpała na sobie suknie, a Magdusia rada, że na coś przydać się mogła, czynnie walczyła z napastnikiem. Doktór Niemiec i Maciek należeli do spektatorów razem ze służbą i mieszkańcami gospody. Na uboczu stał blady stronę kawalera trzymający widocznie Principe Alessandro di Ponte-Vecchio, ale mało się mieszał do waśni. Nie widać też było Signory Zenobii Boccatorta przyszłej spiewaczki, *prima donna assoluta* cesarskich teatrów...

— Nie myśl stary szalbierzu, wołał kawaler Gerardi, aby ci tym razem bezkarnie ujść mogło... Wiedziałeś niezawodnie, mam dowody, żeś pomagał do ucieczki Zenobii z Polakiem... Złapiemy ich oboje... pomścimy się zniewagi cesarskiego posła, upomnim u Rzeczypospolitej... Natychmiast wysyłam skargę do Doży, do Rady dziesięciu, kuryera do Wiednia, szpiegów na wszystkie strony, dopędzimy, dostaniem ją z pod ziemi...

I kawaler Gerardi tupał nogami, skakał w miejscu, łamiąc ręce.

— WPan wiesz, że za Signorę Zenobiją zapłaciłem długów trzy tysiące talarów bitych, że dałem jej na ręce dwa tysiące cekinów na garderobę... a podróż... a moja powaga... Gdyby nie wspólnictwo wasze, nigdyby nie mogła nawet zdrajczyni pomyśleć o ucieczce! Ale to nie ujdzie bezkarnie! to nie przejdzie ci lekko! mospanie Zanaro, ani dumnemu temu Polakowi, który tak dobrze grał rolę niewinnego i obojętnego!!

W chwili, gdy Gerardi mówił o Polaku, Konrad przebił się przez tłum i ukazał oczom wszystkich... Kawaler Gerardi poskoczył ku niemu zajadle zrazu, ale widząc go spokojnym i zdziwionym tylko, obejrzał się wkoło i wstrzymał.

— Gdzie jest Signora Zenobia? zawołał nieco zmięszany do Konrada, pan, pan musisz o tem wiedzieć.

— Ja sądzę, że panbyś to raczej wiedzieć o tem powinien, odparł Polak bardzo spokojnie.

Zanaro wziąwszy się za boki, począł serdecznie śmiać... Gerardi wybuchł nowym gniewem i przyskoczył do niego.

— Ty! ty mi odpowiesz za wszystkich!

Niektórzy z otaczających poczynali się śmiać także, co nadzwyczaj jątrzyło małego garbusa, niewiedzącego już co począć. Zwrócił się znowu do Polaka.

— Gdzie jest Signora Zenobia?

— Bardzo mi przykro, że panu na to odpowiedzieć nie umiem, ale z jakiego powodu sądzisz pan, że ja o tem wiedzieć mogę lub powinienem?

— Wszystkie pozory, są na pana? oddalenie się jego... tajemnicze porozumienia?

— Moje? kiedy? z kim? spytał Konrad.

— Oszalał! wołała tymczasem gospodyni, oszalał! a czemuś kobiety nie umiał pilnować! ha! stary sopranisto, którego za stróża dają pannom dojrzałym! Czemu swego obowiązku nie pełnisz, jak należy chodząc pod patynkiem swej belli?

— Ta kobieta mnie znieważa! krzyknął porywając się do szpady, której nie miał u boku Gerardi.

Magdusia powtórzyła jego ruch, szukając niby także szpady u swego boku i stając w gotowości do pojedynku... śmiech homeryczny rozległ się dokoła.

Principe del Ponte-Vecchio, który milcząco przypatrywał się tej scenie, widząc, że przyjaciel jego

Gerardi o mało nie dostaje konwulsyj, ujął go za rękę powoli i odprowadził na bok, starając się uspokoić, szepcząc mu coś do ucha.

W istocie Gerardi usłuchał jego rady, i zwolna z nim razem wysunął się z tej kupy ludzi, widocznie bardzo dlań nieprzyjaźnie usposobionej.

Zanaro stał jeszcze w komicznej swej postawie obrażonego na honorze człowieka, z dumą znoszącego obelgę, która go dotknąć nie mogła... Magdusia szydziła, jejmość za ich dwoje się gniewała, słudzy żartowali i śmiali się.

— Na Boga, cóż się stało? co chciał odemnie ten człowiek? zapytał Konrad... co to jest? co to znaczy.

— Eccelenza! zawołał patetycznie oberżysta, to znaczy, że Signor Cavaliere Gerardi jest szalona pałka, i że ludzie zawsze są niewdzięczni, a sami będąc winni, grzech swój na cudze radzi zwalają barki... Signora Zenobia Boccatorta znikła, posądzano pana, żeś ją uprowadził, bo pana jednego brakło. Znikła nietylko osobą swą, ale z garderobą, cekinami i całem mieniem, należącem poczęści pono do wysłańca i szkatuły J. cesarskiej Mości. Inters brzydki! ohydny, a do tego niebezpieczny. Lecz, że się to trafiło na terrytorium najjaśuiejszej Rzeczypospolitej, nie idzie zatem by cesarz wydał nam za to wojnę... Kawaler Gerardi sopranista, jak moja żona powiada dowcipnie, dodany za stróża, źle spełniał swe obowiązki, dał się, Cer-

berem będąc, uwieść słodkim, miodowym słówkom panienki, pozwalał jej samej jeździć kędy się podobało.. Zaszły zapewne znajomości i ktoś co sopranem nie śpiewał nigdy, porwał jejmościankę i uwiózł... kędy? to wiedzą tylko gwiazdy przyświecające ich podróży.

To mówiąc, Zanaro chytrze się uśmiechał; znać było, że w tej ucieczce, która z tłumokami tak cicho się spełniła, i on udział mieć musiał potajemny, ale zapłacony, milczał.

Najmniej Gerardi posądzał księcia de Ponte-Vecchio, a przecież... co znaczył bilecik przy stole? Z drugiej strony, jakim sposobem, gdy Zenobia znikła, ów książę spokojny pozostał i towarzyszył jako pocieszyciel obżałowanemu kawalerowi?

Były to tajemnice weneckie, intrygom onych czasów i tego miejsca właściwe, których Konrad w prostocie ducha ani się nawet silił odgadywać.

Posłano po farmaceutę i cyrulika, aby przerażonego kawalera uspokoił lekarstwami, a wedle metody włoskiej i krwi mu przedewszystkiem upuścił. Nikt tak starannie nie chodził około nieszczęśliwego, jak ów zacny książę de Ponte-Vecchio, który sam go wyręczył w porozsyłaniu depeszy, kuryerów, doniesień, i nie położył się spać, aż ujrzał nieco uspokojonego posła cesarskich teatrów, błogim snem po małej dozie opium odpoczywającego.

Naówczas rzucono tłumoczek jego do gondoli. Zanaro odprowadził do brzegu, widziano, jak coś

chował do kieszeni — a zręczni wioślarze popędzili przez Canal grande i mniejsze uliczki wodne w jakiś ciemny z nim zakątek.

Mówiono, że nazajutrz przez Padwę przejechało bardzo szczęśliwych młodych ludzi dwoje, których śmiechy wesołe słychać było na staję od wiozącego ich veturyna.

Ale przebudzenie kawalera Gerardi było nader smutne. Spał wprawdzie blisko do południa ciężkim snem zmorzony, lecz gdy oczy otworzył, pierwszą rzecz, którą ujrzał, były depesze i listy powyprawiane, jak sądził, spokojnie na stole leżące. Służący, którego zawołał, domagając się swego przyjaciela księcia de Ponte-Vecchio, oznajmił mu, że ów książę jeszcze wczoraj wieczorem nie wiadomo dokąd odpłynął, list tylko zostawiwszy. Rzucił się na to jedno chciwie Gerardi, ale jakże okrutnie zdziwić się musiał, czytając w nim:

Najszanowniejszy Panie!

Signora Zenobia Boccatorta i ja, składamy ci najpowinniejsze dzięki za wszelkie ułatwienia, jakie niezręcznością swą i łatwowiernością nastręczyłeś nam do podróży. — Zaopatrzeni szczodrze w pieniądze, garderobę, potrzebne papiery, udajemy się razem spędzić wesoło kilka miesięcy czasu tam, gdzie nas najdłuższa nawet ręka wasza doścignąć nie potrafi.

Uchybiłbym sobie i Waszej Excellencyi, gdybym zawdzięczając Jego zaufanie dla mnie, nie przyznał mu się, iż tytuł książęcia nosiłem tylko na scenie; w życiu zaś powszedniem byłem i jestem *primo inamorato*, chudym pachołkiem i szczerym Signory Zenobii wielbicielem, w chwilach, gdy innych wielbicieli nie miewa...

Racz Wasza Excellencya przyjąć od nas obojga zapewnienie szczerej wdzięczności i wysokiego szacunku, z jakim i t. d.

Paolo Gaetani
pospolicie zwany
Povera Canaglia,
artysta dramatyczny.

Po przeczytaniu tego listu, musiano raz jeszcze wezwać cyrulika, aby kawalerowi miskę krwi popsutej upuścił. — Panowało bowiem naówczas we Włoszech i trwa poniekąd do dziś dnia przekonanie, iż wszystko złe z człowieka z krwią odchodzi.

Zanaro, którego zupełna niewinność ku wieczorowi była dowiedzioną, przebaczywszy winy porywczemu kawalerowi, pilnie strzegł jego łoża. Oderwał się jednak od niego na chwilę piątego dnia, aby odwiedzić nieco smutnego Konrada, który zamyślony chodził po swym pokoju, poglądając kiedyniekiedy na stojącego w kącie z nosem spuszczonym biednego Maćka.

Wszedł, mimo olbrzymiego ciężaru, jaki na sobie dźwigał, na paluszkach, drzwi zamknął pocichu, jakby były watowane, odchrząknął miękko i łagodnie, aby nie nastraszyć, a gdy wzrok Konrada padł nań, znalazł na twarzy wyraz ujmującej słodyczy i łagodności.

— Mogęż zapytać o zdrowie? rzekł z melodyjną intonacyą gospodarz — Wasza Excellencya wydajesz mi się zadumanym, smętnym! nie mógłbym spytać o pobudki tej posępności, na którą, spodziewam się, wesoła nie zasłużyła Wenecya?

Konrad popatrzał nań długo, a przez ciąg tego wpatrywania się, Zanaro starał się wydawać aksamitnym, aby wzrok gościa spłynął po nim, jak najmilsze zostawując wrażenie.

— Niespodziewam się, rzekł Zanaro, rękę kładąc na sercu, śpiewnym głosem, szukającym drogi do duszy, abym mógł na wasze zaufanie zasłużyć, najszlachetniejszy panie, ale gdybyś mi chciał otworzyć głąb serca twojego, jeżli się nie mylę zranionego, możeby biedny Zanaro znalazł jakie na utrapienie lekarstwo?

— Zkądże wnosicie, że mam utrapienie? spytał Konrad.

— Oblicze Waszéj Excellencyi, nie przywykłe do tajenia uczuć, które wewnątrz się zakradły, zdradza niepokój. Gdybym śmiał odgadywać jako człowiek doświadczony, a wziął na wagę wiek wasz, gotówbym się domyśleć nawet, iż niepokoju

przyczyną jest ładna twarzyczka kobieca. — A co, *non é vero?*

Konrad się uśmiechnął poważnie.

— Kochany panie Zanaro, rzekł, wy w waszym kraju przywykliście do łatwych i płochych miłostek, my tylko do poważnego kochania raz w życiu!

— Tem ci gorzej, odparł Zanaro, co u nas jest chorobą lekką, u was grozi śmiercią. Temci gorzej; potrzeba prędkiego i skutecznego ratunku.

— Ale ja nie jestem wcale zakochanym, mówił dalej Konrad.

— Suchotnicy także wedle opinii powszechnej nie czują się nigdy dogorywającymi, na godzinę nawet przed zgonem.

— Ponieważ chcecie mi radzić, a ludzi znacie dobrze, radźcie Signor Zanaro.

Gospodarz wtył założywszy ręce, dyskretnie na palcach się zbliżył, nastawiając ucha.

— Płynąc do Wenecyi na statku Padre Antonio, rzekł Konrad, poznałem bardzo w istocie piękną i zajmującą córkę kapitana Zeno.

— Cazitę! anielską Cazitę! kręcąc głową rzekł zasmucony widocznie gospodarz.

— Zaproszony byłem raz do nich na Lido, a że ryba, którą mnie uczęstować chciano, nie nadeszła, mam drugie na dziś zaprosiny. Widzieliśmy się raz jeszcze i mówiliśmy ze sobą na placu św. Marka. Oto wszystkie grzechy moje.

Signora Cazità podobała mi się bardzo, ale my Polacy nie zwykliśmy, nawet gdy kobieta serce nam porwie, zdawać się jej na łaskę. Jesteśmy żołnierze, walczym do końca.

— Z kobietą nawet? spytał zdumiony gospodarz.

— Nie, z sercem własnem, rzekł Konrad. Signora Cazità podobała mi się, powtarzam, ale to młodzieńcze uczucie, to kwiat, z którego może nie będzie owocu.

Na te słowa Signor Zanaro ręką sobie usta zatulił i począł niewiedzieć czego prychać. Konrad poważny nie zważał na ten śmiech niewczesny.

— Wyznaję, mówił dalej, że bliżej i lepiej chciałbym poznać córkę kapitana... Tymczasem dowiaduję się, że ciotka jej chce ją wydać za jakiegoś krewniaka, który mi już grozi żelazem, jeżli się do niej zbliżyć będę starał. Krewny ten...

— Zowie się Sabrone! dorzucił Zanaro.

— Z jednej strony, rzekł Konrad, jestem z tego narodu, który niebezpieczeństwy przynęca się, nie odstrasza; z drugiéj, niechciałbym nikomu czynić przykrości i wstrętu, sam nie będąc pewien, czy to, co mi się wydaje miłością, nie jest płochym głowy zawrotem... Cóż mi radzicie Signor Zanaro?

— Żelazo jest ostre, rzekł gospodarz, oczy niewieście przeszywające, ale miłość jest potrzebą i darem Bożym. Z tym Sabrone mogłyby zajść układy pewne, w najgorszym razie; Sabrone nie jest nieśmiertelnym...

Gospodarz chrząknał, dając coś do zrozumienia, czego Polak przypuścić nawet nie umiał.

— Mam więc pojechać na rybę, czy pięknym listem się wymówić?

— Piękny list jest czasem wybornym posłem i doskonałym w sprawach serca pośrednikiem, ale... oczy mówią lepiej jeszcze... Sabrone może o tej wyprawie niewiedzieć.

— Zdaje mi się, że o niej wie.

— Delikatna materya? spytał Zanaro, co mówi serce?

— Iść, bądź co bądź... zawołał Konrad, tożsamo mówi mi szabla u boku, a tem szlachetnem żelazem, kochany panie Zanaro, mogę ściąć najmocniej na karku siedzącą głowę... Dało ono tego dowody i dłoń co je trzyma także.

Zanaro kwaśno na szablicę brzęczącą w pochwach szerokich popatrzał.

— A znacie wy prawa nasze? zapytał.

— Nie dobędę szabli, nieprzymuszony do tego, ale jej nie schowam suchej. Pijaczka jest, i lubi krew ludzką.

— Smutne przypuszczenia, niedorzeczne, rzekłbym... odezwał się Zanaro, gdybyś nie Wasza Excelencya występował z niemi. Do tego nie przyjdzie. Na rybę pojedziesz Wasza Wielmożność i ości nie połkniesz, spodziewam się. — Znam Sabrona, wiem gdzie staje, gdy do miasta przypływa, uprzedzę go, lub zatrzymam.

— Nie, powiedz mu WPan tylko, dodał Konrad, że krzywdy jego krewnej ani myślą, ani wejrzeniem nie uczynię, a sobie też wyrządzić jej nie dam. Odstręczać jej od niego nie chcę, niech lepiej płynie ze mną. Poślijcie po niego.

Zanaro spojrzał na szlachetnego młodzieńca, skłonił się i wyszedł powoli.

W pół godziny wszedł wiodąc z sobą owego przystojnego nieznajomego, co się jako Sabrone na placu Ś. Marka Konradowi przedstawił.

Lippi podał mu rękę, którą tamten przyjąć i ścisnąć zrazu się wzdragał.

— Signor Sabrone, rzekł, jestem zaproszonym na Lido, nie chcąc być niegrzecznym, popłynę, ale proszę was na świadka rozmowy i współzawodnika. Jedźmy razem.

Włoch był pochmurny.

— Poco, zawołał, nowi ludzie w oczach kobiet zawsze są lepsi od starych... Niechcąc nawet, bałamucić ją będziecie.

— Za jakże płochą ją macie!!

— Masz słuszność, winienem, jedźmy, odparł żywo Sabrone, służę wam...

Nie mówiąc do siebie słowa, siedli razem do gondoli, dzień był wietrzny, woda nawet w zacisznym kanale dąsała się i rzucała, łódka z nią skakała, srebrnemi obrzucana bryzgi; ale słońce świeciło jasne, wesołe... Konrad muskał wąsa, Sabrone patrzał nań i chwytał się za pas co chwila,

źle mu jakoś było. Dobili nareszcie do brzegu, przyciągniono łódź, wyskoczyli oba.

Z okna domku dawno już widać było główkę złocistemi włosy okrytą i parę czarnych ocząt na anielskiej błyszczących twarzyczce, która zdawała się to kryć, to znów ciekawie wyglądać. Dwie białe maleńkie dłonie podniosły się do góry... i uderzyły jedna o drugą... znikła...

W progu domku powitał ich kapitan w wykwintnym stroju marynarza włoskiego owych czasów; z dosyć wesołem obliczem; ale gdy poznał zbliżającego się Sabrone, zasępił się nieco... Podali sobie ręce w milczeniu... Ciocia Anunziata z patelnią w dłoni wyjrzała oknem, zobaczyła niespodzianego gościa i głośno śpiewać poczęła. Cazity długo nie było widać.

W najparadniejszym pokoju nakryte już było do stołu, stały oplatane flaszki, śliczne murańskie kielichy z kręconego dwukolorowego szkła, talerze fajansowe malowane, dzban z wodą, cytryny i *frutti di mare*.

Kapitan zawołał Cazity, która wyszła poważna, ale widocznie nadąsana, spojrzała na kuzynka pogardliwie, na Polaka gniewnie, na ojca podejrzliwie, główką im skinęła i przy oknie usiadła, nie znalazłszy nic lepszego do czynienia, patrząc sobie na dalekie morze..

Sabrone najodważniejszy, pierwszy się do niej przybliżył.

— Cóż to pięknej kuzynce? spytał, czy nie moja przytomność taką chmurą pokrywa jej twarzyczkę?

— Moglibyście być prorokiem, tak doskonale zgadujecie, szepnęła mu pocichu.

— Ale ja mam wymówkę... Signor Polacco, którego przypadkiem poznałem na placu Ś. Marka właśnie tegosamego wieczora, gdyście go tak miłą upoili rozmową, sam mnie zaprosił na rybę cioci Anunziaty...

— A! a! ozwało się dziewczę... moglibyście wyśmienicie pójść na rybę do kuchni... Ciocię Anunziatę tam zastaniecie nad patelnią, będzie wam lepiej może rada niż ja...

Posłuszny, choć z gniewem na twarzy, Sabrone skłonił się i poszedł do kuchni, wprost do cioci Anunziaty.

Z kuchni daleko rozchodził się i zapach smażeniny i głos starej poczciwej kobiety, która chciała nucić, tak była w dobrym humorze.

W progu spotkała swojego ulubieńca śmiechem i dygiem.

— Antonio! jakiżeś ty rozumny! czy ci patron twój natchnął, żeś dziś właśnie tu przybył!

— Nie, ten Polak przywiół mnie z sobą.

— Polak? spytała, znasz go.

— Zanaro mi go pokazał, trochęśmy już pogadali z sobą... dodał, uśmiechając się znacząco — znalazł on bezpieczniejszem mieć mnie za świadka...

Ciotka zamyśliła się, pokręciła głową.

— No, to się wiem czego obawiać! rzekła, a byłam w strachu! przyznaję ci się.

— Jakże cię przyjęła? spytała po chwili.

— Jak zawsze... jak psa... ciociu Anunziato.

— Najlepszy znak! rzekła stara.

— I odprawiła mnie precz do kuchni.

— Nic lepszego! zawołała Anunziata, tyś młokos. Z tych małżeństw łatwych a gorących zawsze prawie biedy i nieszczęścia, trwałe przywiązanie rodzi się tylko z kłótni. Ja mojemu nieboszczykowi takem nieraz podrapała twarz... do krwi... a wierzaj mi, pokochałam go potem szczerze...

Sabrone się uśmiechał.. Ciocia Anunziata krzątała się około ryby.

— Chciałem Polaka nastraszyć nożem, rzekł cicho, ale to mi się nie udało. Zanaro powiada, że mu się zwierzył, iż jednem cięciem swej szabli łby ścina.

— Polacy są bitnym narodem, to pewna, rzekła ciotka, alem nigdy nie słyszała, żeby głowy tak łatwo chrześcianinom z karków strącali... zawsze potrzeba z nim być ostrożnie... i nie tak się znowu obawiać jego miłości. To błyskawica, co przeleci po niebie, nic nie zapali i zagaśnie... Dziecku się podobała nowa twarz... niech się przypatrzy, a dostrzeże, że mój Sabrone i ładniejszy i lepiej na męża stworzony... To mówiąc, nieco zatłuszczoną dłonią uderzyła go po twarzy.

— Przypominasz mi czasem nieboszczyka! westchnęła.

Ale idźże precz, bo rybę przysmalę. Święta Panno di Salute! umarłabym ze wstydu, gdyby mi się nie udała. Idźże precz Sabrone!

Antonio zniknął za drzwiami.

Na górze po odejściu jego zaświeciła pogoda, uśmiechnęły się czarne oczęta. Kapitan nie przeszkadzał rozmowie; poszedł był po pewne stare wino, od którego sam miał klucze, bo je przed laty sześciu przywiózł był sam z Grecyi i strzegł jak oka w głowie.

— Pocoście mi przywieźli Antosia? — spytało dziewczę.

— Ażeby nie myślał, że się boję z tem co tu czynię i mówię.

— Ależ powinniście wiedzieć lub domyśleć się, że ja go nie lubię.

— Za co, Signoro Cazito?

— Za co? ale za to, że mi go ciocia Anunziata stręczy na męża, a ja męża chcę sobie wybierać sama. — Mówiłam to ojcu dawno, a ojciec dobrze wié o tem. Przytem Sabrone mnie kochać nie może; ja wiem tylko czemu... Zamilkła, patrząc na morze.

— Powiedz mi pan, spytała po chwili, zmieniając rozmowę, to morze, które wyrzuca śliczne owe kamyki złociste, z jakich się składa mój różaniec, jestże tak piękne jak nasze?

— Jam je raz widział tylko, odparł Konrad, nie mamy go jak wy wiele; w jednem miejscu brzegu wykrawek. Mówią, że dawniej mieliśmy drugiego brzeżek... Nasze morza nie mają lazurowych barw ani błysków Adryatyku, bo u nas inaczej świeci słońce i inne niebiosa zasklepione są nad ziemią.

— A powiedzcież mi, bom bardzo ciekawa, jak wygląda ta ziemia wasza? Prawdaż to, jak mówi ciocia Anunziata, że straszne okrywają ją puszcze, że pełno w nich potwór dzikich, że lasy szumią straszliwie, a w lecie, gdy niemi wiatr kołysze, trąc gałęzie, zapalają się, i naówczas pożarem płoną przestrzenie niezmierne, a ludzie i zwierzęta giną w płomieniach.

Konrad się uśmiechnął smutnie.

— Nigdym o niczem podobnem nie słyszał, rzekł, palą się puszcze, ale w nich człowiek, ani zwierz żaden jeszcze życia nie stracił. Te lasy nasze są piękne, zielone, wonne, a wyglądają jak szerokie ogrody szmaragdowemi poprzerzynane łąkami. Płyną środkiem srebrne rzeki i mruczą cicho, lata ptastwo wesołe z piosnką na dzióbku. Cicho na tamtej ziemi... a z lasów wyszedłszy, to złoty łan pszenicy lub żyta jak fala się kołysze. Nie jeden raz żyła nim i Wenecya głodna.

— A macie piękne kwiaty? spytało dziewczę.

— Cudowne! wonne, śliczne, mówił Konrad. Prawda, że na kilka miesięcy w roku natura u nas zasypia, śnieg okrywa wszystko jakby białym

rąbkiem jednym. Naówczas zamiast liści, drzewa się stroją w brylantowe perły zamarzłej wody, rzeki okrywa lód zielonawy, ptastwo odlatuje, zwierz zasypia w norach; człowiek tylko czuwa, czekając wiosny. Ale jakże cudna ta wiosna, gdy jej godzina wybije! Jednego poranka wiatr ściąga z niebios szarą chmurę zimową, odsłaniają się błękity, słońce z za nich wygląda obmyte, dyamentowe, sniegi w potokach zbiegają z gór i uciekają opłukując rdze zimy, myjąc łąki, rzeźwiąc ziemię uśpioną, tryska z niej w oczach zieloność, kwiaty otwierają się nie czekając na liście, tak im śpieszno wiosnę powitać; drzewa pękają, powietrze wonią życia się przejmuje i ptastwo stadami powraca. Nie zna wiosny, kto jej u nas na północy nie widział; u was ona przychodzi leniwo, i już jest zeschła i gorąca, gdy ledwie świtać poczyna. Nasza płaci nam miesiące ciemności i ciszy.

— Ale możecież wy żyć, nie słysząc szumu fal, nie patrząc na morze? spytało dziewczę, nie tęsknicież wy za tym głosem Bożym, który mówi do nas przez rozhukane wody i ciszę morską?

— U nas odzywa się On szumem lasów i pól szelestem, niebem i chmurami, a drobne rzeczułki nasze, gwarzą też małym głosem o tymsamym wielkim Bogu!

Casita spojrzeła na lśniące fale Adryatyku.

— Zdaje się, rzekła pocichu, że jabym nigdzie indziej jak tu żyć i oddychać nie mogła. Czyż

upaja i rzeźwi tyle powietrze wasze, jak te słonych wód wyziewy?

— Mnie, odpowiedział Konrad, patrząc na nią, nawet tu tęskno za naszemi bory i zapachem świeżej roli, podobnym do woni jakby świeżo upieczonego chleba... ja tu nawet śnię o zieleni, o kwiatach i o szerokich polach...

— Tak! to musi tak być! odparła smutnie dziewczyna, każdemu to najmilsze, co tuliło jego dzieciństwo, co rozkołysało młodość. Nie! nie! jabym umarła, gdyby mi Adryatyk pacierz swój wiekuisty do serca podawać przestał.

I spuściła głowę milcząca.

— A wy? zapytała po chwili.

— Ja nie wiem, rzekł Konrad.

— Wyście przecie dzieckiem Wenecyi i brzegów tego morza.

— Tak, ale wykołysaném w lasach i u cichych brzegów jeziora... a wierzcie mi, szum i plusk jego wód słodkich, nigdy uszy nie zapomną.

— Nawet tu nad Adryatykiem? pytało dziewczę.

— Nawet tu, przy oczach twoich, odparł żywo, zrywając się z siedzenia Konrad, bo mu stanął w pamięci nagle jego dwór stary, wizerunek ojca i matki, gdakanie zegaru, co im policzył godziny życia, i szum drzew ogrodowych i dźwięk kaplicznego dzwonka, i chrapliwy a serdeczny głos starego Dalifura, i szczekanie nawet podwórzowego przyjaciela domu, który poważnie swej straży po-

wierzone państwo całą noc obchodził, warcząc a niekiedy nawołując.

Gdy błyskiem przeleciało mu to wspomnienie po głowie, a potem obejrzał się dokoła i zobaczył twarz dziewczęcia promienną, sine morze, gałąź winną w oknie, a kapitana z butelką i kluczami w rękach, ciotkę Anunziatę z półmiskiem ryby wchodzącą tryumfalnie i Antoniego Sabrone, który jej towarzyszył — zdało mu się, że marzy we śnie. Dwa te światy tak były różne, tak od siebie dalekie, tak mu się zdały nieprzejednane i niepogodzone, że nawet wejrzenie czarnych oczów Cazity nie spoiło ich z sobą.

Łza stoczyła się zpod męzkiej jego powieki... wszyscy ją dojrzeli, bo nie krył się z tą świętą rosą serca.

— Co ci tę łzę wycisnęło, spytał Zeno.

— Wspomnienie mojej ziemi, rzekł Konrad.

Długie nastąpiło milczenie. Cazità patrzała na niego jak w tęczę; jeszcze jak żywa, nie widziała nigdy płaczącego mężczyzny, sama nie wiedziała, czemu serce jej biło, i nie umiała sobie wytłumaczyć, dlaczego z tą łzą wydał się jej silniejszym, większym, prawie świętym. Wszystka płocha zalotność uleciała na tej łzie gdzieś daleko, stała się nagle poważną i zamyśloną. Sabrone, ciocia, wszyscy prócz kapitana Zeno wydali się jej karłami przy tym człowieku, co się zapłakać nie wstydził, co kochać umiał... martwą ziemię aż do żywej łzy.

— Ciotko Anunziato, szepnął jej na ucho Sabrone, albo ja mu *coltel'atę* sprawię, albo mi on łeb utnie, bo Cazitę mi pochwycił... spojrzcie na nią...

W istocie, oczy dziewczęcia wpatrzone w niego jak w obraz cudowny, ogniem niezwyciężonym pałały... Sabrone uczuł dreszcz przechodzący mu po ciele...

— Cicho! zawołała Anunziata, nie bądź głupi, wszystkie młodych dziewcząt oczy tak są mówiące jak i te, Giulia nie ma domku na Lido, ale ma dobry kawał ziemi około Belluno i winnice i zakopanego coś grosza, a ja cię z nią tak pewnie ożenię, jak że żyję... i będziesz szczęśliwym... Cazità krwi chrześciańskiej nie warta, jeźli się na tobie poznać nie umiała...

Gdy tak szepczą, kapitan nalał wina i wypił zdrowie gościa, Sabrone kieliszek pełny postawił przed sobą gniewny i tknąć go nie chciał; okiem wyzywającym zmierzył Konrada. On mu się uśmiechnął tylko, pokój dziwny miał w duszy...

— Antonio! szepnęła ciotka trącając go łokciem, wypij głupcze, lub się pogniewamy, pogorszasz sprawę.

Posłuszny Sabrone chwycił szkło, połknął napój, ale zarazem w białych zębach zgniótł cienki wyrób murański...

To zgrzytnięcie obudziło uwagę kapitana. — O! o! psujesz moje kieliszki a sobie zęby, rzekł śmie-

jąc się, nie tak ogniście, kuzynku Sabrone... Cazità nań spojrzała i zarumieniła się.

— A czemże teraz moje wypijesz zdrowie? zapytała...

— Nie wiele dbacie pewnie czy ja je wypiję, odparł chmurno Antonio...

— Owszem, bardzo.

Anunziata trąciła go łokciem...

— Pij, czem chcesz.

Antonio poszedł po rozum do głowy, oczyma szukał dokoła, nie wiedział czem się wyratować.

— Signore Antonio, śmiejąc się, zawołał Polak, u nas często piją kobiet zdrowie, ale my go też kielichami nie pijamy, jest zwyczaj inny...

— Czemże? spytała Cazità.

— Nie będziecie się gniewać? i pozwolicie mi je tak spełnić jak u nas, jeźli odkryję tajemnicę? spytał Konrad.

— Cóż to być może takiego?

Kapitan poglądał niespokojny...

— Pani, rzekł Konrad, nie obrażaj się obcym zwyczajem... u nas, zdejmują kobiecie trzewik z nóżki i ten za kielich nam służy.

Kobiety krzyknęły zawstydzone... Antonio mruczał, kapitan się śmiał dobrodusznie.

— Po starszeństwie, rzekł, ciociu Anunziato dawaj trzewik, wychylimy. Cazità śmiać się także zaczęła niezmiernie.

— Pierwszy co wychyli trzewik cioci, będzie naturalnie winowajca Antonio. Antonio cały pokraśniał, myśl wychylenia dosyć sporego i dobrze zachodzonego trzewika cioci Anunziaty, mimo przywiązania do niej, wcale mu się nie uśmiechała... Cazitá plaskała w rączki.

— Ciociu! wołała, dawaj nam swój trzewik.

Stara prawie się już gniewać poczynała, ale kapitan pogodził wszystkich, skoczywszy do szafy i niosąc z niej kubek srebrny stary, który za zdrowie kobiet napełnił i podał kuzynowi.

— Spróbujno na nim zębów, rzekł, a zobaczymy, czy ci pryśnie w nich jak pierwszy..

Rozweseliły się jakoś twarze, zgodniej uderzyły serca, i weselsza dalej szła skromna uczta po większej części z ryb i jarzyn złożona. Rozmowa zwróciła się ku Wenecyi, jej wspomnieniom, potem z Antonim przeleciała na ląd stały... Konrad i Cazitá najmniej się do niej przyczyniali, ona była zadumana jakby już z siebie zrobiła ofiarę, on spokojny, jakby z tą łzą wielki ciężar z serca mu spłynął.

— Antonio posępny siedział podparłszy się łokciami, a niekiedy zpod czarnej brwi błysnął białkiem oka zapalczywie na Cazitę poglądając, to na Konrada.

Ciotka Anunziata właśnie wychodziła po drugi do kuchni półmisek, nie chcąc nikomu powierzyć urządzenia ostatecznego swej smażeniny, gdy Sa-

brone porwał się pod pozorem, że jej chce dopomódz i za nią zbiegł do kuchenki.

— Nie! zawołał, ja tego nie wytrzymam, ten człowiek i ta kobieta w oczy bezwstydnie szydzą ze mnie, ja się muszę na nich pomścić! Cdirectoriu Anunziato.

— Głupiś, kochany Sabrone, zemsta twoja poprowadzić cię może, co najdalej pod pałac Dożów, do czerwonego słupa, pluń na głupią dziewczynę; dam ci Giulią... Giulia nie jest tak delikatna, ale jej z oczów patrzy, że gdy pokocha, da życie za swego kochanka i męża.

— Ale i tą może mnie nie zechce? rzekł smutnie Antonio.

Ciocia uderzyła go po ramieniu.

— Nie masz chyba oczów; — taiłam przed tobą chcąc ci dać Cazitę, ale Giulia szaleje dla ciebie...

Antonio zapłonął cały, porwał rękę ciotki. Doprawdy! A! więc się pomszczę na tej wzgardliwej dziewczynie, jutro się oświadczę, zapłacę co zechcą, a ślub będzie w niedzielę, i was poproszę...! Cazità pozna co straciła...

Ciotka kręciła głową.

— Nie dosyć na tem, zawołał Antonio, ja na tym nieulęknionym Polaku, także zemsty jakiejś szukać muszę, ja mu nie przebaczę... On bałamuci dziewczę, ale się z niem pewnie ożenić nie myśli, potrzeba go wpędzić...

Anunziata spojrzała.

— Czy to będzie zemsta? spytała.

— Godna Wenecyanina... tamten się bierze na szlachetność wielką, otóż i my potrafimy się odegrać.

Pokręcił wąsa, ale ryba się przypalać zaczęła i ciotka nie chcąc go słuchać, pobiegła do swej patelni z krzykiem łając kuzynka, że jej przeszkadza. Sabrone nie czekając reszty, bo wiedział z doświadczenia jak niebezpiecznie jest kobietom przeszkadzać w wielkich zajęciach uroczystych dni życia, powoli zadumany powrócił na górę.

Srebrny kubek na pół opróżniony stał przed nim, kapitan zachęcał do wypicia.

— Wypiłbym, rzekł Antonio, gdyby tak jakie dobre trafiło się zdrowie.

— Naprzykład...?

— Szukam właśnie, mówił zwolna Sabrone, zdrowie kuzynki Cazity piję codzień, nawet wodę do ust przytknąwszy, bo mi jej piękne oczy z myśli nie wychodzą; wasze panie kapitanie także dla mnie nie nowością, waszego gościa zdrowia ani choroby pić nie mam powodu, zanadto znam go mało, a cioci Anunziaty już wychyliłem...

— Wypij pan zdrowie przyszłej narzeczonej swojej, uśmiechając się rzekła Cazità, ja i my wszyscy wychylimy je z chęcią.

— A! zawołał Antonio... do wchodzącej właśnie ciotki z półmiskiem w ręku, słyszycie co to tu się

święci, Cazità chce pić zdrowie mej narzeczonej! Nie dość, że tą narzeczoną sama być nie życzy, przebacz kapitanie Zeno, dodał, wiecie żem się ze staraniem nie taił, ale żartuje sobie jeszcze z odepchniętego biedaka.

Antonio uśmiechał się szydersko, mrugał ku ciotce.

— Czy ręczycie?

Zrozumiawszy o co idzie, stara dała głową znak potakujący.

— No, więc dobrze, podchwycił Sabrone, wypijemy zdrowie narzeczonej mojej, pięknej Julii... ale... zarazem twego narzeczonego kuzynko Cazito, aby krzywdy nie było? hę?

— Wiecie, że ja go nie mam.

— A! i ja przed chwilą narzeczonej nie miałem a znalazłem przecie i nie cofnę słowa, poszukajcie i wy też narzeczonego, aby się nie wstydzić.

Cazità zapłonęła jak granat na to zuchwałe wyzwanie, obrażoną była, ale spuściła oczy czarne, w których kręciła się łza i milczała.

Wtem Konrad wstał, wziął za rękę kapitana Zeno i rzekł głośno:

— Kapitanie, Signorino Cazità, przyjmujecie mnie za narzeczonego?

Cichość jakby anioł przeleciał, panowała chwilę, Cazità oczy podniosła łzawe na Konrada. Zeno był smutny, ale ściskał dłoń jego i nieprzeciwił się.... Konradowi głos drżał, czuł że stawił w tej chwili

los całego życia na głowę dziewczęcia, ale zarazem, że to było nieuchronnem.

Cazità milczała jeszcze, Konrad przyklęknął.

— Przyjmujecie mnie?

Podała mu rękę patrząc na ojca... Zeno milcząco także głowę pochylił.

— Kuzynie Sabrone, pijże zdrowie narzeczonego Cazity, zawołał Konrad

— I niech Bóg błogosławi! niech Bóg błogosławi! odezwał się głos od progu, w którym niespodzianie pokazał się stary Kapucyn.

— Ale dajcież i mnie kielicha, dodał wesoło.

To niespodziewane oświadczenie, przyjęcie, błogosławieństwo nawet przybywające tak w porę, wszystkich jakoś przestraszyło. Stało się to nie wiedzieć jakim sposobem, i przed chwilą nikt o tem nie myślał, niktby tego nie przypuszczał. Konrad dziwił się swej odwadze, Cazità swojej śmiałości, ojciec wewnętrznemu głosowi, który mu podyktował zgodę, Antonio sam nie pojmował, jak tego dokazał i chmurny był z tej zemsty, którą szczęście dwojga ludzi zapewnił. Ciotka stała osłupiała, a ryba stygła.

Kapucyn jeden wychyliwszy kielich, pobłogosławiwszy narzeczonych, nie tracił czasu i wziął się do ryby.

Nikomu się też jeść już nie chciało.

Konrad drżąc, zdjął kosztowny pierścień matki z palca, i zbliżył się do zapłonionego dziewczęcia.

— Pani moja, rzekł poważnie, ten pierścień zaręczał dziada mojego i ojca, matka nosiła go do śmierci, przekazała mi go umierając; niechaj on nas zaręczy w imię tych cnót domowych, których był świadkiem. Ojcze Serafinie! pobłogosławcie raz jeszcze.

Cazità zdjęła też obrączkę z palca.

— Jestto skromny pierścionek matki mej także, rzekła, tej, po której dotąd ojciec mój płacze. Na progu nowego życia mieniamy wspomnienia rodziców.

To mówiąc, oddała mu obrączkę i poszła rzucić się na ramiona ojcu, który płakać począł. Serafin mruczał modlitwę. Antonio poglądał z kąta, ręce złożywszy na piersiach.

– A! gdybym była wiedziała, na co tę rybę smażę, szepnęła ciotka Anunziata, i co ten głupi Antonio zrobi... wolałabym ją była przypalić.

Późno w noc Konrad sam jeden w gondoli rozmyślając, wracał do Maltańskiego Krzyża. Był szczęśliwym, a jednak niepokój jakiś serce mu ugniatał. Wspomnienia kraju, domu, łzy Cazity wylane na samo przypuszczenie opuszczenia Wenecyi, troskami go poiły o przyszłość. Spędził błogosławionych kilka godzin życia, mówił z nią poufale, chodzili długo razem z sobą nad brzegiem morza, i nikt

im teraz nie bronił długiej sam na sam rozmowy. Cazità przyznała mu się, że go kochała z każdą godziną więcej; on jej, że od pierwszego wejrzenia poczuł się niewolnikiem... ale ilekroć chcieli mówić o dalszej przyszłości, zamierały im słowa na ustach. On nie pojmował życia, tylko na swojej ziemi; ona nie rozumiała szczęścia, tylko u brzegów Adryatyku. Kapitan Zeno słuchać nawet nie chciał o tem, by mu jedyną, ukochaną jego córkę pochwycić miano, i uwieść gdzieś za góry, w północne chmury i śniegi.

Konrad nie wiedział co uczyni; nakoniec pomyślał: Co Bóg sam począł, niech kończy.

I zatopił się w marzeniach o ślicznem dziewczęciu, które zapowiedziało, że nań oczekiwać będzie rano, i że razem dzień spędzą cały.

Nieznajomi sobie prawie a narzeczeni, tyle do mówienia mieli.

Naostatek łódka przybiła do brzegu. Kruczkiem przytrzymał ją stojący na kamieniach żebrak, i rękę suchą po datek wyciągnął. Konrad rzucił mu srebrną monetę całą, i poleciał do gospody.

W progu stał Zanaro ciekawy i niespokojny; ale ujrzawszy go z dobrą miną, poweselał.

— Eccellenza! bawiliście długo; wieczór być musiał wesoły?

— Powinszujcie mi gospodarzu.

— A cóż się stało?

— Jestem zaręczony z piękną córką kapitana.

— O! a Antonio?

— Zaręczył się z ideałem jakimś, którego imię tylko dosłyszałem.

— Niepodobna!

— Tak jest.

— *Cosa stupenda! Eccellenza!* Zaręczony! Byćże to może?

I Zanaro udając szczęśliwość wielką, widocznie niezupełnie rad był wiadomości; powieść dla niego jakoś się za prędko i za nagle skończyła. Pojąć nie mógł, jak się obeszło bez intryg, przeszkód, bitw, wykradania, do którego miał dopomagać, i za które spodziewał się, że mu zapłacą, bo plan był już osnuł stósowny.

— *Cosa stupenda!* powtarzał kwaśno, przemyślając już na prędce, jakby na nowo szyki pomięszać, wodę zamącić, i wędkę na ryby zapuścić.

Ale tymczasem wymownem powinszowaniem, w którem gwiazdy, słońce, księżyc, Św. Antoni Padewski i Jupiter zarazem, bogowie i anioły mięszali się w najpoufalszym stosunku, odprowadził go aż do drzwi mieszkania, śpiesząc wnet z nowiną niepomyślną do żony i córki.

Konrad wszedł, i pobożne chłopię upadł na kolana, aby się przed podróżnym obrazem Częstochowskiej Matki pomodlić.

Był to stary, na blasze złoconej malowany obrazek, z jednej strony Chrystusa na krzyżu, z drugiej Matkę Boską wystawiający, który nie opuszczał

nigdy jego matki: był z nim w boju na piersiach, zgiął się od kuli, od której go ocalił, a teraz słuchał modlitwy pierwszej narzeczonego strwożonego szczęściem swojem.

Nie wiedział sam, jak długo trwało to nabożeństwo, gdy kilkakrotne westchnienie, w którem poznał głos Maćka, obudziło go nareszcie.

Wstał raźniej na nogi, i obrócił się do chłopaka, który za progiem pokoju przechadzał się z założonemi na piersiach rękami, widocznie smutny i jakby na kogoś oczekując. Zaledwie ujrzał swego pana wolnym, począł odchrząkiwać, dając znać, że ma coś do powiedzenia.

— No, a co ci tam Maćku? zawsze tak źle w tej Wenecyi?

— I czegóżby miało być źle, odparł Węgrzynek, ono to dobrze, ale człek sobie różnie myśli.

— O czemże, Maćku?

— A o czemżeby Jaśnie panie, gdyby nie o swej biedzie.

— No! o jakiejże?

— Człek zwyczajnie sierota; ta przymyśla różnie, co z sobą dalej będzie robił.

— I ty więc myślisz już o przyszłości?

— A czemużby nie, proszę pana.

I stęknął, widocznie nie rad, że rozmowa jakiś obrót brała nie po myśli jego.

— Gdybyś ty mi mój kochany, powiedział odrazu czego chcesz, a nie wybierał się jak czajka za morze?

— Proszę Jaśnie pana, schwycił się Maciek, jabym se chciał do rzemiosła jakiego.

— Ty? do rzemiosła? gdzież? co? dlaczego?

— Anoby człek chleb miał zawżdy w swoich rękach.

Popatrzał nań długo Konrad, pokręcił wąsa, coś mu się to wydało podejrzanem.

— Bałamucisz, rzekł, co do ciebie przystąpiło!

— Ale proszę Jaśnie pana. coby miało przystąpić, ino człekby się rad ratował.

— Albož ci źle?

— A nie! uchowaj Boże!

— Czegóż stan chcesz zmieniać?

Maciek zamilkł, tylko obyczajem prostych ludzi po głowie się raz i drugi podrapał, jakby sam na siebie gniewając, i znów srodze wzdychać począł.

— Gdybyś gadał po ludzku, tobym cię może w końcu zrozumiał, rzekł Konrad.

Maciek schylił mu się do kolan.

— To ja Jegomości kochanemu wszystko powiem: Dalipan oszalałem za tą niegodziwą czarnobrewą szewcówną, bo to nie jest, jako żywo, żadna królowa ani królewna neapolitańska.

Konrad się rozśmiał; chłopiec nabrał ducha i odwagi.

— Dalipan oszalałem, mówił pocichu i jakby zawstydzony, bo proszę pana, gadać z nią nawet nie umiem; ale kiedy człowieka oczyma tak przewierci na wylot, do kości, że potem oszaleć trzeba.

Niech tylko stanie, uśmiechnie się, i weźmie temi oczyma ciskać w duszę, tak i rozum się traci; choćby święty był, toby do dna piekieł zaprowadziła.

— A pocóż chodzisz pod te oczy? hę?

— Otóż to, proszę Jaśnie pana, w tem sztuka, że od pierwszego razu, gdyby wędką, jak chwyciła, tak już i pokoju nie mam. Człowiek się boryka, opiera, a musi iść i tego utrapienia szukać. Już ja wiem, że z tego cało nie wyjdę... myślę sobie: przystanę do szewca; niech się dzieje wola Boża... to ją przecie wysłużę. Tak wczoraj rozmyśliwszy się i poszedłem do niego. E! zrazu mię przyjął mało nie pociągaczem, ale jakem go zaczął reflektować: żem terminować gotów u niego, że będę mu służył jak za Rachelę, byleby mi córkę choć obiecał przyrzec, tak się starowina rozdobruchał i powiedział, że byle pozwolenie pańskie, weźmie mnie na próbę do roboty, a potem... e! potem! ino żebym się do domu dostał, to już ja pewny swojego... nie wykurzy mnie on niczem.

— Byleś tylko ty sam nie uciekł, dodał Konrad. I chciał robić uwagi chłopakowi, że zbyt pospiesznie się rwał, nie znając dziewczyny, do żeniaczki, ale mu na myśl przyszło, że i sam lepszym nie był.

— Młody bardzo jesteś, rzekł powoli, ale masz lub powinieneś mieć swój rozum. Ja ci w drodze nie stanę... uważaj jak lepiej. Jeźli stary zechce cię wziąść na naukę, próbuj szczęścia... nie uda się,

znajdziesz u mnie zawsze przytułek i chleba kawałek. Niech Bóg błogosławi... ja cię w niewoli trzymać nie myślę... Ale patrz, dodał po chwili, żebyś tej swej prędkości nie żałował potem. Czy też nie zatęsknisz za krajem, za naszą wioską, za jeziorem i ludem swym i krewnymi.

Maciek się zamyślił.

— Kiedy to proszę jaśnie pana i w biblii słyszę stoi napisano, że człek rzuci wszystko, a pójdzie za dziewczyną... bo takie na wiek wieków Boże przykazanie.

Konrad zaczął się śmiać bardzo z tego osobliwszego wykładu Pisma świętego, ale nic nie odpowiedział.

Wtem zza drzwi ukazała się twarz szewca w świątecznem ubraniu, który ujrzawszy Maćka, trochę się zafrasował.

— A, Signor Nani... jakże mi się miewacie?.

Maciek podbiegł pocałować rękę starego, który dosyć go przyjął kwaśno.

— Przychodzę się tylko dowiedzieć co u Was słychać, Wielmożny Panie, spytał stary, jak to tam idzie.

— O tem potem, zawołał Konrad, ale ja tu coś nowego się dowiaduję, wszak to waszmościna córka zbałamuciła mojego chłopca.

— A! uchowaj Boże, ofuknął się szewc, cale przeciwnie, chłopiec jegomościn obałamucił mi córkę... przychodzę się skarżyć.

— Sprawy tej podobno oba nie rozsądzimy, rzekł Konrad, bo zdaje mi się, że tam równe winy z obu stron, a skutek jeden, że Maciek oszalał, i do terminu się bierze, nie chcę mu przeszkadzać wcale, lecz zważ kochany majstrze, że to siarka nie chłopiec, a wasze rzemiosło siedzące, cóż to z niego będzie za robotnik.

— Już to proszę Wielmożnego Pana, odpowiedział szewc poprawując okularów, ja mogę za to ręczyć, że jak się dostanie w moje ręce i na naukę do mnie, to mu tę siarczystość precz wyżenę i będzie taki miękki i spokojny jak zechcę.

Maciek się wszakże nie uląkł już nawet groźby, wzdychał tylko, jakby mówił w duszy: — Patrz kobieto, co ja cierpię dla ciebie!

Klepnął go po ramieniu majster.

— Ty do mnie na służbę, a żeby dystrakcyi w domu nie było, Marjetta natychmiast do Werony do ciotki pojedzie, która jest furtyanką u panien Franciszkanek, zamkną ją na ten czas pod klauzurę...

Maciek znacznie z humoru spadł.

— E! proszę jegomości, rzekł, a długoż to tego ma być?

— Dopóki z terminu nie wyjdziesz.

— Naprzykład?

— Różnie! rok, dwa, trzy.

Chłopiec zaczął głową kręcić.

— Widzisz Maćku, odparł Konrad, ciekawym

jesteś Pisma świętego, przypomnijże sobie ile lat za Rachelę....

— A! niech go tam i z Rachelą...

— To inaczej nie ma być, zawołał majster, i nie będzie, jak wola twoja! Myślałeś, że cię odrazu jak kota... z pozwoleniem, do sadła puszczę... o! o! nie głupim! nie zrobiłbym ja cię szewcem i za lat dziesięć, gdybyś przy Marjecie terminował...

Maciek zamilkł.

— A cóż będzie? spytał Konrad.

— Co ma być, proszę jaśnie pana... czy to dwa lata długa rzecz? to furknie jak skowronek, to ich i nie ma, kiedy wisieć to wisieć... słowo się rzekło...

Skłonił się do nóg Konradowi, a zawahawszy nieco, padł całując je.

— Tyś mi był ojcem, rzekł płacząc — pobłogosław, już inaczej być nie może.

Patrząc na tę scenę, szewczysko otarł okulary i rzekł w duchu: Musi być dobre chłopię, więc wola Boża...

— Panie majstrze, oddaję go wam i proszę, bądźcie mu rodzicem łaskawym.

— Nie bójcie się, zawołał Nani, dając poufnie znak głową, nie stanie mu się krzywda, ale nowicyat szewski odbyć musi, to darmo...

Po krótkiej rozmowie urywanej i nie zbyt wesołej, Nani wyszedł, zapowiadając chłopcu, żeby

pana nie opuszczał, dopóki on był w Wenecyi, a do Marjetty się zbyt często nie wykradał, bo zawczasu pociągacza spróbować może...

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Maciek w smutnej postawie, kiwając głową, stanął przed panem.

— E! panie! zawołał, poco to my do Wenecyi jechali, ano i mnie i pana... ponoś... schwyciło półdjable weneckie!!!

W Robninie stary Pukało jedną wydeptaną ścieżką chodził dwór przewietrzać, gdański zegar nakręcać o swej godzinie i po pokojach przesuwając się milczący odmawiać w duchu zdrowaśki za nieboszczyków, ale mu się tęskniło za paniczem.

— Gdzie się to on tam teraz obraca, mawiał zrazu do Murzynowskiej, żeby go tam aniołowie stróże prowadzili i nim się opiekowali... Co to młode, gorące, trochę dziwaczne, a ten szaławiła Maciek to mu tam kłopotu przysporzy, nie ulgę sprawić może... Aby go tylko Bóg cało nazad przyprowadził.

Przyszły listy jedne i drugie, i pocieszył się stary choć tem, że z powodu moru już o podróży do Ziemi Świętej i mowy nie było.

Pukało rad był się co o Wenecyi dowiedzieć, ale krom tego co w starej książce *„Świat przejrzany“* znalazł, nie wiele się o niej nauczył. Pra-

wił mu ksiądz proboszcz różne dziwy, na których serce i fantazya starca pracowały. Wzdychał i modlił się.

— Co Bóg da, to będzie.

Aż tu jedną razą z Poznania przywożą mu pismo długie: okularów pod ręką nie było, stary je na polu odebrał, a do dworu kawał i posłać nie miał kogo, bo szkła były pod kluczem, klucz przy kłódce z innemi i powierzyć ich nie sposób.

Gorejąc od niecierpliwości Dalifur, posztykulał do domu, a że proboszcza spotkał w drodze (który też bez okularów nie czytał, chyba na mszale, który na pamięć umiał), potem Murzynowskę około chmielnika, wszystko troje z tym listem zawlekli się do pokoiku Pukały.

Nim się szuflada otworzyła, okulary dobyły, futerał sznurkiem umocowany otworzył, szkła wytarły... co było domysłów nad długością pisma i jego treścią!!

Naostatek zasiadł tyłem do okna stary i rzucił oczyma po wszech stronnicach, a napadłszy kilka wyrazów, aż krzyknął.

— Jezus Marya!

Ksiądz się zerwał, Murzynowska jęknęła.

— Na Boga co się stało paniczowi?

— Żeni się, jak mi Bóg miły, żeni się! zawołał Dalifur... ot co!

— Gdzie? za granicą, z kimże!

— A no... Panie odpuść z Włoszką!

Nuż od początku czytać, jakoś i we troje każdy wyraz z listu dobywać. Pismo było dość długie, w niem Konrad uwiadamiał o wszystkich podróżnych przygodach, a mianowicie, iż znalazł towarzyszkę życia, młodą, piękną, do której serce jego przemówiło, i z którą już pierścionki zamienił. Prosił o mszę na intencyą swoją księdza proboszcza, o wyporządzenie stósowne domu, o zakupienie potrzebnych zapasów; upewniał, że dobrą przywiezie im panią.

W przypisku dodał, że Maciek zostaje u szewca Polaka na terminie w Wenecyi.

— O już jak ja tego bestyę znam, zawołał Pukało, tobym przysiągł, że albo tam jest majstrowa, czego Boże broń dla zgorszenia, albo majstrówna... nie chybi...

Ale o Maćka było mniejsza; posmutnieli wszyscy na tę wesołą wiadomość, bo co to do domu polskiego żona cudzoziemka!!

— Skończyły się dobre czasy, szepnął Pukało, powoli składając list,— chociażby ona była najlepsza, już to ani ładu ani składu nie będzie. Przewróci tu młoda jejmość do góry nogami wszystko na cudzoziemski sposób.

Murzynowska łamała dłonie.

— Ani się z nią będzie rozmówić, zawołała — kto zresztą wie co oni tam jedzą... zkąd ja jej wezmę tych pulpetów i soporów, do których tam jejmościanka przywykła.

— Gdyby tylko choć dobra katoliczka, zawołał z kolei proboszcz, ale to mnie pociesza, że we Włoszech wszyscy są w obedyencyi kościelnej.

— Nie musi to znów być nic wielkiego, córka kapitana okrętu, dodał Pukało, ani familiantka ani bogata.

— Ale! gadaj wać pan zdrów! podchwycił proboszcz... w Wenecyi, gdzie naród cały po morzu żegluje, najwięksi patrycyusze na statkach życie spędzają... i skarby wielkie zyskują, opływając świat...

— Jak tylko jeszcze wielka pani to stokroć gorzej — rzekł Pukało, bo z państwa rodzą się muchy w nosie nie z czego...

— Ja jestem prosta sobie kobieta, przerwała z westchnieniem Murzynowska, rodzę się z Grabinkowskiej, a ojciec był podstarościm; aleśmy przez złych ludzi utracili substancyą... no! no! dosyć; nie chcę być długą... ale wiedzą ludzie, że nie byłabym do tego doszła, ażeby się po cudzych tułać kątach... gdyby... Ja jestem prosta kobieta, ale wiele widziałam małżeństw takich, czy pańskich czy chudopacholskich, gdzie żona była cudzoziemka. Zawsze, nie prorokując, szło to koszlawo.

— Ale Waćpani zapomniałaś, że on sam z weneckiej familii pochodzi, zawołał Dalifur.

— O! o! dziesiąta woda po kisielu!... gdzie to kiedy co było... a no, milczę; niech Bóg da jak najlepiej.

Ksiądz powtarzał:

— Tylko żeby była dobra katoliczka, bo to w kobiecie grunt; ale, ot sęk! jakże ja ją będę spowiadał, kiedy po włosku nie umiem; chyba po łacinie? Machnął ręką.

— A jak ja ją spytam, co z młodemi indyczętami robić? hę! zawołała Murzynowska.

— Słowem, że lepiejby było, żeby się był tu ożenił, rzekł ksiądz.

— No! a jakby miał znowu marnieć jak marniał po tej tam wojnie długi czas, rzekł Pukało, lepiej niech się żeni... będzie miał co robić z żoną cudzoziemką; choćby ją po polsku uczył, to się nie znudzi i nie zatęskni.

Dopieroż rozpoczęła się narada wielka: kiedy przyjechać mogą, jak dwór przysposobić, co do spiżarni kupić, czem Robnin, trochę staroświecko wyglądający, odświeżyć, itd. Murzynowska chciała nowych firanek i obić. Pukało obawiał się o nieco powychylane posadzki. Ksiądz radził, aby tylko spiżarnia i apteczka była pełna.

— No, i piwnica, rzekł Dalifur, boć to i Bolesławowie przyjadą i pani Anna z mężem i dziećmi, i goście naspraszają, a u nas bez kielichów to się nie obejdzie.

— Byle nie nadto, byle nie nadto! wołał proboszcz, *ne quid nimis, pocula necessitatis, sanitatis, hilaritatis* ale nie *dementiae*.

— A zawsze piwnicę zaopatrzyć potrzeba, mówił Dalifur, stare wino co jest, to ja tu go nie

dam, chyba *na stępel*, a na początek młodego trzeba, byle czystego, z Poznania, oxeft jeden albo i drugi.

— A tu te indyczęta! a te indyczęta! wzdychała Murzynowska, one mnie zdrowia pozbawią, jak już snu i apetytu pozbawiły. To okropność, *epidendemia* (sic) jak zdychają. Już jak indyk wyrośnie, to tam mówią, że bardzo smaczny.

— Z podléwą, dodał cicho proboszcz.

— Ale niechajby go ten hodował co go chwali, jękliwie dodała Murzynowska; taż to z pańskiemi dziećmi tyle biedy nie ma; a siekaj im zieleninę, a zaprawiaj, a nie dawaj na twardem, bo głupie dzióby sobie pokaleczą. At! już to nie Pan Bóg indyki wymyślił, rzekła cicho.

Pukało zaczął się śmiać. Proboszcz uważał to za bluźnierstwo, i ostro spojrzał na klucznicę, która umilkła.

— A co masła zjedzą! dodała, bo pewnie kucharza jakiego Mondkucha sciągną, co je łyżką na ogień rzuca, choćby śmietankowe.

— W gospodarstwie przerwa wielka... zaczął sobie Pukało... do ogrodu i koło domu ludzi oderwać muszę, aby zaraz robili. Niby z listu widać, że lada dzień spaść nam mogą... Piasek trzeba zwozić, grodzić, bielić... oficyna całkiem obleciała, kominy czarne jak cygany....

Wszyscy brali się za głowy, zakłopotani.

— At! at, pocieszał proboszcz, nie trzeba znów nieszczęścia z tego robić, co Bóg dał na pociechę

biednego rodzaju ludzkiego... grzech i to... Jakoś to będzie; pan Bóg pomoże, aby człowiek dobrze chciał.

— Niech będzie pochwalony.

I to rzekłszy, wymknął się, brewiarz cisnąc pod pachą, rad starowina, że ich porzucił, bo nie mógł poratować, a stękaniny słuchać nie miło.

Pukało i Murzynowska do północy niemal radzili i kłopotali się.

Nazajutrz wrócił przy pracy, i humor lepszy i weselsze na przyszłość spojrzenie. Krzątali się już jak gdyby państwo młodzi co chwila przybyć mieli.

Ile pobitego drobiu sprzedano, wytrzymawszy do ostatecznego terminu, ile kadzidła wyszafowano we dworze, smółki, skórek od jabłek, trociczek i proszków, zliczyć trudno. Jesień się zbliżała krokami wielkiemi, żniwa skończyły, lasy pożółkły, poczerwieniały, poopadały z liści, nie przyjeżdżali i nie przyjeżdżali.

Listy wprawdzie przychodziły, obiecujące wkrótce przybycie, nieoznaczające terminu. Po każdym z nich z nową gorliwością brali się Pukało i Murzynowska do przygotowań, ale tygodnie i miesiące upływały, a ich nie było i nie było.

Zaczęto już i w piecach przepalać i olchowemi suchemi drewkami po kominkach, bo przymrozki brały, gdy jednego poranku, kiedy Pukało był nieubrany, a Murzynowska chodziła około chorego cielęcia, ni ztąd ni z owąd wsunęła się w dziedzi-

niec landara obłocona, zaprzężona końmi posprzęganemi ze wsi. Chłopiec przybiegł dać znać na folwark, że państwo przyjechali.

— A! Dalifur! a kontusz w kufrze! krzyknął Pukało.

— Matko Boska! to nieszczęśliwe cielę! wołała biegnąc co tchu po kitajkową zieloną suknię Murzynowska.

W domu nawet od trzech dni, jak na złość, przepalane nie było .. chłód przejmujący po pokojach.

Na progu w ganku nie przyszedł ich nikt z chlebem i z solą powitać... ale Konrad pocałował w czoło młodą swą piękną choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domostwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jej domem.

Po tamtym kraju jakże się tu wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko, ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie... a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni ni kwiatu!

Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane Lido, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczona od stóp do głów.

Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej, rozmawiał z każdym kamieniem i drzewem,

śmiał się do ludzi i ścian, ona coraz wyglądała smutniejszą, nie mogąc tej radości podzielać.

Napróżno ściskał ją, całował, chciał utulić i rozruszać, i ująwszy pod rękę powiódł po domu ukazując jej bogactwa swoje, niestety! choć dom zamożny był, dostatki te ubogo się wydały dziewczęciu, które widziało pałace Contarinich, Morosinich, Kornarów i innych patrycyuszów Wenecyi. Wszystko tu było skromne, szare, nie błyszczące, ciche jak dawne życie wiejskie, a sam Konrad zdziwił się, to co dawniej wydawało mu się pysznem, znajdując biednem i małem. Nawet rozmiary dworu zdawały mu się czegoś ciaśniejsze... wszystko postarzało i jakby w ziemię zapadło.

Cazicie jedno zdaleka widne jezioro podobało się... woda przypominała jej ojczyznę, uśmiechnęła się do niej jak do starej młodych lat przyjaciołki.

Ale nareszcie i Pukało nadszedł zdyszany, w nowym kontuszu ze źle zawiązanym pasem, za którego przecie niefremny węzeł, chłopak po uszach oberwał, niosąc w rękach półmisek z chlebem i solą, która się przewróciła i wysypała. *Omen* był straszny.

Ale Konrad pochwycił starego w objęcia i całując go płakał, a Pukało też sobie się rozszlochał. Cazità patrzała zdala niespokojna. Nie wiedział stary, jak ją przywitać, pana prosił za tłumacza, a ukradkiem spojrzał jej w czarne oczy i wydała mu się w tej chwili dobra i miła... a dziecięca...

Więc ścisnął raz i drugi za kolana, schyliwszy się, i tak przemówił wymownie, a od serca, że Cazità zrozumiała, jeźli nie słowa, to intencyą i uczucie.

Tuż w kitajkowej sukni zielonej, myśląc zawsze o konającem cielęciu, wbiegła i Murzynowska, mniej śmiało. Przypomniała ona pani Konradowej trochę ciotkę Anunziatę na mniejszą skalę i temu winna była uśmiech, który ją spotkał.

Przyszła jakoś do siebie cudzoziemka, uśmiechnęła się i do męża, poszli razem podworze oglądać do szeleszczącego liśćmi ogrodu, na podwórzec... po gospodarstwie.

Tu biednej Cazicie wszystko trzeba było tłumaczyć i wszystko się jej wydawało niezrozumiałem, mimo pracy, z jaką mąż usiłował ją w nowe wtajemniczać życie. Roztargniona, szukała oczyma... jeziora..

Mimo chłodnego powietrza, uprosiła, że doszli aż do brzegu i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

— Słuchaj, *mio caro*, rzekła, to coś okropnego, ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jej zimny, macoszyn, nie mojej matki Adryi.. nie... Ja nierozumiem nic... to język wasz.. obcy... to woda jakaś inna, smutna... bez smaku...

Zaczerpnęła jej dłonią i rzuciła na ziemię.

— Jakto! zawołała... taka przestrzeń wody bez odrobiny soli... mojej fali znam smak ostry i szczy-

piący... ta... zepsuty, — czy ją mróz wasz wygotował... czy...

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić, szepnęła — to twoja ojczyzna... chciałeś, bym jej spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... a ja... — dodała tuląc ręką bijące serce... ja bez mojej — dla ciebie... spróbuję!

Poszli, już nic nie mówiąc do siebie. Czasem zbudziła go jakiem pytaniem lub przykrym dla niego uśmiechem.

— U was wszystko z drzewa, u nas wszystko z kamienia... jak to dziwnie; mówiła. I nie boicie się ognia, wiatru, wody?

— Ale u was ja się więcej jeszcze boję morza wśród tych stosów kamieni na drżących palach, które jedno wstrząśnienie poobalać może.

— Oh! zawołała Cazità... wieki to stoi...

— I to stoi wieki, dodał Konrad, a człowiek żyje tak krótko...

— To prawda, szeptało dziewczę, tu na każdym kroku czuć, że się nie na wieczność budowało.

Ludzie, domy, zwierzęta wszystko ją dziwiło; przestraszała się rwących koni, które Konrad ze stajni wyprowadzać kazał, załamała ręce, gdy wsiadł na jednego z nich, aby i jej swą zręczność pokazać i po długim spoczynku, znowu się uczuć na siodle...

Cazità padła prawie na wschodkach ganku, gdy młodzieniec uniesiony wspomnieniem wojaczki wy-

puścił drogą wierzchowca i jak strzała pędząc znikł jej z oczów. Już płakać zaczynała, gdy zawróciwszy w czwał powrócił, osadził konia i skoczył z niego do stóp jej.

— A! Corradino! już ja ci chyba nigdy nie pozwolę dosiąść konia, ty szalejesz, to jest dzikie stworzenie.

— Znać, żeś nigdy innego prócz bronzowych waszych na kościele Ś. Marka nie widziała, zawołał Konrad czule ją ściskając; dla nas koń jest tem czem u was gondola. Słyszałaś, by Wenecyanin wywrócił się i utopił z gondolą, otóż Polak tak z koniem; bądź spokojną.

Na wieczór przybył proboszcz w nowej sutannie z powinszowaniem i błogosławieństwem domu; i ten się trochę wydał dziwnie Cazicie, ale dobry starowina, wkrótce ją swą łagodną fiziognomją pozyskał.

Tak przeszedł na wpół niezrozumiałej rozmowie długo w noc przeciągniętej pierwszy wieczór w Robninie pięknej Wenecyance. Noc była wietrzna, chmurna, wiatr bił okiennicami do rana, wył w kominach i dziwnemi głosy jęczał dokoła domu.... choć przywykła do szumu fali, Cazità usnąć nie mogła, siadła w łóżku i płakała

Z wymówką prawie spojrzała na uśpionego Konrada, na którego ustach igrał uśmiech uspokojenia błogiego. Wstała pocichu, na palcach i poszła pisać do Anunziaty.

A list był smutny, długi i nie w jednem miejscu łzami zmazany.

Nad ranem chmury rozpędziła burza, pokazały się gwiazdy, ale nagły mróz taki jaki często chwyta niespodzianie późną jesienią, wyiskrzył się ścinając lodem wszystko, okrywając drzewa wilgotne szronem, bieląc ziemię i lasy i wody...

Cazità usnęła znużona. Gdy się zbudziła z czerwonemi jeszcze od płaczu oczyma, Konrad stał nad nią, rumiany od chłodu, z którego wracał, wesół, szczęśliwy.

— Chodź, zawołał, wyjrzyjno tylko na ogród okienkiem... póki wyżej nie podejdzie słońce i nie roztopi brylantów, jakiemi noc obwiesiła drzewa, chodź i przypatrz się cudom tej dzikiej ziemi.

Cazità obwinięta zarzuconą suknią dała się pociągnąć do okna.

W istocie świat wyglądał jak zaczarowany... przestraszyła się prawie. Gościnna ziemia wystroiła się dla obcego dziewczęcia, — gałęzie drzew wyglądały jak szklanne, najdrobniejszy pączek był oblany brylantem, białe puchy, jakby nowemi liśćmi ubierały krzewy i najcieńsze gałązki. Cazità krzyknęła z podziwu, ale oko jej nie przywykłe do tego widoku uciekało strwożone prawie od niego. Wiało chłodem od tych cudów. Ptaszyny z podwórza świergocząc tuliły się pod okno i strzechę szukając trochy ciepła i drobiny życia.

Cazità o mało im nie otworzyła szyby, aby przyjąć tych jak ona zziębłych wędrowców.

Młodość ma w sobie zapasy siły, któremi wiele przemódz może gdy zechce, czasem potęgę instynktu, który bezwolnie w człowieku działa, aby go z otaczającym poślubić światem....

Wenecyanka po kilku dniach pobytu w Robninie, trochę się już z nim i krajem oswoić musiała; ale zawsze jeszcze było to obce i nieswoje; czuła, że tu nic nie potrafi, prócz tęsknić. Wieczorami przywiezione z sobą widoki Wenecyi rozrzucała po stoliku, i jak dziecko bawiła się temi obrazkami, przypominając Konradowi, gdzie z nim byli razem, opowiadając co tam niegdyś widziała i słyszała. Wesoło zaczynała się powieść, ale głos powoli zniżał, i w końcu, w końcu łza ukrywana padła na kochaną kartę przypominającą *Venezia la bella*. Teraz też ona jeszcze świetniejszą, cudowniejszą wydawała się wygnance zbolałej. Leciała do niej myślą, sercem, szukała ojca po morzach dalekich, ciotki na Lido osamotnionej, nawet tych, których nie kochała dawniej, Antonia i Giulii.

Konrad zaledwie przybywszy do domu, napisał zaraz do siostry i brata, zapraszając ich do Robnina; dalsza też rodzina i powinowaci ciekawi byli poznać cudzoziemkę, do której zawczasu mieli urazę, że im niespodzianie serce brata schwyciła.

Nie znając jej, wszyscy byli potrosze uprzedzeni przeciwko tej obcej, co im się tak pod strzechę

wkradła, a trochę podszeptywała szlachecka dumka przeciwko może nieszlachciance, a pewnie ubogiej dziewczyninie. Anna, siostra Konrada, nie umiejąca po włosku, Bolesław umiejący nie dobrze i nie wiele, kłopotali się zawczasu rozmową. Zapominali, że sami pochodzili także od przybysza, wrośli już byli w nowy kraj i do jego obyczajów przywykli. Wszystko to na dzień naznaczony zbiegło się sanną drogą do ośnieżonego dworu, którego kominy pałały i ściany świeciły się od pozapalanych świec. Cazitá chodziła wystrojona ale drżąca, czekając na przybycie rodziny; łzy się jej kręciły w oczach. Niktby w niej teraz nie poznał owego wesołego dziewczęcia rozpieszczonego, które się z takiem *brio* zjawiło na pokładzie statku *Padre Antonio*. Nie zbrzydła Cazitá, była szczęśliwą, kochała Konrada całem sercem południowem, namiętnie... a jednak pożerała ją tęsknota, szarpał sercem widok tego świata, do którego nie była stworzoną, który ją przestraszał i męczył, nawet gdy chciał ukołysać i przytulić.

Widziała męża szczęśliwym i milczała, ale w sercu i na ustach nieustannie miała jedno: wrócić tam na brzeg Adryatyku, siąść w domku na Lido, patrzeć na lazurowe fale i oddychać słonem powietrzem morskiem. Ale cóż? Tam Konrad znowu zatęskniał za borami swemi, tam on smutny wałęsał się, oczyma szukając jakichś przypomnień swego kraju. Cazitá widziała go ze łzą w oku,

podsłuchującego rozmów Dalmatów, tych *portatore* i *portatrice d' aqua*, których język miał dźwięki do jego mowy podobne, posyłającego westchnienia ku wschodowi i północy, szukającego na horyzoncie strony, z której wiatr mógł mu przynieść dym kominów jego ziemi. Cazità widziała jak szczęśliwy sechł i chudł z niecierpliwości powrotu, jak każdy list z domu oblewał łzami i witał serdecznemi śmiechy, jak pragnął choć na chwilę być tam i zaczerpnąć powietrza, coby mu na czas jakiś życie dało.

Ale tu znowu ona tej samej dostała choroby, tęsknicy. Konrad radził na nią, ale lekarstwa nie było.

Serdeczne były powitania siostry i brata. Cazità poczuła się na chwilę obcą, trochę zazdrosną, ale te poczciwe serca objęły ją zaraz ciepłem swojem i nie dopuściły pozostać samotną. Anna, miła, gadatliwa, rumiana, dosyć otyła gosposia, przywykła do krzątania się w domu, poczęła pomagać niedoświadczonej Włoszce do zajęcia się gospodarstwem; dodała jej ochoty, śmiałości, wesela... Wszystkiemu poklaskiwała i znajdowała swą uczennicę na podziw pojętną i zręczną; rozmawiały z sobą nie wiedzieć jakim językiem, ale się pokochały.

Bolesław był szlachcic z kośćmi, hreczkosiej, domator, wygodniś, przywykły do swych godzin, swojej kuchni, twarzy, ścian i ludzi. Zrobił wielką dla brata ofiarę, że do niego przyjechał, a choć

ten dwór stary jego także młodości był piastunem, już mu tu po jego domu własnym nie było bardzo wygodnie. Spłakał się wprawdzie, ściskając starego Pukałę, ale wprędce zatęsknił za swoją kanapką kolbuszowską, poduszką turecką i kominem, na którego ogień nawykł był patrzeć milczący godzinami całemi, marząc o niebieskich migdałach.

Kochał Konrada, a męczył go Konrad opowiadaniami i pytaniami bez końca... podobała mu się bratowa, a wolałby był, żeby jej nie było, boby się był wygodniej mógł przebrać i zrzucić paradny żupan i kontusz, a od pasa się uwolnić.

Przy wieczerzy jednak i kieliszku wina, chmurki i obłoczki z czoła biesiadników pozlatywały, wesołość przypłynęła z tokajem starym, rozmowa się ożywiła. Cazità nawet objęta jej wyziewami, poczuła się śmielszą i weselszą. Ale na nieszczęście Konrad przyniósł do wina kielich z pięknego szkła robiony w Murano ; Włoszka przypomniała Wenecyą, gondole i tę piękną wyspę szklarzy i swoje Lido i żeglującego daleko kapitana Zeno. Rozpłakała się; musiała uciec od stołu. Konrad pobiegł za nią, Anna za niemi, także Bolesław. Pukało i ksiądz proboszcz zostali sami przy stole prawie.

— Co to jej jest? spytał Bolesław Pukały, czy ją kto obraził?

— Ale gdzie zaś panie... to włoskie jakieś fantazye.... ona, proszę pana, tęskni tak za tą swoją Wenecyą, że do szaleństwa prawie.

A proboszcz dodał potakująco:

— Extra dobra osoba, ale znać to, że się w naszym kraju nie urodziła; cale inny obyczaj. Dobra katoliczka, pobożna... co za szkoda, że cudzoziemka.

— No, to się to powoli przerobić może! rzekł Bolesław.

— Chyba nie, rzekł Pukało z cicha, ja na to patrzę, dalifur, z przeproszeniem pańskiem, od samego początku, ale choroba zamiast coby się zmniejszać miała, powiększa się jeszcze z dniem każdym, dalifur. To jest *ni fallor* zły znak.

— Pan Bóg odwróci! szepnął proboszcz, przypatrując się winu przeciwko światła, i znajdując bursztynowy jego kolorek bardzo pięknym.

— E! mospanie, odparł Bolesław, aby Bóg dał potomka Konradowi, wszystko to minie... u kolebki dziecięcia matki ojczyzna.. przywiąże się... a zatem konsolacyi przyszłej!

I potrącili kieliszkami, ale Pukało westchnął.

— Pan wie, rzekł na ucho Bolesławowi, jegomość nasz nie żartem myśli na wiosnę z nią do Wenecyi jechać... to nas zrujnują te wojaże. Prawda, że tam na miejscu mało co życie kosztuje, bo dom swój mają, ale póki się tam dobić...

— A jakże tam z substancyą, nie wiesz? zapytał Bolesław, nie mówił Konrad?

— Nie wielem się dowiedział, odparł Pukało, nie widzi mi się, żeby to tam wielkie rzeczy być

mogły. Cały majątek kapitana statek, a to, dalifur, proszę jegomości, byle dobry wiatr może się rozprysnąć, i pójść w deski i trzaski... no, a domek, murowanka, co tam może być wart. Jejmość z sobą przywiozła coś tych cekinów, ale tego ani chce tknąć nasz pan.

— No? przywiozła? spytał Bolesław — sporo? sporo? wszak ci to Konrad, jak orzech zgryść, mógł wziąść w domu spokojniuteńko jakie parę kroć, coby sobie był wioskę kupił jaką sam chciał... Jak miarkujecie, co to tam być może?

— A! tego nie wiem, cicho szepnął Pukało, ale szkatuła ciężka...

— No, to taki coś jest... chwała Bogu... rzekł Bolesław; a niewiecie? czy szlachcianka?

— Pan mówi, że to dom zubożały, ale z wielkich patrycyuszów gałęzi.

— Nie widziałeś aść herbu?

— Nie, ale mi pan mówił, że mają łódź złotą w niebieskiem polu.

— No! to niczego! rzekł Bolesław... Wszystko dobrze, gdyby nie te fonfry w nosie.

Proboszcz jednem uchem słuchając, dodał z cicha...

— Ale to przejdzie...

W tejże chwili wróciła Cazità uspokojona z siostrą Anną i mężem; mąż był zmięszany, skłopotany, a gosposia udawała wesołość tylko, ale i na jej czole znów widać było troskę... Włoszka sta-

rała się uśmiechać, zagadywała, była grzeczna, a mąż czytał z jej twarzy, że rada była, aby się przyjęcie co rychlej skończyło.

Tak przeszedł dzień pierwszy, mało różnie następujące, biedne dziecko pracowało nad sobą usilnie, aby się zbliżyć do nowej rodziny, ale między nią a niemi nie było łącznika prócz Konrada, który sam cierpiał, był roztargniony i dopomódz jej nie umiał.

Im więcej, głębiej wglądała w ten świat obcy, tem się jej straszniej robiło. Tam też całe ich gospodarstwo składało się z ciotki Anunziaty, prostej kobieciny, starego Pietra co w ogrodzie pomagał, ojca, a czasem kuzyna Antonio.

Cazità była swobodną, wybiegała kiedy chciała boso na brzeg morza, w kapeluszu słomianym do ogródka, w prostej sukience płynęli się pomodlić do S. Giorgio Maggiore lub S. Biaggio na Riva... tu tysiące miała różnych prawideł do zachowania, ostrożności, przyzwoitości... Była trochę większą panią, ale to państwo zamykało ją jak w więzieniu w ciemnym dworze Robnina... musiała pilnować i swojego uśmiechu i ruchu i słowa, straciła wesołość, tracąc swobodę.

Trzpiotowate dziecię stało się przed czasem zamyśloną i posępną niewiastą.

Czy smutek działał, czy klimat, niewiadomo, ale pod koniec zimy, gdy już skowronki zjawiać się poczęły nad szarą rolą budzącą się do wiosny,

Cazità zasłabła, pobladła, poczęła kaszleć; straciła ochotę do życia, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwieź mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka... będę zdrową... będę zdrową.

Konrad nie śmiał jej powiedzieć, że on tam może chory będzie, żal mu się zrobiło biednej, ukochanej istoty...

— Poczekaj, rzekł, niech się zazieleni ziemia, niech ja zobaczę moje lasy w ich świątecznych strojach, nasze kwiatki w młodych sukienkach, nasze jezioro rozkołysane... pojedziemy...

Jak Julia w Shakespearowskim dramacie, w tej cudnej scenie nadchodzącego poranka, Cazità upatrywała wiosnę nadchodzącą w dniu każdym; przyniosła uszczęśliwiona pierwszy listek dzikiego agrestu, pierwszą rozwiniętą w śniegu przelaszczkę... cieszyła się, gdy lody pękły na jeziorze... i wylatywała na słońce spróbować czy dobrze już grzeje. I wołała:

— Konradzie mój! już wiosna! już wiosna! Na Lido puściła pewnie winna latorośl... jedźmy, jedźmy! Konrad czekał, jemu tak żal było swojej wiosny i rozwoniałych brzóz i pękających bzów... odkładał do jutra. Próżno przymilała się Cazità, prosił tak pięknie o dzionek jeszcze, o dwa dni — czekała, patrząc okienkiem.

Nawet czarodziejskie to u nas odmłodzenie ziemi, nie zdziwiło jej i nie ucieszyło, patrzała na drzewa z wyrzutem prawie, że do włoskich nie były podobne, kwiaty znalazła drobnemi i słabemi, wody jeziora wydały się jej brudniejsze nawet niż woda lagun weneckich...

Konrad czuł, że potrzeba było jechać, bo Cazità nikła mu w oczach, bo policzki jej kwitnące traciły barwę, wzrok blaski wypłakane, czoło pogodę.

Ale jak się tu było przyznać przed rodziną, przed swojemi, nawet przed starym poczciwym Pukałą, że zamiast wziąść się do gospodarki, Konrad miał znowu puścić się na niewiedzieć jak długą pielgrzymkę... Domyślał się tego Dalifur, ale przypuszczenia odpędzał, wmawiał w siebie, że się młoda pani przyswoi.

Nareszcie jednego wieczora, gdy zostali sami, Konrad zbliżył się do starego przyjaciela domu i kładnąc mu ręce na ramionach, rzekł cicho.

— Kochany mój Pukało, nie mam co taić przed tobą... Cazità chora... tęskni codzień gorzej, niczem ją rozerwać nie mogę, niepokoi się też o ojca, od którego nie ma wiadomości... musimy jechać, musimy!

Stary nie odezwał się słowa, głowa mu opadła na piersi.

— Nic to nie pomoże, rzekł po chwili, ona tęskni tu, ty będziesz tam tęsknić... rób Jegomość, paniczu co ci serce dyktuje. Moje oczy może was

już nie zobaczą, a ojcowizna pójdzie marnie. Ale się stało!

Konrad westchnął także.

— Stary przyjacielu, cóż mam począć? Widzisz, jak ta biedna wygnanka zbladła, zmieniona, chora, mogęż ją dla siebie poświęcić? godziż się to?

Pukało nic nie odpowiedział, milczał, gładząc wąsa.

— Ano, róbcie jak wola wasza, nie ma co tu radzić stary...

Skłonił się i odszedł ze łzą na oku, z czapką na uszy głęboko nasuniętą, sumując.

Na progu już Stefanek i Murzynowska poznali po minie, po sposobie otwierania drzwi, że stary z czemiś złem powrócił ze dworu.

Stefanek tylko głową kiwnął ku klucznicy, a ona skinęła potakująco, nie śmieli się, szanując smutek jego, odezwać, domyślali się zresztą potrosze o co chodzić mogło.

Wtem stary, nim mu świecę przynieśli, skinął na klucznicę zapraszając ją do siebie, a Stefanek zaraz do drzwi ucho przyłożył, bo był niezmiernie ciekawy.

— A co, moja jejmość, rzekł głosem wzruszonym, czegom się bał, tegom się nie ubał.

— No cóż? co? zawołała przestraszona Murzynowska.

— No, jadą do tej Wenecyi?... bodaj ją tam siarczyste... splunął nie dokończywszy, taki jadą. Co

to kobieta gdy się mospanie uprze, a też jeszcze, z pozwoleniem, półdjable weneckie; jak zaczęła stękać, kwękać, chorować, grymasić, chudnąć na złość, — otóż jadą...

Murzynowska podzielając to strapienie, załamała ręce.

— Już ich tu żadna siła ludzka nie powstrzyma, rzekł stary, to darmo... jegomość — panicz z żalu mało nie płacze, tak mu się jechać nie chce, ale musi!

— Ale bo — ujmując się za płcią swą, dodała Murzynowska — ona bo nieboraczka z tej aury choruje; widzisz asindziej jaka blada.

Pukało ręką machnął.

— Dalifur! zawołał, dalifur! polityka ta choroba, ino się uparła... strzyżono, strzyżono... Juścić jej tam nie lepiej w kamieniczce; ale co to gadać... nie posądzam, coś ciągnie jejmość.

Murzynowska się oburzyła.

— Dałbyś bo jegomość pokój!

— Ano prawda, odparł Pukało, alem zły... folwark, dwór, wszystkiego dostatek; ptasiego mleka chyba brak, a jeszcze źle i źle.

— Już że dogadzaliśmy, to niech nie grzeszy, z pozwoleniem, jak wrzodowi... a mąka żeby była biała, a bułki tylko pszenne i pszenne... a sałaty w zimie... a potrawy cudackie, co ich nikt prócz niej w gębę nie wziął, chyba on przez grzeczność...

— I powiadam jejmości, zawołał patetycznie Dalifur, zobaczycie, że oni tu już nie powrócą... ona go nie puści, opustoszeje nasz dwór, pójdzie kawał dobrej polskiej ziemi w cudze ręce. Ale, westchnął, moje tego oczy nie zobaczą. Dawno trumna wyschła, żytem nasypana, czeka na strychu... toć w nią wlezę, żebym na ostatnią zgubę nie patrzał.

— I!... wstydziłbyś się znowu jegomość tak brać do serca.

Stary aż płakał; siadł w krześle na poduszce i oczy ocierał.

Nagle myśl mu jakaś przyszła, porwał za kij, za czapkę, świecę z porywczości palcami zagasił i szybko z folwarku wyszedł. Murzynowska wyjrzała i ruszyła ramionami; nie poszła spać spokojnie, dopóki wysłany Stefanek nie przyszedł z raportem, że stary się powlókł na plebanią.

Świeciło się jeszcze w sypialni proboszcza, gdy do drzwi zdążył Pukało, ale psy już wartowały w dziedzińcu. Dobrze, że go poznały, a chłopak zaspany ledwie mu nierychło otworzył. Ksiądz odmawiał pacierze... myślał, że do chorego wzywać go przychodzą. Sutannę starą narzucił, zdumiał się, zobaczywszy Pukałę o tej porze.

— A co tam? spytał, czy nie co złego, *quod Deus avertat.*

— Złego, złego, mój ojcze, zawołał Pukało, pociechy u was szukać przychodzę. Już taki postanowiono, nakazano... wyjeżdżają.

— Któż? co?

— Ano państwo.

— Dokąd?

— Do tej Wenecyi przeklętej.

— Któż ci to mówił?

— Z jegom ust miał dyspozycyą!... nie wesoło i jemu, rzekł stary, ale kobiecie się oprzeć nie umie... jadą... To ruina! to zguba! Ojcze! jeżeli wy nie uczynicie refleksyi...

— Ja? zapytał ksiądz, a co to do mnie należy?

— Jak nie wy, to któż?... macie ich sumienia w ręku, przemówcie.

Proboszcz głową kręcił.

— Złe to może być, rzekł, ale wedle świata grzechu nie ma; ja się w to wdać nie mogę. Szkoda mi ich, a posłuchać mnie nie zechcą.

— Więc wy mi odmawiacie? płaczliwie zapytał Pukało.

— Spróbuję słowo rzucić, ale to będzie groch o ścianę... nie moja rzecz.

Pukało wstał z krzesła.

— No tak, zawołał, sądzono, sądzono, aby oczy moje patrzały na ruinę tego domu, na zgubę... niechże będzie wola Pańska! Ale nie przeżyję ja tego ojcze mój! Ten dom, jakby mój rodzicielski własny; ten chłopiec, to jakby dziecko moje; ten majątek jakby ojcowizna. Wżyło się tu, wrosło, pracowało, aby pomnożyć, aby utrzymać, a tu fantazya jednej kobieciny wszystko w proch obraca...

Fantazya, mówię jegomości, krzyknął głośniej, bo ja temu nie wierzę, żeby chora była i tęskniła, jeźli męża kocha. Mąż dla niewiasty światem, wszystkiem, ale to, z pozwoleniem, półdjable weneckie!

Chwycił za czapkę w pasyi chcąc wyjść, gdy go proboszcz za ramię ujął.

— Kochanie, Pukało, z żalu ci się w głowie wywraca! a toż po chrześciańsku, a toż po ojcowsku tak sierdzić się na to biedne dziecko? Ha? myślisz, że jemu też serce nie boli opuszczać dom, kraj, rodzinę, a uchowaj Boże, by się jej co stało... dobrzeby mu było nosić trupa na sumieniu? Wstydź się stary, zmów pacierz i uspokój się, a za grzech porywczości powtórz po pacierzu siedm razy: Bądź wola Twoja...

Pukało zmiękł, proboszcza w ramię pocałował, łzę otarł i mrucząc wyszedł z plebanii.

Piękna była noc wiosenna, a w krzewach ogrodowych na zabój śpiewały słowiki... W dali słychać było szum fali jeziora, jakby ruch kołyski co dziecinę usypia... wiało zewsząd wonią młodości, kwiatami, liśćmi, trawami... a świat ten wyglądał tak cudnie, że Pukale aż się na płacz zebrało.

— I taki to mając kąt własny, trzeba im się tłuc po obcym świecie...!!

Z cicha wlókł się popod ogrodowym parkanem; księżyc pasami z między drzew starych smugami światło po darniach rozrzucał, a wysokie topoli wierzchy w ciemnych kędyś tonęły niebios błęki-

tach.... W krzakach ledwie się liść ruszył niekiedy, taki był spokój i cisza. Dalifur poglądał w ten ogród; wyobrażał już sobie jak w nim obcy gospodarzyć będą, i żółć mu się burzyła. Wtem stanął. Na ławce pod kasztanami zobaczył siedzącego Konrada, który głowę ująwszy w dłonie, żegnał się ze swoją siedzibą. Wśród ciszy wieczora, Pukało dosłyszał ledwie pochwyconego jęku, i żal mu się zrobiło znowu tego człowieka jak własnego dziecka. Przeszedł na palcach szanując tę chwilę boleści; a gdy minął kasztany, rzekł w sobie:

— *Mea culpa!...* cóż mnie staremu narzekać, kiedy on cierpi! Mnie ulżyć mu ciężaru, a nie dodawać go jeszcze... Stań się twa wola Panie... Pukało wiernym będzie do ostatka sługą... a płakać zawsze czas i potem, dodał w duchu.

Gdy już do wyjazdu rozkazy były wydane, odżyła biedna Cazitá: teraz wszystko jej było piękne, weselem ożywiła się twarz, błysnęły oczy, uśmiechnęły się usta, rzuciła się na szyję Konradowi.

— *Corradino meo*, *angelo caro!* tyś dobry, tyś kochany, tyś święty! I z wielkiego wzruszenia do nóg mu padła.

— O! tak!... ja czuję, jam ciebie niewarta, zawołała... ja nie miałam siły tak ci wszystkiego poświęcić, jak ty mnie; jam biedne słabe dziecko! grzesznica! jam rozpieszczona jedynaczka... Ty mi przebacz! jabym tu była umarła i to powietrze mnie dusiło, zabijało... I ojciec! ojciec! ja jednego

w świecie mam ojca, a on tyle mnie kochał, i on tam ginie z tęsknicy za niewdzięczną... tylko mnie dowieź do niego, niech ja go zobaczę, niech on mnie uściśnie. Jam mu potrzebna, niech się pocieszy, żem szczęśliwa! Corradino mio! powrócimy tu, i ja już... nie zatęsknię ci więcej; będę posłuszną, będę wesołą, będę tylko twoją...

Jakże się było oprzeć temu gwałtownemu uczuciu? Konrad nadto ją kochał, aby mógł to uczynić. Rozkazał przyśpieszyć przygotowania odjazdu. Obawiał się Pukały, ale i stary nazajutrz po tym wieczorze był bardzo zmieniony, do niepoznania. Chcącej gdérać Murzynowskiej zamknął usta, a sam z troskliwością ojcowską wziął się do wyboru w podróż panicza.

Tylko gdy w ganku przyszło mu się z nim pożegnać, gdy sobie padli w ramiona, piastun stary, sługa wierny i wychowanek serdeczny, rozpłakali się oba płaczem wielkim, nieutulonym, długim, i słowa już do siebie rzec nie mogli.

Proboszcz przeżegnał landarę.

— Deus vos... ducat, reducat, szeptał, a łzy mu ciekły po policzkach.

Płakali wszyscy... a gdy dwór z oczów zniknął, Cazità rzuciła się znów na szyję mężowi.

— Tyś anioł, rzekła, jam niewdzięcznica.

I jej łza pociekła, lecz wiatr wiosenny prędko ją osuszył.

Inaczej teraz dopływali do miasta, które dziecię jego tak chciwie ujrzeć pragnęło, wiosna to była znowu, ale powietrze chłodne, burzliwe, pora wietrzna; niebo okryte porozrywanemi na szmaty obłokami, z poza których ukazał się czasem rożek lazurowy wiekuistej obsłony sklepienia, ale natychmiast pokrywały go gęste lecące od lądu tumany.

Wicher i rozkołysane fale nie potrafiły powstrzymać Cazity spragnionej domu, niecierpliwszej coraz im się bardziej do niego zbliżała.

W Tryeście dom ciotki zastali pustym i nic od nikogo w nim o *Padre Antonio* i jego panu dowiedzieć się nie mogli, staruszka wyjechała była do krewnych. W porcie mało było statków, a i te co stały na kotwicy czekały pogody, nie chcąc się puszczać na morze rozzłoszczone i niebezpieczne. Ale Cazitá płakała, Konrad musiał pójść szukać jakiejś łodzi bodaj rybackiej nieco większej, aby ją nająć do Wenecyi.

Podróż obiecywała być długą, przykrą, ba, nawet niebezpieczną, ale Wenecyanka śmiała się z postrachów tych i utrzymywała, że żaden prawdziwy marynarz wiosennych się wichrów nie lęka.

Niebo się jakoś rozpogodziło choć nie zupełnie, łódź znalazła z pomostem dość niewygodnym, *padrone* statku ofiarował się jechać natychmiast, ugodzono się więc z nim do Wenecyi.

W mieście zaręczono za kapitana, że był doskonałym żeglarzem i starym doświadczonym sternikiem, że znał brzegi, mielizny, niebo i wodę, jak swoją kieszeń. Wyglądał też na człowieka, który suchary jadł nie z jednej beczki — (bo nie można o nim było powiedzieć, że chleb jadał z niejednego pieca). Ogorzały, czarny, ze skórą wyprawną od słot i słońca, zarosły jak niedźwiedź, w osmolonej kurcie podobniejszym był do korsarza niż do uczciwego kapitana statku, trudniącego się przewozem towarów, a w wolnych chwilach rybołostwem; kilku ludzi równie dziwnie dobranych składało całą załogę.

Cazità wszakże uczuła się dopiero wesołą i szczęśliwą, gdy pokład kołyszący się już w porcie pod stopami jej, tak, że się ledwie utrzymać na nogach było można — poczuła. Oko jej ku Wenecyi zwrócone błyszczało.

Gdy kotwice ściągnięto, a statek o na pół rozwiniętym żaglu wyruszył, fala nim tak rzucać poczęła przy wyjściu na pełne morze, iż wszyscy prócz majtków posiadać i czepiać się musieli lin i drągów, aby ich wiatr nie zrzucił z pokładu, lub woda przez głowy przeskakująca nie zmiotła.

Było to ku wieczorowi, a po małej próbie kapitan Seboni przekonał się, że nocą płynąć dalej nie było podobna, musiano zwrócić do portu i tam znów kotwice zarzucać do rana. Ale ani Cazità ani Konrad nie wysiedli już na ląd, postanowili czekać uspokojenia lub poranka.

Przebudzili się o brzasku, gdy łódź znowu z portu wypływała, rzucana falami wysoko lub pogrążająca się w głębiny.

Rozhukany Adryatyk był przepysznym obrazem, fale piętrzyły się, wyginały, rozbijały z łoskotem ogromnym, z niezmordowaną furyą, jakby popychane jakąś siłą niewidzialną, bo wiatr nawet chwilami nie wydawał się tak gwałtowny... Przybrały one teraz barwy inne, płowe, zielone, bursztynowe, a na wierzchołkach ich kłębiła się piana śnieżysta, jak w pysku rozjuszonego zwierzęcia.

Łódź zdawała się tonąć co chwila, pochylała na bok, kładła, maszty się uginały i trzaskały od wiatru nagłego, powrozy rwały, grube płótno żaglowe darło w kawały. Zaledwie odrobinę jego można było na ten prąd wystawić, który nagle ustawał i powracał znowu niepohamowany. Z chmur lało to deszczem chłodnym, to drobnemi zmarzłemi perełkami, to promień słońca spadał na głowy i uciekał zaraz, ślizgając się dalej po morzu, a wlokąc za sobą goniący go cień czarny, od napędzającego obłoku.

Cazità była w zachwyceniu, Konrad milczący, kapitan Seboni latał, klął i nieżałował ani pięści, ani sznurów, ale też ani własnej pracy... łódź unosiła się szybko, trzymana w oddaleniu od niebezpiecznych brzegów.

Cały dzień trwał ten bój z uporczywą burzą, ku wieczorowi znużone fale nieco opadły, niebo poorało się długiemi pasy chmur układających do

spoczynku; płynąć już było można nocą bezpieczniej. Zapalono lampę przed obrazkiem Ś. Teodora, kto jak mógł owinąwszy się położył.

Nazajutrz ranek był mglisty, powietrze parne, nic do koła nie było widać prócz wyziewów jakichś gęstych buchających niby z kotła z rozgotowanego morza. Fale kołysały się szerokiemi płatami jak niezmierne opony zielone i szafirowe.

Już nad wieczorem o pomarańczowym słońca zachodzie, w blaskach ostrych kończącego się dnia, ujrzeli Wenecyą... Lido.

Cazità rozpłakała się z radości, ale łódź płynęła powoli, wiatr był nierówny, targany, rwał z różnych stron, żaglów całych rozpiąć nie było podobna.

Ława piasku i strzelające nad nią wieżyce rosły powoli. Była noc, gdy naostatek dobili się do portu. Potrzeba było doczekać ranka, aby się na ląd wydostać.

Cazità wpatrując się w światełka nadbrzeżne, całą tę noc nie zmrużyła oka. Nareszcie ukazała się gondola, zrzucono pakunki, popłynęli milczący wprost na Lido. Już ona mówić nawet nie mogła, sparła się na ramieniu męża, oddychała powietrzem swojem, była prawie szczęśliwą.

Zdala pokazał się domek murowany. Serce uderzyło gwałtowniej, ranek się rozjaśniał, piękny był nawet, ale koło mieszkania kapitana czegoś pusto, żywego ducha... Cazità dojrzała zaraz pozamyka-

nych okiennic w pokoju ojca... zapartych drzwi od ulicy... przeczucie złowrogie targnęło jej duszą.

Wysiedli... nie śmiejąc pytać, szli oboje do drzwi. Konrad w nie uderzył, echo rozległo się, jak po pustyni raz i drugi. Aż w górze otworzyło się okno nierychło, siwa głowa ciotki Anunziaty ukazała się z niego, i dwa okrzyki powitania razem słyszeć się dały. Kobiety wyciągnęły ku sobie ręce.

Potem jak grzmot przeleciał wschody, rozwarły się drzwi, stara ściskała ukochaną siostrzenicę.

— A ojciec? ojciec? pytała Cazità.

— Ojciec! ojciec dotąd nie powrócił, odpowiedziała ciotka zdyszana, mówiąc, że popłynął do Stambułu... Nie wiemy... ale ileżto razy dłużej go nie było?

— A wieści...

— Żadnej... to jest mylę się, jąkała ciotka, powrócił Beppo, który mówił, że zdala widział niedaleko Korfu statek *Padre Antonio*.

— Dawno?

— O! już to temu ze cztery miesiące... Z tą smutną wieścią weszli nareszcie do opustoszałej kamieniczki.

Cazità pobiegła do swej izdebki, otworzyła okna, okiennice i klęknęła przed obrazkiem.

Potem zerwała się dziękować Konradowi, który jak świadek niemy, smętny stał i patrzał na jej oszalałe wesele, niepokój i smutek. Była bowiem znowu smutną, a twarz ciotki Anunziaty, gdy ją

rozpytywała o kapitana, usprawiedliwiała tę troskę. Jej odpowiedzi nawet były jakieś jąkające się, niepewne, jakby obrachowywane dla córki. Konrad podejrzywał nie bez przyczyny, iż mniej podobno mówiła niż wiedziała. — Smutek nadawał jej twarzy zwykle rozjaśnionej, wesołej, dziwnie przygnębiony charakter. Łzy, które się dobywały z oczów, można było wprawdzie i radością i wzruszeniem tłumaczyć, ale nadto uparcie powracały na powieki.

Cazità wstała od modlitwy i żywo poczęła badać i rozpytywać ciotkę o ojca. Anunziata też coraz się więcej plątała w odpowiedziach, naostatek przerwała rozmowę pod pozorem gospodarstwa.

— Będziemy sobie o tem mówiły jeszcze wolniejszym czasem, rzekła, a teraz dajcież mi pomyśleć o tem, byście z głodu nie pomarli. Póki byłam sama, nawet ognia na kuchni nie było; żyło się ladaczem, zapasów żadnych nie mam w domu, muszę Piotra posłać i sama pobiedz...

— A! ja ci pomogę! zawołała Cazità, czyż ja już tak mam być nikomu do niczego? Tak miło mi będzie znaleźć się z wami znowu w tej kuchence naszej i pośmiać się przy robocie.

Ciotka Anunziata wszakże nie miała wcale do śmiechu ochoty; mrugała ona nieznacznie na Konrada oddawna, dając mu do zrozumienia, że coś mu chce powiedzieć potajemnie, ale Cazità nie dawała się odpędzić niczem.

— Wiesz co, odezwała się ciotka wreszcie, tyś zmęczona, połóż się na godzinę, mężczyzna wytrzymalszy zawsze... Konrada wezmę, poślę go po Piotra, a sama tak wszystko przygotuję, że wam z głodu umrzeć nie dam. Tylko uczyń to dla mnie, połóż się proszę, a odpocznij.

— Jam tak szczęśliwa, tak żyję powrotem, Wenecyą, wami! wołała Cazità.

— Wszystko to dobrze, ale jeźli nie dla siebie, to dla mojego spokoju, proszę cię, kładnij się.

Z wielką niechęcią Cazità posłuchała. Konrad posłał jej dawne dziewicze łóżeczko; zaklinała się, że spać nie może, i nie będzie, ale w końcu dała się namówić posłuszna. Zaledwie głowa jej spoczęła na poduszkach, oczy znużone zamykać się poczęły. Ciotka skinęła na Konrada, i wynieśli się na dół pocichu.

— Słuchaj — szepnęła zszedłszy Anunziata, załamując ręce — słuchaj! — tu płacz jej przerwał mowę — ty nic nie wiesz... jest wielkie nieszczęście... a! czekałam na was, nie wiedząc co począć, a pisać nie śmiejąc, aby list nie wpadł w jej ręce. Stary poczciwy Zeno nie żyje.

Tu zaczęła znów łkać i płakać, a Konrad osłupiały sam, bojąc się o to, żeby na górze płaczu jej gwałtownego nie dosłyszała Cazità, jął ją hamować.

— Chodźmy ztąd, powiecie mi wszystko...

Wyszli razem na brzeg morza i stanęli za murem tak, aby z okna widzieć ich nie było można.

Konrad obawiał się nawet, ażeby Cazità nie wyjrzała i nie poznała po załamanych rękach i płaczu Anunziaty, że coś przed nią strasznego tajono.

— Jakże? kiedyż się to stało? zapytał.

— A już parę miesięcy temu jak otrzymałam wiadomość okropną, że jeden tylko z jego majtków ocalał... okręt rozbił się w czasie burzy o skały, a biedny *Padre Antonio!..* nic nie pozostało z niego! nic! Trupa kapitana widziano jak pływał na morzu... ale zginęło nawet ciało bez chrześciańskiego pogrzebu! Co tylko miałam, oddałam na msze za jego duszę. On zawsze mówił, przepowiadał, że tak zginąć musi — nie leżeć mi w ziemi święconej, ale zginąć na dnie morza. *Padre Antonio...* już go nie zobaczą oczy nasze... nigdy! nigdy! a z nim cały nasz majątek! Zeno był dużo winien ludziom, którzy mieli w nim zaufanie. Ostatniemi czasy na swoją rękę począł handlować i przestał cudzy towar przewozić... wszystko pochłonęło to nieszczęsne morze, a długi tylko pozostały na tym domku. Zabiorą go nam za długi, zabiorą...

— Nie mówmy o tem, przerwał Konrad, da się dom może ocalić, zapłacę ja, ale jak powiemy o tem Cazicie... jak ona to przeniesie?.. Jesteścież pewni, że Zeno zginął? Może go gdzie u brzegu uratowano, może chory leży?... wieleż to było takich wypadków, że po latach już, za zmarłych miani, wracali marynarze do domu, gdy ich już opłakała rodzina... Czy zginął pewnie?

— Ależ przecie nie kłamałby stary Toro, który ocalał, wrócił i najmuje się już teraz tylko do cudzych gondoli, wożąc po kanale. Zobaczycie go sami, stoi odarty biedaczysko przy Calle Anunziata. Toro mówi, że trupa na oczy swe własne widział, poznał go po sukniach i po włosach, ale to było w chwili, gdy sam się ratował jeszcze. Na głowie krwi dużo... na twarzy... znać, gdzie nim fala rzuciła, bo pływał tak, że, gdyby był żyw, uratowałby się był pewnie.

Konrad stał przybity, martwy... drżał na myśl tę, że po jego twarzy, smutku, Cazitá nieszczęsną odgadnie nowinę.

— Cóż z nią zrobimy! zawołał.

— Nic jej mówić nie potrzeba, przerwała ciotka, musimy przestrzedz Tora, żeby się gdzie skrył i nie wygadał. Ona się powoli domyślać może... przygotuje do nieszczęścia; niech na nią jak piorun nie spadnie.

— Ale czy nie więcej znuży ją niepewność, domysły, podejrzywanie? mówił Konrad.

— Zostaw to mnie... ja będę wiedzieć, jak z mojem dzieckiem postąpić, przerwała ciotka, ty siadaj do gondoli i płyń... wyszukaj Tora, każ mu się skryć, daj mu na życie, bo Cazitá wyjedzie, spotka go, a zobaczywszy domyśli się wszystkiego...

— Cóż jej powiecie, gdy wstanie? spytał Konrad.

— Żem cię posłała do miasta... przywieziesz z sobą chleba, owoców, wina, ryby... u mnie w domu

nie ma nic... odrobina oliwy, sałata z ogrodu... ot czem żyłam od kilku miesięcy, bom nic sprzedawać nie śmiała ze sprzętów, a nie było grosza, coraz ciszej poczęła ciotka Anunziata... ale dla mnie to nic... ja tak bardzo jeść nie potrzebuję, a czasem też zapraszali mnie na fryturę sąsiedzi...

Wpatrując się w twarz jej, Konrad dostrzegł teraz dopiero, że głód jednak zostawił na niej ślady; była żółtsza niż kiedykolwiek i bardziej niż kiedy wydawała się zgrzybiałą.

— Jedź, jedź zaraz, rzekła do niego, a powracaj prędko, nim się dziecko obudzi, nie trzeba, żeby się rychło domyśleć czego mogło.

Konrad nie dobrze wiedząc co czyni i co się z nim dzieje, pobiegł ku brzegowi szukając gondoli. Nastręczyła mu się prędko, przewoźnik był znajomy, stary Mazino... popatrzał on na niego i przywitał kiwnięciem głowy smutnem.

— Dawnoście tu?

— Tylko co przybywam... rzekł Konrad.

— Ale wiecie już zapewne wszystko, dodał Mazino. — Każdy co znał kapitana, żałuje go, dobryż bo dobry był człowiek!! Świeć Panie jego duszy!... zginął, jak morscy ludzie giną prawie wszyscy w końcu. Morze długo przebacza, ale nie daruje nikomu naostatku, trzeba się słonej wody napić...

Oggi figura
Domani in sepoltura!

Tak! tak! Eccelenza! Szkoda i jego statku. Statek był dobry, chodził żwawo i lekki był jak piórko.

Konrad nic nie odpowiedział... wysiedli na Riva, a ledwie kilka kroków uszedłszy, dość żywo uczuł się potrąconym przez przechodnia i obejrzał...

Chłopak, który się o niego biegnąc uderzył, obrócił się także... niby znajoma jakaś twarz i rysy, ale których odrazu przypomnieć sobie jakoś nie mógł, zastanowiły Konrada.

Odarte chłopię stanęło także i krzyknęło... dopiero teraz poznał pan swojego dawnego węgrzynka, ale *quantum mutatus ab illo!*

W istocie ciężko było w znędzniałej, bladej, schudzonej istocie tej domyśleć się żwawego, rumianego, wesołego dawniej chłopaka.

— Maciek! zawołał Konrad nie dowierzając oczom swoim, to ty!

— A! to ja! to ja! ze złożonemi rękami zbliżając się do niego krzyknął chłopiec... cały drżący z radości i uczucia. Pan tutaj! dawno?

— Od wczoraj!

— O mójże ty miły Boże! a toż szczęście, żem ja pana potrącił a napotkał, i że go oczy moje widzą jeszcze, a tak mi też tęskno było za wami, ba, za wszystkiem... za wszystkiem.

— Cóż! jak ci tu Maćku, coś mi nieszczególnie wyglądasz? czyś chorował?

— Nie, nie, proszę pana, jąkając się rzekł Maciek z jakąś dumą, niczego mi, niczego, owszem dobrze, nawet bardzo, ale tak... mówią, że to człowiek chudnie przez to, że rośnie.

Spuścił głowę pomięszany, Konrad przybliżył się chcąc mu się lepiej przypatrzeć, z Maćka cień ledwie został.

— Spodziewam się, żeś miejsca nie stracił, możeś się nawet już i wyzwolił i ożenił?

Maciek poskrobał się starym obyczajem po głowie.

— A! gdzie zaś, proszę pana, od onego to czasu, dużo się, dużo zmieniło, ta i o ożenku ani myśleć.

— Cóż się to stało.

— E! panie, ta dziewka to nie półdjable, ale djabeł cały, niech ją wciórnastki porwą, bodaj świata nie widziała.

— A nie klnijże tak Maćku!

— Co to kląć, proszę ja pana, jabym ją zabił żebym mógł, tyle się przez nią ucierpiało i cierpi, a co majster nabiedował... I co pan powie? jak nam obu za skórę zalała, ano... ot oba tę niegodziwą tak kochamy jak utrapieńcy... i na to nic nie poradzić.

— Mówiłżeś, że zabiłbyś ją?

— Zabićbym zabił, proszę pana, a kochać człek kocha do waryacyi.

— Szczęście jeszcze żeś się nie ożenił, ale cóż się tam z wami stało? zapytał Konrad.

— E! inoście tylko państwo wyjechali, począł wzdychając Maciek, jam stanął u majstra do roboty. Ona miała do klasztoru se jechać, ale to się ściągało, ściągało, bo jejmościance nie było do smaku. I mnie też z razu w to graj, mogłem się czasem zobaczyć, a no i pogadać, bo się już tu włoszczyznę przegryzać potrochu zaczęło. Wabiła bestya oczyma jak na wędę, lgnęło serce, lgnęło... przysiągłbym był też, że mnie kochała. Ano, wszystko to były zdrady, bo dawno miała innego kochanka i nie takiego coby się z nią mógł ożenić, tylko wielkiego pana, do którego się wykradała tak zręcznie, niby do kościoła... niby na odpust, a to siam a to tam, że nawet ojciec się nic nie domyślał, jam tam był piąte koło do wozu na zapas ino, żeby się kim zastawić było w biedzie... Nierychłom się dowąchał, bo mnie tak trzymała jak na łańcuchu, a wierzyłem tej pokusie jakby rodzonemu ojcu... Trwało to długo, aż jednego razu idę ja od majstra posłany przez te uliczki co za Merceryami się wikłają; patrzę, stara baba w łachmanach na czółenku u brzegu prosi jałmużny, bo ono tu taki zwyczaj, że za jałmużną pływają jak gdzieindziej chodzą. — Czółenko było stare, odrapane, dziurawe, pozatykane kłakami ze smołą, aby w niego woda nie szła, a biedoty na nim, łachmanów kupka, a przy nich staruszka garbata... istna śmierć koścista, a na nich wnuczątko jej krzyczy w pieluchach z głodu. Tak mi się z tej

baby przypomniała wieś nasza i stara Marcinowa chodząca po jałmużnie, to i niewiedzieć jeszcze jakie rzeczy, tam swoje, że mnie litość wzięła krutna i dałem jej groszaka, mało mnie w rękę nie pocałowała. Otóż nic, poszedłem za interesem, ta i wróciłem se nazad. W tydzień znów na innem miejscu, patrzę, stoi czółenko z babą u brzegu... dziecko krzyczy znów, tknęła mnie Marcinowa, dałem grosz, módl się za moich staruszko. No! i zapomniałem o niej. Po tygodniu albo i więcej, trzeci mi się raz nawinęła, kiedym chciał dać jałmużnę, aż ona mnie za rękę z czółna — stój, poczekaj, mówi — No, a co? pytam.

— Za jałmużnę jałmużna, poczciwy chłopcze, rzekła: Wszakżeś to ty ten, co terminujesz u Naniego, a starasz się pono o Maryettę, Polaczek nieprawdaż? ludzie mi tak mówili.

— Ano, tak, prawię, to cóż?

Pokręciła głową jakby się litując nademną... Oj żalże mi cię, żal! zawołała. — Dlaczegoż znowu żal? — Ino mi ci się serca krwawić nie chce, a powiedziałabym ci coś? — To mówcie, rzekłem, jeźli z dobrej woli. — Z najlepszej, powiada, kocham cię jak syna, boś poczciwy, a kamień sobie do szyi wiążesz. Słucham ją i dziwuję się strasznie co to jest, a ta mi szepcze: Chcesz wiedzieć prawdę? Pójdź jutro o godzinie rannej, weź gondolę zakrytą i zamkniętą, a pływaj podle pałacu Vittorinich i patrzaj się no dobrze, co się tam dziać będzie.

I to rzekłszy, baba kijem się odepchnąwszy od brzegu, popłynęła sobie dalej, a jam stał, jakbym w kamień wrósł. Myślę sobie.. co to jest?... Kie tam licho w tym pałacu? co to ma do mnie, ale kiedy baba gada... wié co mówi, potrzeba tę rzecz przegrzebać. Już mi do jutrzejszego dnia czekać było jak rybie na ruszcie... ani jeść, ani spać, tylkom myślał, co ja tam za biedę zobaczę. O godzinie, jak potrzeba, biorę gondolę i płynę, ledwiem się u majstra wyprosił... oczy wytrzeszczam, sercysko bije gdyby młotem... aż tu druga gondola za mną śpieszy i tuż pod wjazd sklepiony, jakby do domu, aż ku wschodom dopływa, a z niej wysiada... Marietta i wprost ot tak, na ręce młodego Vittorini który ją w pół ująwszy, poprowadzili się razem na górę. Tchu mi zabrakło kiedym to zobaczył... zrozumiałem, co baba mówiła, alem nie wierzył oczom; czekałem godzinę. dwie, trzy, nareszciem się wymęczywszy doczekał, że jejmościanka tąższamą gondolą, jakby nigdy nic, odprowadzona przez tamtego, siadła i odpłynęła. Wysadzili ją pod placykiem, ino skoczyła na brzeg, ja w ślad za nią. Nie chciałem w domu przy ojcu historyi jej robić... i gonię.. czekaj! Gdzieś bywała? Ta mi się uśmiecha i prawi, że w kościele. A piękny mi to kościół, odpowiadam, jeszcze o takim słychu nie było. Zaczerwieniła się, a spojrzawszy mi w oczy, jak mię palnie, z przeproszeniem jegomości, po pysku... Trutniu jakiś, zawołała, to ty

mnie psie N. Panny szpiegować będziesz... Jeszczeżem za ciebie za mąż nie poszła! prawa do mnie nie masz... I pobiegła, a jam został jak głupi... co tu robić? Ojcu powiedzieć, to ją zabije, albo co... milczeć nie mogę; ścierpieć tego się nie godzi... porzucić ją... aż się serce drze. W jednej tej chwili, proszę pana, poznałem więcej bólu i frasunku, niż przez życie całe. Choć idź i utop się. Powlokłem się do majstra, jeszczem od niego dostał pamiętne za zbawienie tyle czasu... siadłem do roboty, ale gdzie mi tam do niej! Szydło palce kole, a dratew chodzi by opętana. Wieczorem ino uchyliła drzwi i rzuciła mi przez szparę: Muszę mówić z tobą. Czekałem tylko, by majster odszedł; i choć mi było pod plagami zakazane na górę do niej chodzić, smyknąłem. Patrzę, siedzi i płacze, ale tak, jakby nie ze smutku ino ze złości. Ledwiem na próg... wstała, podeszła, mówi mi tak: Słuchaj psie jakiś, słuchaj niegodziwy! jeżeli ojciec się dowie, jutro ty żyć nie będziesz... nóż w serce ci tak wbiję, że Jezus Marya nie rzekniesz, i z kamieniem u szyi powiezie cię ktoś pod *murazze* i zatopi... Nikt w świecie wiedzieć nie będzie, co się z tobą stało. — Gęby nie umiałem otworzyć... Czy się ze mną ożenisz czy nie, jak ty sobie chcesz, mnie wszystko jedno, znajdę dziesięciu na twoje miejsce, ale jeźli pisniesz, gotuj się na śmierć!... Aż mi się łzy z oczów potoczyły, bom ją kochał. Bóg widzi, szczerze a poczciwie, i miałem ją też za

uczciwą; więc jak nie wezmę się z nią certować, prosić, to, owo, myślałem, że się w niej co obudzi, ale ta w śmiech tylko ze mnie. — Cóżeś to ty myślał, powiada, smyku jakiś bezwąsy, że to ja się w twojej mlekiem powalanej brodzie rozmiłuję?... albo mnie to iść za szewca? Przypatrzno się, czym to ja nie na co lepszego stworzona? Jeźli się on ze mną ożenić nie zechce, albo nie będzie mógł, znajdę męża łatwo... Jąłem ją pytać poco mnie było zwodzić, a ta plunąwszy, powiada: kiedyś głupi, pokutuj. Jeszcze mnie zbezcześciła, proszę pana, do ostatniego. Wyszedłem gdyby z łaźni, głowę do reszty postradawszy. Nazajutrz stary szewczysko postrzegł, że się coś niedobrego święci... alem go zbył ni tem ni owem, myślał, że to sobie zwykłe termedye, jak to bywają koło kochania, a jam też milczał... Trzeciego czy czwartego dnia jakoś się i jej litość zrobiła nademną, poczęła być łaskawszą, a trzęsła mną, jak sama chciała, bobym był za uśmiech jej mało nie życie dał. Otóż, jak się owo nieszczęście poczęło, myślałem, że tego djabła swojego porzuci, ale gdzie zaś... a mnie trzymała istnie jak psa na uwięzi, żeby oszczekiwał podwórko. Tymczasem ojcu ktoś szepnął... nicem ja o tem nie wiedział. Ojciec wpadł na górę i zbił ją na śmierć. Na krzyk wpadłem bronić; dostało się i mnie od niego, a co gorzej, nazajutrz, kiedy idę wieczorem nie myśląc nic, aż mnie połaskotał ktoś pod żebro tak, żem padł, pożegnawszy

świat Boży. O włos chodziło, by mnie nie zabił, a co się krwi słyszę wytoczyło, starczyłoby konia napoić, jak ludzie mówili. — Przecie Matka miłosierdzia ratowała, ludzie nadeszli i nie dali mnie wrzucić do gondoli, bobym był pewnie na dno morskie popłynął czekać dnia sądnego. Jakoś się w szpitalu św. Rocha wyskrobałem, a Marietta przyszła mnie przeprosić, bo się była dowiedziała za późno, że ją kto inny wydał, nie ja... i żal się jej zrobiło, com dla niej tak cierpiał... Mogę powiedzieć, że mnie ona do życia przywróciła dobrem słowem; ale już od tego czasu do siebie przyjść nie mogłem, a djablica jeszcze mi gorzej znów w serce się wpiła.

— Cóż się z nią stało? zapytał Konrad.

— A cóż?... ojciec odesłał do klasztoru, a na drodze ją odbili, i nie wiadomo gdzie uprowadzili. Ja myślę, że tu jest, tylko się ukrywa. Stary mało nie oszalał. Bardzo się nieboraczysko przywiązało do mnie, bo kochamy ją oba równo, choć tego kochania nie warta.

Konradowi pilno odejść było, aby co prędzej do żony powrócić i chciał biednego Maćka pożegnać, ale chłopak z płaczem się niemal uchwycił dawnego pana.

— Mój jegomościuniu, mój drogi, nie pozbywajcież się mnie, już kiedym ja was zobaczył, zawołał, to biegnę duchem do majstra o pozwoleństwo i powracam, żeby być przy was i z wami. — A!

panie! panie! żeby nie ta djablica, czy jabym był pana porzucił... Nie wiedziałem ja, co to kosztuje za swoją ziemią tęsknić. Ilem to ja nocy bezsennych przepłakał, przeklinając i ją i tę jej Wenecyą... bodaj ją morze zatopiło. Pachniał mi czasem chléb nasz, aż się człek ubeczał jak dziecko.. śniły się drzewa nasze i pola i pastuszków pieśni i stare chaty i stara bieda... a gdyby nie ta woda, toby człek czasem oszalawszy chciał był lecieć do swoich... Oj oczy te panie! oj czary, czary, bo to nie może być nic innego, tylko mnie ona urokiem obrzucić musiała... to pewna... a tu nie było go komu zdjąć, takie babska głupie.

Popatrzywszy na gondolę, którą mu pokazał Konrad, w skok rzucił się Maciek do swojego majstra o pozwolenie, a Konrad poszedł szukać majtka, którego nie łatwo znalazł.

Pokazano mu go nareszcie w łachmanach, odartego z posiwiałą, niegoloną od kilku dni brodą, spartego o mur i wygrzéwającego się na słońcu. Toro był jakby przybity na umyśle dolą swoją, mówić mu było ciężko, słowa z ust wychodziły powolnie i nie bardzo powiązane z sobą.

Zrozumiał wreszcie i o co go pytał młody człowiek, i czego od niego żądał.

— Jestżeś pewnym, że kapitan zginął? dodał w końcu Konrad... że się nie uratował, lub że go nie uratowano?

Pomyślał długo Toro, i ramionami ruszył.

— Jeźli umarli wracają, to i on na świat może powrócić, rzekł. Zeno nieboszczyk pływał jak ryba, ale skroń miał rozbitą, okrwawioną.. a gdym na trupa trafił, to go już woda nosiła i rzucała nim jak drzewem, a twarz miał zieloną, trupią. Nie! nie! rzekł, nie może on żyć! Z nas wszystkich jednego mnie Pan Bóg ocalił tylko, abym miał czas za grzechy odpokutować.

Konrad dał biedakowi na życie i polecił, aby się nie pokazywał nigdzie, przynajmniej przez czas jakiś.

Toro patrzał na pieniądze, głową kiwał w milczeniu... nie mógł sobie wytłumaczyć, czego chciano od niego.

— Wszystko to dobrze, mówił, ale to tak nie może być... ja za żadne w świecie pieniądze zamknąć się nie dam, ino wam powiadam gdzie będę, abyście unikali tych miejsc, bo na niewolę to się ja nie zgodzę, a i do kościołów chodzić muszę.

Nakupiwszy, co było potrzeba do domu, Konrad powrócił do swej gondoli, która na niego czekała. Tu zastał już nietylko Maćka z węzełkiem pod pachą, ale i starego szewca, który przez ten rok niespełna tak postarzał, jakby mu ich dziesięć przybyło.

Nani wyciągnął doń rękę z czapką milczący, a zza okularów łzawemi spojrzał oczyma.

— A co? wyście też z powrotem! hej! hej! paneczku! kogo to miasto pochwyci raz, tego już nie

puści nigdy, podobno aż chyba na cmentarz. Patrzycie na mnie... hej! hej! widzę ja widzę, myślicie... stary się posunął, ale i wam tak z oczów patrzy, jakbyście też nie spełna byli szczęśliwi... A wasze, teścisko.. dobry człek... ot! po nim. Tak to z nami... mój dobry panie, aby do końca!!

Westchnął, spłakawszy się starowina.

— Maćka wam pożyczam, rzekł, ale mi go oddacie, to moja jedyna pociecha, poczciwe chłopczysko, jeszcze z nim człek choć o swoim kraju pogada, wystęka się, to i na sercu lżej, biedy się zapomni... A muszę też panu powiedzieć, że z niego będzie rzemieślnik, jakich mało.

I poklepał go po ramieniu.

Maciek pocałował w rękę starego, ale już skoczył do gondoli i byliby zaraz odbili od brzegu, gdyby ich zdala poznawszy nie nadbiegł *il gran ladrone*, stary znajomy Zanaro, szlafmycą potrząsając w powietrzu.

— Eccellenza! Eccellenza! wołał, a niechże mam to szczęście choć was powitać na ziemi ojców waszych znowu. Jakże zdrowie! jak humor i dola?

— Ano, jak widzicie... Signor Zanaro, wzdychając rzekł Konrad.

— Pojmuję... zmartwienie z powodu zgonu tego nieoszacowanego kapitana Zeno, pokój jego zacnej duszy! tak! tak! szkoda wielka. Długów słyszę zostawił mnóstwo, więcej niż ich ta domina stara dźwignie.

— No? a u was Signor Zanaro... dobrze wszystko!

— Ja! Eccellenza, mam metodę moją, żeby mi na świecie było dobrze... jest niechybna... drwię sobie ze wszystkiego. Na świecie jak na morzu, dziś burza jutro pogoda, wicher i cisza, otóż w burzę trzeba sobie mówić, że niepotrwa, i wśród ciszy spodziewać się wiatru.

— Wszyscy zdrowi?

— Chwała Bogu, ale jakże? byłżeś Eccellenza tu u nas, gdym pierwszą żonę utracił?

— Jakto? zmarła? spytał Konrad.

Zanaro skłonił głowę na piersi, ręce złożył, westchnął i podnosząc oczy ku niebu, rzekł cicho:

— Powołał ją Bóg do swej chwały, a nie ma co mówić, jeźli ją tak śpiewać będzie jak za młodu śpiewała... głos miała śliczny... aniołowie dilettanci słuchać go będą z roskoszą.

— Signor Zanaro już się miał czas powtórnie ożenić, rzekł szewc mrucząc.

— Stój i nie sądź bliźniego twojego, nie chceszli być sądzonym, odparł Zanaro... cóżem winien, że we cztery tygodnie byłem zmuszony, nóż na gardle, ponowić śluby. A może być gospoda bez gospodyni? nie było podobna! Gdybyś zresztą wasza Eccellenza chciał się pofatygować do sługi swojego i poznać nową żonę moją, oddalibyście sprawiedliwość gustowi mojemu. Jest to piękność znakomita... Między nami mówiąc, w gospodzie nie

obojętną rzeczą piękna gospodyni... człek zawsze lubi patrzeć na arcydzieła Boże. Otóż moja ukochana Ludovisa... może się nazwać arcydziełem; Pan Bóg z Fidyaszem się musiał radzić, gdy ją miał stwarzać.

— Pozostaje winszować tylko i złożyć życzenia, rzekł chcąc się go już pozbyć Konrad. Pokłońcież się i córce waszej, Signor Zanaro, pięknej Madelonecie.

Na te słowa gospodarz Krzyża Maltańskiego skrzywił się, i głowę odwrócił.

— Nie wspominajcie mi o tej niewdzięcznicy, zawołał... dziecko wyrodne!! ktoby się mógł był spodziewać! nie miała lat piętnastu spełna! ale chytrość i przewrotność była nad lata. Wystawcie sobie Eccellenza, trzeciego dnia po ślubie moim z cudowną Ludovisą... pod pozorem, że macochy znieść nie mogła (a była to zazdrość niewieścia o piękną twarz mojego anioła) Madeloneta.. szatańska, zabrawszy zręcznie wszystką gotówkę, klejnoty matki, srebro, suknie, ruchomości kosztowne, z podłym histrionem uciekła... słyszę do Bergamo. Gdyby się z nią był choć ożenił, ale i to nie. — Wydziedziczyłem ją na wieki.

Po ukończeniu tej historyi, mogła nareszcie gondola odpłynąć. Zanaro z szewcem poszli powoli do Krzyża Maltańskiego.

Konrad zadumany siedział; Maciek patrzał mu w oczy, nie śmiał pytać, ale mu język paliła ciekawość.

— Już to, proszę ja pana, rzekł, teraz nie będę męczył, ale jak później, to mi pozwolicie popytać, co tam u nas się dzieje... a! żebyście wiedzieli jak mi to pilno o wszyściusienkiem z panem się nagadać!

— Pogadamy... odparł Konrad z dobrodusznym uśmiechem... bądź spokojny, niepożałuję ci słów... bo mi i samemu miło będzie, choć myślą tam uciec na chwilę.

Przybiwszy, znaleźli Cazitę już rozbudzoną... w słomkowym kapeluszu, w dawnych swych sukienkach wybiegła się witać z ogródkiem... z kwiatkami, ze starą cytryną i winną latoroślą u ściany... z kamykiem, na którym siadać była nawykła, z obrazkiem Madony wmurowanym w płot zagrody. Śmiała się, śpiewała, gadała, ale czasem stawała zamyślona i łzami zachodziły jej powieki, trwoga jakaś i niepokój o ojca ogarniały ją.

Konrad zbliżył się do niej, usiłując przybrać postawę wesołą. Cazità uścisnęła go serdecznie i rozpłakała się.

— Tyś nad wyraz dobry, rzekła, a ja teraz wiem, jak tęsknić musisz za swymi. Ale wiesz... ciężki, straszny sen... przebudził mnie i śnił mi się ojciec, straszliwie, okropnie, blady, ze skronią skrwawioną, z piersią rozbitą... boję się o niego. Jutro pójdziemy do *Salute*, damy na mszą, aby nam go Bóg powrócił.

Konrad nic nie odpowiedział... tylko głowy skinieniem.

Ciotka się już nieco była ożywiła, wzięła Maćka w pomoc i krzątała się w zastygłej kuchni około obiadu, dobywała prowizye, wymyślała potrawy, cieszyła się, że kochaną siostrzenicę już będzie miała czem przyjąć. Czasem jednak odszedłszy do okna, ocierała łzę fartuchem...

Konrad rzucony znowu w ten świat, którego życie poślubił razem z Cazitą, dźwigać je musiał, ale po męzku. Wiedział dobrze, iż niecierpliwość i zżymanie się na losy po niewczasie, jeszczeby nieznośniejszemi uczyniły pęta co go uciskały. Starał się więc z twarzą, jeźli nie duszą wesołą, iść dalej dobrze nie widząc, dokąd go miłość dla kobiety zaprowadzi.

Naprzód pocichu trzeba się było postarać o spłacenie długów ciążących na domku kapitana; napisał więc do starego Pukały, zaklinając jego, brata i siostrę, aby potrzebną sumę w jak najkrótszym czasie mu dostarczyli. Nie było to tak łatwem, jak się zdawało; ale Konrad gotów był nawet zadłużyć wioskę, byle starą ową murowankę, którą jego żona tak kochała, ocalić. Strzegł też, pilnował, stróżował dokoła, aby wiadomość o śmierci ojca i rozbiciu się statku do Cazity nie doszła. Było to dość trudnem, gdyż z każdym dniem niepokój o ojca się powiększał, domysły i smutki

rosły, pytania się mnożyły, a nie wszystkich uprzedzić było można, aby milczeli.

Statek *Padre Antonio* niejeden już raz bardzo był długo w drodze, wieści nie dając o sobie. Zatrzymany wiatry przeciwnemi, oczekiwaniem na ładunek lub dalszą jaką wycieczką, ale zawsze o nim choć jakaś wieść przychodziła. Teraz Cazità napróżno biegała na wybrzeża, posyłała do marynarzy przybywających od wschodu... nikt jej nic o nim powiedzieć nie umiał. Smutniała biedna w tej nieustannej o ojca trwodze i nadziejach próżnych. Ciotka Anunziata powoli przychodziła do siebie opłakawszy kapitana i wymodliwszy się za jego duszę. Cazità żyła jeszcze zawsze złudzeniem, które przez miłosierdzie nad nią pielęgnowano.

Tak dni płynęły w smutnej teraz dla Konrada Wenecyi, na strzeżeniu Cazity i na długich z Maćkiem rozmowach.

Któżby się był mógł spodziewać, że ów biedny chłopak tak wielką będzie wygnańcowi dobrowolnemu pociechą? Z każdym dniem rosła, zwiększała się tęsknica jego za krajem... nie chciał jej pokazywać po sobie, ale gdy się z wyschłym od smutku Maćkiem zeszli na piaszczystem wybrzeżu Lida, chodzili często całe wieczory, spędzali długie godziny, mówiąc niewiedzieć o czem, byle kraj swój przypomnieć. Konrad taił dobrze cierpienie, udawał wesołość i swobodę, której w duszy nie miał, ale z każdym dniem uciśnionym był mocniej

nieprzezwyciężonym bólem po utraconym domu i życiu własnem dla tego zapożyczonego, obcego, cudzego. Wenecya całkiem mu teraz obrzydła, godzili się z Maćkiem na wynajdowanie w niej samych skaz, plam i niewygód... ale w domu przy Cazicie wszystko potrzeba było chwalić i ze wszystkiego się cieszyć. Cazità, gdy ją trochę ominął niepokój o ojca, żyła swoją Wenecyą, cieszyła się nią, kwitła; a ile razy Konrad wspomniał o podróży, usta mu pocałunkami zamykała, niedopuszczając nawet mówić o niej.

Położenie to dla biednego wygnańca coraz się nieznośniejszem stawało... pokój, szczęście, swoboda znikły z jego twarzy; dręczył się, marniał w tej walce męzkiej, którą wytrzymywał jak Spartanin, pożerany od zwierzęcia dzikiego, co mu piersi tajemnie szarpało.

Jedyną pociechą było — gdy Cazità z ciotką gwarzyły wesoło — wyjść gdzieś daleko z Maćkiem i o swoim kraju pogadać.

Tęsknica karmi się wszystkiem, co spotka... tak jest zgłodniałą i spragnioną... ogryza suchą korę, pożera liście opadłe, którychby już nikt nie tknął. Maciek był skarbem dla Konrada, choć nie wiele z niego dobyć można było... rozpytywał, przypominał i zawsze prawie jedno powtarzał.

Czasem tylko biedne chłopię od swojego pana, któremu służył teraz wierniej niż kiedy, wymykał się do swojego majstra, aby tam języka dostać o

Mariecie... ale słychu nawet o niej nie było. Dawny kochanek Vittorini mieszkał w Wenecyi, prowadził życie wesołe i płoche; zdawał się wcale o nią nie troszczyć. Pilne śledzenie około pałacu do żadnego nie doprowadzało odkrycia.

I Nani też, który się był do chłopca przywiązał, przybywał czasem na Lido, gdy go przez dni kilka nie widział, aby się o nim dowiedzieć. Naówczas kupka tych ludzi razem wyszedłszy na ustroń przegawędziła często godzin kilka niewiedzieć o czem, ale zawsze o czemś swojem.

Dziwne to były rozmowy, zawsze prawie jedne, wiecznie się powtarzające, a przecież tak skuteczne, że na zbladłe twarze i zamilkłe usta wyprowadzały trochę rumieńca i żywe wyrazy. Maciek rozpytywał, Konrad odpowiadał, a Nani jeźli był przytomny, słuchał gwaru i niekiedy słówko swoje ze starszej przeszłości dorzucił. I parę godzin czasami spłynęło tak w słodkiem zapomnieniu teraźniejszości.

— Mój jegomościuniu — rzekł jednego dnia Maciek do chodzącego po wybrzeżu Konrada — mój jegomościuniu, proszę ja pana, jeźli mnie spytać wolno, co my dalej robić będziemy?... Nie już tak życie całe dreptać po tym piasku i stękać... a co my się tu lepszego doczekamy?

Konrad spojrzał na niego i ramionami ruszył.

— Czegóżbyś ty chciał? spytał.

— Otóż to, proszę jegomości, że ja sam nie wiem, czegoby tu chcieć, żeby człowiekowi było

łepiej. Pojechać precz z Wenecyi, to się człowiek znowuż za tą djablicą zatęskni... a nuż ją kiedy sumienie ruszy, albo bieda przypędzi...

— A gdyby? cóż? ożeniłbyś się? rzekł Konrad.

Maciek po głowie się skubnął, ramionami ściskając.

— Bogać to kto wie coby zrobił! jakby mi zapłakała, toby człek za nią w studnię skoczył.

Konrad się uśmiechnął tylko.

Pochlebca Maciek zaraz inaczej pokierował rozmowę na tryb swój zwykły.

— E! ‚proszę jegomości, która to teraz godzina?

— Dobrze z południa... za parę godzin to się ku zachodowi będzie miało.

— A tak, prawda, rzekł Maciek, a dziś mamy jak obszył sobotę, to już jakbym widział co u nas w Robninie się dzieje. Ja myślę, że tam około siana musi być rozgardyas wielki, żeby je kiedy nie w stogi to w kopice pościągać wszystkie, uchowaj Boże w niedzielę deszczu. Pukało krzyczy a lata... pośpieszajcie dzieci... gumienny sobie na dereszowatym się zwija.... Ano pewnie już ta łąka co pod lasem, musi być pokoszona, bo o tej porze bywało czasem w stogach stoi... ino tę na ostatek zostawiają, co najdalsza, bo tamtej tak nie psują szkodnicy i siano lichsze, choćby słoty przyszły, nie wielka szkoda... Proszę jegomości, czy też Pukało zawsze w tym białym kitlu chodzi, co to, jak zapamiętam od dzieciństwa, służył mu na lato, a

od prania się był pościągał, że ledwie go już mógł włożyć.

— A pewnie... odparł Konrad.

— Jakbym go wczoraj widział, mówił Maciek... pewnie i klucze zawsze w tej samej kieszeni, a z drugiej czerwona chustka wisi jak bywało... A co czapczyna wytarta, gdyby mu kto i darował nową, nie włożyłby innej... Jak sobie ją raz o gałęź rozdarł, a Murzynowska mu ją zacerowała... tak po dziś dzień.

— Jak ty to wszystko pamiętasz.. westchnął Konrad.

— A! proszę jegomości! ja dalipan nie wiem, dodał Maciek, zkąd się to mnie bierze, a jak człowiek zacznie dobywać, dobywać, wszystko znajdzie co kiedy przypadkiem do głowy mu zaleciało, do ostatniej odrobinki... Żeby tak malować umiał jak ci co to po kościołach i w wielkim dworze (pałac Dożów) malowali, toby tak rycht namalował, gdyby żywych i starego Pukałę z podstrzyżonym wąsem siwym, i Murzynowskę w czepcu białym z chusteczką żółtą w szafranie farbowaną i szlafroku cycowym wzorzystym i Dobrodzieja w sutannie wytartej na łokciach i kolanach, — at! at! i wiele ich tam jest... wszystkich...

A czy my tam jeszcze kiedy powrócimy? gwarzył Maciek... żeby człek choć gdakanie starego zegara posłyszał, toby był szczęśliwy, wszystkoby się zapomniało, a plunąwszy na marę, możeby i te

przeklęte czarne oczyska z pozwoleniem, tej małpy... poszły precz... i co się człowiek dla nich wycierpiał...

Umilkli na chwilkę.

Potem Konrad przypomniał, jak Maćka nieraz brał na polowanie, jak stawali kędy słomki ciągnęły, jak się zasadzali na cietrzewie i głuszce.

Maciek znów wpadł na zimę i sannę i kuligi, na kolędy Bożego Narodzenia, co je z rzemieślnikami odprawiał, na figle które staremu Pukale płatali, który wycia psów cierpieć nie mógł, a chłopcy udając je pod jego oknem, uspokoić mu się nie dawali. Co wyleci stary z bizunem na podworze, a skropi psy niewinne, które skowycząc pouciekają, to za chwilę nowy koncert pod oknem, ale nim Dalifur z dyscypliną wyskoczy, już chłopcy po nyżkach i chlewkach... Trafiło się, że i Murzynowskiej napędzili strachu, bo wierzyła w duchy, to jej do okiennic pukali nieraz... że nieboraczka świecę po północy zapalać i do różańca się uciekać musiała.

— Żebym ja miał rozum, kończył poufale rozgadując się Maciek, byłbym ja ludzi posłuchał... Taż to proszę jegomości, stręczyli mnie wszyscy Kachnę, kowala córkę, tę, co potem poszła słyszę do miasteczka za stolarza, a była dziewczyna niczego, prawda takich bestyjskich oczów nie miała, ino siwe, spokojne, co jak się popatrzy to człowiekowi jakoś jakby na sen się zbierało, ale porządna,

stateczna i pobożna... I ojciec słyszę nie był od tego, i ludzie zmawiali i ona się uśmiechała niekrzywo do mnie, ale znać woli Bożej nie było.— Albo proszę pana Maryśka, ta co gumienny ją wziął, niczego i ta... miała trzysta złotych swoich własnych po ojcu i odzież bardzo porządną i sama gładka, a rezolutna jakby z miasta. Ta mi nawet była do serca przypadła i nosiłem jej jabłka i orzechy, i omal co do pierścionków nie przyszło... kiedy gumienny przypadł i zmówił... Słyszę nawet gadała, że byłaby mnie wołała...

Pomiarkowawszy się Maciek, że zbyt może się rozgadał, zatrzymał się nagle.

— Ale co ja tam pana będę tem nudził.

— Praw Maćku, nic nie szkodzi...

— Ano, już dość, zawołał chłopak, człowiek jak się rozgada, rozmarzy, to mu się potem całą noc mary snują po głowiźnie... a tu już żywej biedy dosyć, żeby jeszcze sobie senną samemu gotować...

W takiem życiu tęskliwem przerywanem chwilami cichego zapomnienia u boku Cazity, płynęły miesiące... Konrad wszakże w oczach nikł, sechł i bladnął, postrzegali to wszyscy, że na zdrowiu źle było, ale się ani czuł chorym, ani na cierpienie uskarżał. Świat tylko powoli cały mu obojętniał... ochoty do życia coraz bardziej brakowało.

Cazità coraz dlań była czulszą, wiedziona jakby przeczuciem jakiemś i obawą. On zawsze równie w niej zakochanym, ale milczącym, przybitym jakby zrezygnowanym na los, który go spotkał.

Brak zajęcia także przyczyniał się do zwiększenia strapienia, brał książki do ręki i rzucał, szedł oglądać miasto i wracał nic nie widząc, jeździł z rybakami, a zamyślony na pokładzie przesiedziawszy kilka godzin, budził się jakby ze snu, gdy nazad do lądu przybili.

Pieszczoty żony nic nie pomagały, słodkie jej szepty koiły chwilowo tęsknice, powracające coraz gwałtowniej do serca.

Maciek, który już znał usposobienie pańskie, jak skoro go zobaczył wysuwającego się na odludne wybrzeże, szedł za nim pocichu, powoli od słowa do słowa zaczynała się rozmowa o domu, co to tam oni teraz robią? Pukało, Murzynowska, ksiądz proboszcz, stary zegar w sieniach, stary pies podwórzowy, konie stajenne, wierzchowiec jegomości...

Godzinę i dwie pan ze sługą opowiadając na przemiany, usiłowali zapomnieć teraźniejszości.

Konrad nie miał w sobie siły, aby się z niej wyzwolić, naostatek tak podupadł na zdrowiu i humorze, iż i ciotce Anunziacie oczy otworzyły się acz nie rychło.

Poszła raz za nim do ogrodu i siadłszy na kamieniu pod rozpiętą winną latoroślą, rzekła do niego:

— No, dosyćeśmy już tej biednej Cazy strzegli, czas przecie z tego wyjść, nie można tak całe życie taić przed nią śmierci ojcowskiej i zostawiać ją w ciągłych nadziejach i złudzeniach...

— Niech się dowie, jak Bóg da; ale ja nie mam serca ją trapić, rzekł Konrad, wy jej też pewnie sami powiedzieć się nie podejmiecie.

— A! uchowaj Panie Boże! odparła żywo ciotka, ale gdyby Tora spotkała...

— Róbcie sami co się wam zda, zakończył Konrad, ja się do tego mięszać nie chcę...

Rozmowa ta wieczorna skończyła się łzami ciotki Anunziaty, nie doprowadziwszy do niczego. Nazajutrz rano Cazità wstała z rozjaśnionem obliczem na podziw wesoła. Przybiegła w cień, gdzie ciotka była śniadanie na podwórku przygotowała, ożywiona, z oczyma błyszczącemi, niespokojna lecz dziwnie wesoła.

— Ciociu! mężu! zawołała zbliżając się, wiecie, wiecie... doskonałe nowiny... ojciec, ojciec.

Tu Konrad i Anunziata spojrzeli na siebie z politowaniem.

— Ojciec się zbliża, powraca...

Anunziata zebrała się na odwagę uczynienia jej kilku surowych prawie przestrog, aby w sny i marzenia nie wierzyła, dodając nawet śmielej, że wszyscy w Wenecyi źle o losach kapitana wróżyli.

Ale Cazità ruszyła tylko ramionami, spoglądając na ciotkę...

— Nie śmiejcież się ze mnie, rzekła, nie dziwujcie mi się. Kochał kto z was kiedy jak ja ojca, jak ojciec mnie? O! nie! wy tego znać i pojąć nie możecie, co to miłość dziecięcia dla takiego rodzica, który mu matkę zastąpił, wynosił na rękach, przy sercu... On i ja, mieliśmy jakby jedno wspólne życie; gdyby umarł, jabym poczuła, jakby mi mojego pół ubywało. Słuchajcie! zawołała z błyszczącemi oczyma natchniona. Ja wiem wszystko oddawna, widzę, choć mi nikt nie mówił, wy sądzicie, że statek się rozbił, że ojciec utonął, wam to mówili ludzie, a wy uwierzyliście ślepi... To fałsz! On żyje... ale przebywał i przebywa ciężką dolę... Był raniony, topiony, o mało nie utracił życia... wszystko zwyciężył, ażeby do mnie powrócić. Ten, który był sprawcą nieszczęść jego, pierwszym ich powodem, znajduje się tu w Wenecyi. Czuję to... sprawiedliwość nie minie, powloką go na Piazettę... i głowę mu utną.

— Kochana moja, przerwał jej Konrad prawie ze strachem, ty marzysz, tworzysz sobie sny i widziadła, łudzisz się niemi, życie spędzasz w tych urojeniach, nabijasz sobie niemi głowę...

Cazità tęsknie zbliżyła się doń i pocałowała go w czoło.

— Nie broń mi, szepnęła, nie gniewaj się na mnie, bądź cierpliwym... przekonasz się, czem jest serce córki i jak silnym węzłem wiąże miłość dziecięca. Bądź dla mnie tak dobrym do końca jak byłeś.

Konrad zamilkł pokonany, ale ciotka gdérać zaczęła.

— Już pewnie rodzona matka nie kocha mocniej córki, jak ja ciebie... taiłam przed tobą wszystko, chcąc cię przygotować... ale nie czas się łudzić... Ojciec twój nieżyje... statek się rozbił... Jeden z jego majtków ocalał tylko... jest tutaj.

— Który? gdzie? szybko zawołała Cazità, pokażcie mi go... potrzeba uwięzić, to zabójca.

I Konrad i Anunziata zdziwili się gorącości, pewności, z jaką to wymówiła. Cazità niezlękniona bynajmniej stała drżąca tylko niepokojem, aby się jej ten człowiek nie wymknął... o ojca zdawała się być spokojną.

Napróżno teraz starali się już całą przed nią odkryć prawdę... miała przeczucie, widzenie, jakąś pewność, którą nic zachwiać nie mogło. Konrad zaledwie potrafił jej wytłumaczyć, że żaden sąd w świecie na snach opierając się, majtka ocalonego pociągnąć nie mógł. Cazità zamilkła wreszcie, palcem pokazując niebo.

— Bóg sprawiedliwy, zawołała, zobaczycie, ja więcej wiem od was... ja widuję ojca we śnie, codzień mam wiadomość o jego zbliżaniu się do nas... on jedzie i lada chwila tu stanie... jam pewna...

Nie chciała słuchać nic więcej nawet, a ciotka Anunziata trochę słaba i przesądna uczuła się zachwianą i gotową już uwierzyć w te przeczucia i

widzenia... zamilkła. Konrad postanowił też zostawić wszystko czasowi.

Tak znów upłynęło kilka tygodni jednostajnem zawsze życiem. Konrad chodził na rozmowę ze swym chłopakiem, Anunziata się modliła, Cazità wysiadywała u brzegu morza, przyglądając się przybywającym okrętom, upatrując statku, który miał ojca jej przywieźć.

— Ty marzysz dziecko moje, rzekła jej raz ciotka, marzysz o ojcu, choć go nie ma na świecie, a tego nieszczęścia, które ci grozi, na które codzień patrzysz, nie widzisz... ależ to ten biedny twój Konrad z tęsknoty po swoim kraju, z nudów czy ja tam już nie wiem z czego, w oczach nam ginie... Przypatrzno ty się jemu uważnie, co się z niego zrobiło... on wysechł, wymizerniał, pobladł, zniszczał tak, że ledwie się w nim duch trzyma... a poczciwe człeczysko ani się odezwie.

Cazità uderzoną została słowami ciotki; dopiero teraz jakoś postrzegła, ze poczciwy Konrad od niejakiego czasu chodził już tylko cieniem i widmem młodości... poczęła płakać, ręce łamać i wołać.

— Cóż począć? co począć z nim?

— Ja nie poradzę, szemrała Anunziata, jakeście wy tam razem, to ty umierasz z tęsknoty, jakeście tu, to on... głowa pęka, a środka na to nieszczęście znaleźć nie można...

Kobiety popłakały się obie, Cazità wszakże na chwilę przypuścić nie chciała, ażeby mogli rzucić

Wenecyą, teraz zwłaszcza, gdy ona tu oczekiwała powrotu ojca, zawsze będąc przekonaną, że on lada chwila się ukaże. Sny, widziadła, przestrogi, powtarzały się teraz coraz częściej, wyraźniej, a było w nich to szczególniej dziwnem, że się zgadzały w osobliwszy sposób z niektóremi okolicznościami, o jakich wspominał Toro. — Uderzało to i Konrada.

Jednego poranka, Maciek, który był w mieście, pobiegł co żywiej od brzegu do pana swego, oznajmując mu, że słyszał na rywie między gondolierami, iż starego Toro z rozkazu sądu zbiry poprowadzili do więzienia, jako oskarżonego przez kogoś o bunt i zabójstwo kapitana Zeno. Konrad zakazał o tem mówić Cazicie, ale niespokojny, natychmiast sam popłynął się dowiedzieć.

Pierwszy, którego spotkał, Zanaro, powitał go powinszowaniami i okrzykami ze zwykłą sobie górnolotną deklamacyą, opowiadając, iż z Korfu przybyli marynarze widzieli tam ocalonego cudownie kapitana Zeno, a wskutek jego zeznań, zbiry pochwycili majtka Toro, który do spisku na życie Zena należał, a podobno nim przywodził.

Zanaro dodał, że wedle krążącej po mieście powieści, Toro namówił był załogę statku naładowanego bogatym towarem na zabicie kapitana, a uprowadzenie ładunku do jednego z portów tureckich, gdzie mieli się sprzedaną podzielić zdobyczą, i poturczywszy się, osiedlić. Zeno został przez nich nocą

napadnięty, po bohatyrskiej obronie zabity uderzeniem w głowę i rzucony w morze. Ale Pan Bóg pomścił krzywdy jego. Korsarze napadli żeglujących, którzy nie umieli się im wymknąć i wszyscy w niewolą zabrani zostali. Toro jeden potrafił się później ratować ucieczką. Trupa kapitana Zeno wyniosła woda na brzeg, gdzie cudem do życia przyszedł po długiej słabości, pielęgnowany w niej przez litościwego rybaka. Dostał się potem na wyspę Korfu, i miał lada moment zjawić się w Wenecyi, ale wiedząc przez marynarzy o ocaleniu Tora, wprzód go zaskarżył, aby go ująć czas miano, nimby, dowiedziawszy się o nim, uszedł.

Konrad słuchając, bladł i truchlał, przekonywając się, jak owe przeczucia i sny Cazity, z których się naśmiewali, były wieszczemi. Chwili nie tracąc popłynął nazad na Lido, ale zastał żonę rozpromienioną, i już jakby wiedzącą o wszystkiem, bo znowu miała we śnie widzenie.

Anunziata o mało nie zemdlała z trwogi, dowiadując się, że jej siostrzenica w istocie wyprorokowała wszystko.

Znajomi i przyjaciele Zenów rodziny, przybywali teraz jedni za drugimi, cudownego ocalenia winszując. Cazità promieniała szczęśliwa; Konrad nawet ożywił się był na chwilę, ale wesele jego wprędce ustąpiło dawnej obojętności.

Trzeciego czy czwartego dnia potem, przybył okręt z Korfu. Od Riva de' Schiavoni cała procesya

gondoli, tłumy ludu prowadziły kapitana Zeno na Lido. Cazità wypłynęła naprzeciw niego.

Radość była nie do opisania wielka i powszechna... a że poczciwy kapitan lubionym był bardzo, zrobiono z tego prawie uroczystość miejską. Cały ten dzień Lido było pełne; dom nie mieścił gości.

Radość córki dochodziła prawie do szału... Anunziata rozpowiadała o cudzie, głowę tracąc.

Zeno był żyw, ale straszliwie zmieniony i zestarzały, choroba go wycieńczyła, posiwiał, ogromną bliznę miał na skroni i piersiach, a wytrwałego zdrowia zahartowanego marynarza śladu nie pozostało. Chodził o kiju, z oczyma wpadłemi, cały drżący.

Dopiero późno w noc rodzina się sam na sam znalazła w cichym domku, a Zeno po raz setny powtórzył jej swoje dziwne przygody, swoją śmierć, gdyż można powiedzieć, że z tamtego świata powracał, i powolne, dzięki litościwemu rybakowi ubogiemu, zmartwychwstanie. Klęskę jednak niepowetowaną nie tylko na zdrowiu poniósł... majątek też niepowrotnie był stracony... Zeno ściskał dłoń Konrada, który mu dach na starość zabezpieczył swem poświęceniem.

Postrzegł on także rozpatrując się w swym zięciu, groźną na jego twarzy zmianę, ale o tem nie rzekł słowa.

Trochę wesela zawitało znowu do domku na Lido. Cazità zwycięzka ożyła... Na krótko wszakże...

Konrad gasnął... łudzić się nie było podobna... Widzieli to wszyscy prócz niego samego. Przestrzegany śmiał się, ruszał ramionami i zapewniał wszystkich, że się ma najlepiej, że lekkie tylko czuje osłabienie.

Pieszczoty i troskliwość żony zaradzić nie mogły nic... uśmiechał się do niej, uspakajał ją, milczący wszakże najczęściej znaczną część dnia spędzał na samotnych przechadzkach. Czasem Maciek mu jeden towarzyszył.

Po milczeniu długiem, Konrad się zwykle do niego obracał uśmiechnięty łagodnie, zapytując:

— Maćku, co tam się u nas dzieje?

Naówczas chłopię zbierało myśli i usiłując odgadnąć, powiadało coś o Robninie, o starym Pukale, o gospodarstwie i dworze.

Listy przybywające ztamtąd Konrad chciwie czytał i na piersi je nosił. Ale mimo widocznego stęsknienia nie użalał się nigdy, nie okazywał już nawet gwałtownej chęci powrotu.

Baczne oko starego kapitana postrzegło wreszcie, że nie było innego na to ratunku nad powrót, a przynajmniej podróż do kraju, z któregoby nowego zaczerpnął życia. Cazicie wszakże nie chciało się opuszczać ojca.

I ona jednak w ostatku opłakawszy tę myśl samą, gotowała się do spełnienia obowiązku.

— Pojedziemy do Polski! szepnęła mu na ucho jednego wieczora, gdy razem w ogródku siedzieli.

Konrad zdawał się zdziwiony mocno i raczej wylękły niż uradowany zapowiedzią.

— Tak! powtórzyła Cazità, pojedziemy do Polski; zbierz siły, pomyśl o środkach, jam gotowa... Żal mi ojca opuszczać, ale pójdę z tobą.

Konrad ścisnął jej rękę i pocałował ją w czoło, nic nie odpowiadając. Głową tylko powoli potrząsł.

— Dziękuję ci, odezwał się po chwili obojętnie, tak! tak! kiedyż pojedziemy...?

— Zaraz, odparła Cazità.

— Zaraz... nie... niepodobna... naciesz się ojcem, zawołał Konrad, ja poczekam.

Trochę też od tej chwili poweselał, mówili z Maćkiem o wyborze w drogę, o podróży, o powrocie i jak tam w domu zastaną.

— To jakbym widział, proszę jegomości, rzekł Maciek. Dalifur wyleci z łysą głową bez czapki, ręce do góry podniesie i upłacze się... Murzynowska w szafranowej chustynce... Stefanek boso... z praczkarni, z folwarku, co żyje, powylatuje. Pan! pan! pan nasz! A tu i ksiądz proboszcz z plebanii zdyszany leci... i po wsi rozchodzi się wieść o przybyciu... wszędy radość, wesele... Nazajutrz wójt ze starszymi powinszować powrotu! A jezioro nasze szumi sobie, pan powrócił! drzewa szmerzą pan... bociany krzyczą pan... sroka śmieje się na płocie: cha! cha! cha! cha! Tylko stary indyk napyrzony, nierozumiejąc wrzawy, nadyma się i skrzy-

dłami sunie po piasku bełkocząc... a ja go po czerwonym nosie... masz trutniu.

Maciek się tak zapędził, że już nawet do niewidzialnego indora poskoczył, ale wprędce odpadła go fantazya. Pan śmiejąc się zakaszlał mocno, musiał na ławce przysiąść; pełną krwi chustę odjął od ust. Krew zaraz potem rzuciła się raz drugi. Powlókł się do łóżka... Cazità siadła przy nim; zdawał się jej niewidzieć... Maćkowi kazał obrazek N. Panny z konfederackim ryngrafem i szablą powiesić sobie naprzeciw, oczy w nie wlepił i tak leżał... a kiedy-niekiedy łzy mu poszły z powiek, to ocierając je, wąsa sobie niby pokręcił.

Cazità nieodstępowała go na chwilę... całował ją w ręce, przyciskał do piersi, pocieszał.

— To nic, to nic, mówił, to z powietrza mi przyszło, ale po wypoczynku przeminie. Nie frasujcie się... bądź wesołą, popłyń z ojcem na przejażdżkę, to cię rozerwie.

Tegoż wieczora w istocie Zeno zabrawszy córkę i Anunziatę, a sądząc, że Konradowi spokój był potrzebny, wybrał się z niemi na Murano do dawnych znajomych. Ledwie odpłynęła gondola, Konrad wyjrzawszy oknem, zawołał na Maćka żywo.

— Słuchaj chłopcze, słuchaj, a sprawno mi się dobrze, płyń mi zaraz do klasztoru *Frari*, spytaj o *Padre Serafino*, a proś odemnie, aby tu przybył, bo się z nim... dodał ciszej, potrzebuję rozmówić.

Maciek spojrzał panu w oczy niespokojny, ale przywykł mu być posłusznym, pochwycił łódkę i popłynął.

Przez ten czas, gdy nikogo w domu nie było, Konrad się drżącemi rękami przeodział w bieliznę świeżą, wąsa pokręcił, usiłował sobie nadać twarz i postawę weselszą. Stojące przy sobie w szkatułce przejrzał papiery, podarł niektóre, uporządkował inne i czekał.

Nie rychło chód posłyszał na wschodkach. Ojciec Serafin wchodził powoli z chłopakiem, a spojrzawszy na leżącego, odgadł odrazu poco go wezwano. Po przywitaniu cichem, ujął za rękę chorego.

— E! e! rzekł, młodości jeszcze w tobie wiele, dziecko moje, przyjdziesz do zdrowia, nie trać jeno otuchy.

— Ale mi dobrze, ojcze, i zdrów się czuję, tylko trochę zesłabły, rzekł Konrad... nie sądźcie, bym sobie co przypuszczał, albo się lękał... Ot tak... dawnom nie był u spowiedzi, chcę się z sumieniem porachować...

Dość długo trwały zbolałej duszy zwierzenia, a ojciec Serafin pozostał przy łóżku chorego.

— Gdy moi powrócą, szepnął Konrad, nie mówcież im, żem was sam wzywał, powiedźcie, że przybyliście sami pozdrowić starych znajomych.

Kapucyn głową tylko potrząsł.

— Nie doczekam ja ich tu, odpowiedział, zajadę jutro rano... dziś mnie tam w klastorze potrzeba.

Konrad ucieszył się, widząc, że odjeżdża, wsunął mu w rękę jałmużnę, rad był, że powracający go nie zastaną.

Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łóżka.

— A która tam godzina? zapytał Konrad.

— O! już słonko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak, bydełko powróciło z paszy, Pukało obszedłszy obory, idzie, Zdrowaśki mrucząc, na folwark do wieczerzy... Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebani i księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów, co ci się tam więcej śni!

— Ano, już chyba więcej nie wiem, rzekł Maciek, żaby skrzeczą w sadzawce i jezioro się kołysze... bociany do snu posiadały. Burek chodzi i burczy... cicho! cicho! tylko ode młyna turkot słychać jak tam koła szumią i turkoczą... a na wsi może pastuszki gdzie śpiewają... Na Anioł Pański dawno przedzwonili.

— A we dworze? spytał Konrad.

— Pustka panie.

— Zegar idzie?

— O! ten to się nie zająknie pewnie!

— Która godzina? począł Konrad...

— Ciemno dobrze... ino nie wiem, dodał chłopak czegoś przelękły, czemu oni nie powracają.

— Mów o Robninie, poprawił go Konrad.

— Może świecę zapalić?

— Tak, dobrze, słabym głosem zawołał Konrad, przed N. Panną, zmówimy konfederacką litanią... Ale spojrzno, czy nie wracają? Albo nie, mów o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę, dziwnie mu się blado wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha, myślał, że posłyszy plusk przybijającej do brzegu gondoli, ale do kata cicho było jak w grobie.

Konrad zdawał się drzémać.

Na palcach chodził Maciek koło niego.

Podniosły się powieki ciężko.

— Maćku, rzekł, co tam w domu?

— Spią, panie.

Chłopak przysunął się do łóżka, chudą kościstą rękę dobył zpod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

— To dla ciebie, rzekł, abyś miał o czem powrócić do domu.

— A! mój panie drogi, przecież my razem pojedziemy.

Chory tylko głową potrząsnął.

— Weź, rzekł, i daj mi rękę, taki dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł, pokląkł przy nim.

— Co ty się tam trwożysz, począł Konrad, nie

ma czego. Jam zdrów! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... pocichu... ja się zdrzémię...

Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się; Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym ale prędkim głosem.

— Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeźlibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej, jedź do domu, do chaty. Powietrze tu nie zdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o! nie nasze... Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Tam lepiej, nawet z samotnością i nędzą... porzuć swego starego, albo go weźmij z sobą... wracaj... mówię ci... bo nie wyżyjesz...

I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał.

Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu łzy pomogą, wyszeptał chory, nie masz czego jeszcze płakać... to babska rzecz... wstydź się...

A po chwili znowu spytał:

— Która godzina? co tam u nas robią? czemu oni nie wracają? Wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc, jak u nas...

— Tak! u nas piękniejszy, potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli, ale oddech ten coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu słychać już nie było...

Bo nie było już i duszy Konrada na świecie...

EPILOG.

Przed gospodą *Croce di Malta,* stał z rękami na pulchnym brzuszku założonemi *il gran ladrone,* z twarzą wypogodzoną, czystem sumieniem i dobrze nabitą kaletą, z obliczem krągłem i lśniącem, człowieka, który nadto chodził około kuchni w życiu, ażeby się w niej jeść smaczno nie nauczył.

Ożenienie nowe widocznie go odmłodziło; usta się uśmiechały, rumieniły policzki, tylko po zbyt krzaczysto rozrosłych brwiach i kępkach włosów siwiejących na uszach, poznać było można, że Zanaro nie piętnastą, a nawet nie trzydziestą już przeżył wiosnę. Zresztą ruchawy, żywy, biegający często, aby dowieść, że lekkim jest jeszcze i zwin-

nym, i że mu otyłość nie wadzi. Zanaro tem troskliwiej odegrywał rolę młodzieńca dojrzałego, iż się czuł do tego obowiązanym, mając tak piękną, młodziuchną żonę.

Wiadomo bowiem było wszystkim na wybrzeżu słowiańskiem, ba, i dalej zamieszkującym, i w ogóle tym, co się do Signora Zanaro, choćby na kilka minut tylko zbliżyć i mówić z nim mieli zręczność, iż Signora Ludovisa wyglądała jak Flora Tycyana, mąż bowiem chlubił się nią nieustannie i wchodził nawet w zbyteczne szczegóły, opisując jej nieporównane wdzięki, których był zapalonym wielbicielem.

Tym razem jednak znać nie o żonie była mowa, bo jej pochwały śpiewać był zwykł tonem żartobliwym i wesołym, a na twarzy Signora Zanaro umalowała się niezwykła powaga, i zamyślenie; usta miał nieco odęte, czoło posępną powleczone zasłoną. Obok niego stał chudy, kościsty, stary Kapucyn, Padre Serafino, dawny znajomy Zanarów, i bodaj nie całego miasta. Dalej jeszcze grupowało się kilkanaście głów ciekawych, przyjezdnych gości, którym właśnie opowiadanie gospodarza musiało być przeznaczonem, i kilku domowników z pod Krzyża i kilku głośną rozmową przywabionych przechodniów.

Zanaro opowiadał, przerywając sobie niekiedy głośnemi westchnieniami z szerokiej piersi wyrywającemi się, naksztalt sapania kowalskiego miecha, i wykrzykami: *Ecco! spettate.*

— Tak jest, tak jest, mówił powoli do zgromadzonych słuchaczów, są tajemnice i przeznaczenia niepojęte, są wypadki zdumiewające, które chyba na tamtym świecie wytłumaczą się dla człowieka.

To jednak pewna, że ja miewam niesłychane przeczucia; kiedym raz pierwszy ujrzał na ląd wysiadającego tego człowieka, z taką dobrą miną, z takiem w sobie zaufaniem, z tą szlachetną postawą, coś mnie tknęło zaraz, że go tu spotka nieszczęście.

— Z czegożeś tak wnioskował? zapytał Kapucyn.

— Z bardzo wielu rzeczy i tajemnych znaków, naprzód dla tego, że wylądowywał właśnie dnia trzynastego czerwca, który jest dniem feralnym, a wiadomo wszystkim uczonym, iż są dnie feralne, tylko nie każdy posiada jak ja spis tych dni, których strzedz się należy, aby w ciągu ich nic ważnego nie przedsiębrać... *Ecco!* powtóre, przyjaciel mój dobry, Beroni, człek niesłychanie mądry, a przechodzący nauką wielu profesorów padewskich, chociaż był całe życie tylko ubogim bakałarzem szkółki w kwartale San Giorgio... pokój duszy jego... (Zanaro uchylił szlafmycy), Beroni powiadał mi, że nie ma nic nieszczęśliwszego, jak gdy człowiek który kraj swój opuści i wyrzecze się go, albo sam lub następcy jego powrócić doń zamierzą, niechybnie naówczas powietrze samo ich zabija.

— Zanaro, synu mój! przerwał kapucyn, Beroni i ty, prawicie wierutne głupstwo.

— Ojcze szanowny, zawołał Zanaro całując rękaw habitu Ojca Serafina, to, co ja powiem, zwiejcie jak chcecie, ale szanujcie Beroniego, dla którego mam weneracyą największą... byłto rzadki człowiek!... Nikt się na nim nie znał, prócz mnie!

— Mówcież dalej, signor Zanaro, ozwał się głos niecierpliwy, jakto było...

— Historya nader ciekawa, a godna, by ją dla potomności zapisały kroniki weneckie... tragedya, że tak rzekę... mówił wzdychając gospodarz. *Ecco!*

Młody ów Polak miał coś w sobie, co zwiastowało, że go złe jakieś spotkać musi. Na swój wiek był do zbytku poważny, zamyślony, wstrzemięźliwy a namiętny w duszy.... Zaraz płynąc tu do Wenecyi, na statku *Padre Antonio*, poznał się i pokochał szalenie piękną nadzwyczaj Cazitę, córkę kapitana Zeno. Gdyśmy się o tem dowiedzieli, a raczej domyślili tego, gdyż Polak ów, Wenecyanin razem, był nadzwyczaj skryty, powiedzieliśmy sobie, ja, nieboszczka pierwsza żona moja i ta niegodziwa a przebiegła Madelonetta... (która już naówczas, choć nie miała lat piętnastu, dobrze w oczy mężczyznom patrzała)... źle być musi... źle! źle! Był bowiem tak oszalał z tej nagłej miłości, która go pochwyciła jak choroba, że na żadną więcej kobietę patrzeć nie chciał. Była tu naówczas

Signora Zenobia Boccatorta, śpiewaczka, pysznej piękności, jak dzisiejsza żona moja (lubo ta ją bogactwem form i świeżością kolorytu o wiele przechodzi)... ani na nią, ani na uśmiechającą mu się Madelonettę, dzieweczkę nieszpetną i piętnastoletnią.. spojrzeć nawet nie raczył... *Ecco!*

Na Lido raz wraz do kapitana Zeno... A miał z sobą chłopaka, wyrostka, który też nie tracąc czasu, znalazł sobie na Merceryach szewcównę, córkę Naniego, o którym wieść chodzi, iż był także Polakiem... i w tej się też do szaleństwa zakochał, choć podówczas całemu miastu oprócz ojca wiadomem było, że Vittorini, o którym zaraz obszerniej powiemy, dawno był ją zbałamucił.

Cazità, córka kapitana Zeno, mówił dalej Zanaro, z pomocą Anunziaty, ciotki swej, rzuciły urok na bogatego Polaka... Tak jest panowie! był to urok, a może nawet dały mu pić jaki filtr miłosny, gdyż stare niewiasty są w tych rzeczach bardzo biegłe... przekonał mnie o tem Beroni.

Odprawiono zaraz Sabrona, narzeczonego Cazity, któremu Anunziata zaswatała wprędce piękną Giulią (między nami mówiąc, na jego nieszczęście)... Polak się piorunem oświadczył i ożenił... Wszyscy naówczas mówili mi: — Signor Zanaro... fałszywy wróżbicie, otóż widzisz jak się to wszystko złożyło szczęśliwie... A jam odpowiadał z głęboką wiarą w wielkie prawdy, których mnie nauczył Beroni:— Czekajcie, a patrzcie końca!!

Cóż się dzieje!... Polak z Cazitą jadą do jego kraju, chłopak zakochany zostaje w Wenecyi przy Nanim i ma się żenić, a ja patrzę i powtarzam: Czekajmy, a patrzmy końca...

Niedługo czekałem, jak luną nieszczęścia.. Matko miłosierdzia, sprawdziły się przepowiednie moje do ostatniej kropelki.

— Jak? szanowny panie Zanaro...

— Zaraz opowiem wam to, poważnie ciągnął gospodarz, *ecco!* Nie długo zabawiwszy w Polsce, przyciągnął, aby się wyroki spełniły, Polak ów do Wenecyi z żoną... Tymczasem kapitan Zeno ze statkiem swym przepadł... ani wieści, miano go za umarłego... odprawiali nawet za niego nabożeństwa żałobne, świadkiem ojciec Serafin... a nabożeństwa te, zdaniem teologów, jeźli na drugim świecie nie zastaną duszy, dla której były przeznaczone, idą do powszechnej skarbony, dla najpilniej ratunku potrzebujących dusz czyścowych, gdyż nic przepaść nie może...

Kapucyn głową kiwał potwierdzająco.

— Gdym Polaka powracającego ujrzał, mówił Zanaro, utwierdziłem się jeszcze w mniemaniu, iż czeka nas rozwiązanie jakieś straszliwe... miał na czole wypisaną śmierć i niedolę. Chłopcu też jego u szewca nie lepiej się działo. Pchnięty był nożem z rozkazu Vittoriniego, ledwie się wyskrobał, a dzieweczka od niego i od ojca uciekła i skryła się...

Słuchajcie panowie, tu się dopiero poczyna pełna cudowności przygoda krwawa i łzawa.

Zanaro otarł pot z czoła... upajał się widocznie wymową własną.

— Na raz zabity kapitan Zeno powraca i zmartwychpowstaje! Znowu zły znak... upiór z drugiego świata widocznie... za zabójstwo jego schwytany Toro, ścięty na placyku pod czerwonym słupem graczów... początek rozlewu krwi... Ale to jeszcze nic... nic... *ecco!* słuchajcie! Ów szczęśliwy małżonek Polak, ukochany Cazity, poczyna schnąć w oczach, usychać, więdnąć jak drzewo podcięte, jak ryba wyjęta z wody... i najniespodzianiej kona... *ecco!* Młoda małżonka oddaje się niepomiernej żałości... ludzie wszyscy prorokują jej śmierć... Rzuca nieboszczykowi włosy obcięte... nader zły znak, który wszyscy mają za dowód przywiązania, a jest wróżbą rozbratu... włosy bowiem, mawiał Beroni, mają w sobie siłę rozprzęgającą.. Chłopak, który był sierotą pozostał po Polaku, szaleje po nim... całe dnie i noce spędza płacząc na mogile swojego pana na Lido... jak pies wyje po nim i łzy leje... Naprózno stary Nani stara się go uspokoić, pocieszyć.

Przechodzi czas pewien; boleść żony Polaka młodej i pięknej Cazity powoli się uśmierzać zaczyna. Mówiono zrazu, że miała wstąpić do klasztoru, ale ja wcześnie szeptałem, patrząc na jej wcale ładną twarzyczkę, że raczej do zakonu Adama i Ewy jest

przeznaczoną... Dodajcie, iż Polak kapitana długi popłacił, a Signora Lippi uchodziła za wcale majętną wdówkę.

Po pewnym czasie zmiera kapitan, ojciec Cazity, która pozostała sam na sam ze swą ciotką Anunziatą. Pogrzeb mu sprawili, nie można powiedzieć, wspaniały, a godny patrycyusza. — Ale wdowa i sierota w żałobie poczęła się z ciotką pokazywać na odpustach... cała w czerni, co jeszcze podnosiło jej wdzięki. Młodzież za nią szalała... Zobaczył ją widocznie w którymś kościele, choć rzadko do kościołów uczęszczał, ten bałamut Vittorini, który córkę Naniego z domu rodzicielskiego był wykradł, a raczej odbił w drodze, gdy ją do klasztoru wieziono. Zakochał się...

Powoli przyszło bliższe poznajomienie się, podobanie, aż i projekt małżeństwa... *ecco!* słuchajcie...

Tymczasem ów chłopak od szewca siedział na mogile swojego pana... Jedną razą przychodzi do niego stary Nani i powiada mu: Słuchaj chłopcze, a miał imię Matia... słuchaj, Matia... twoja ulubiona, a moja córka, piękna Marietta, powróciła pod dach rodzicielski, żałując grzechów swych przeszłych... domaga się, abyś i ty żałobę swą skończył... widzieć cię pragnie...

Zrazu chłopak, któremu pewnie także zadano filtr jakiś, dość się opierał, nie chcąc widzieć niewdzięcznicy... i na Lido pozostał. — Gdy jednak Marietta sama po niego poszła, dał się skusić...

Wraca tedy do szewca... Marietta łzami i chytrością stara się go przebłagać i miłość na nowo obudzić... a szło jej nie o niego, ale o zemstę... *ecco!* Vittorini miał się już już żenić z wdową po Polaku... Marietta opuszczona przez niego, szalała... *ecco!*

Namawia więc Matię, obiecując mu rękę swą, jeźliby Vittoriniego zgładził, przez co i pamięć swojego ukochanego pana i ją pomści!... daje mu nóż w dłoń, i jątrzy...

Zbliżamy się do rozwiązania, panowie... krwawa tragedya!... straszne dzieje!...

Wiecie już, że w chwili, gdy do kościoła Frari zdążała młoda para, wdowa po Polaku i Vittorini, na wschodach samych, z tłumu się wyrwał ktoś i nożem w piersi pchnął nowożeńca, który padł i dotąd jeszcze do siebie przyjść nie może.

Zabójcy nie pochwycono... niewiadomo co się z nim stało, lecz wiadomo kto nim był, niechybnie kochanek ów Marietty... chłopak Polaczek, mszczący razem swą kochankę i swego pana.

— A Marietta? spytał ktoś.

— Marietta, rzekł Zanaro, chodzi i śmieje się wesoło, pomszczona na Vittorinim i uwolniona od nudnego zalotnika, który po coltellecie zmykać musiał. Włóczy się, szukając go stary Nani, od tych wszystkich przygód krwawych dostawszy pomięszania... Tylko co go nie widać, dodał gospodarz, bo najmniej razy pięć na dzień tędy się mi przesunie...

— A Vittorini? spytał ktoś ciekawy.

— Vittorini wyzdrowieje, ręka była niepewna, zadał mu ranę nie wedle prawideł sztuki — studencką... wiele krwi wytoczył, wiele strachu przyczynił nieszczęśliwej Cazicie, ale to z tego wszystkiego nic nie będzie. Ślub wezmą, to pewna, ciotka Anunziata go nie puści... a i piękna wdówka też po tej historyi nie łatwoby innego znalazła, chybaby go znowu w Polsce szukać musiała.

To mówiąc, odetchnął Zanaro i obejrzał się po słuchaczach, którzy zdawali się po nim zakończenia i sensu moralnego powieści wymagać. Pojął to gospodarz Maltańskiego Krzyża i tonem poważnym dodał:

— Otóż, panowie, jak się to wystrzegać potrzeba, dni feralnych, filtrów bab starych i ludzi napiętnowanych nieszczęście z sobą niosących.

— Gdyby to ich poznać można!... rzekł ktoś w tłumie.

— Można! dokończył Zanaro, są na to pewne znaki... Beroni nauczył mnie ich wiele. Już gdy kto niespokojny kręci się po obczyznie, i żony sobie w cudzem gnieździe szuka, prezumpcya wielka, że naznaczonym jest ową fatalnością, która rodzi niepokój i w miejscu usiedzieć nie daje...

— A, wszystko to bałamuctwa, zawołał w tej chwili kapucyn, tylko ja wiem prawdziwą przyczynę tych wszystkich nieszczęść Polaka i jego chłopca, i tych których oni pociągnęli za sobą... Płynąłem

z nimi na statku *Padre Antonio*, kiedy raz pierwszy do Wenecyi przybywali.

— Słuchajcie! przerwał Zanaro.

— Otóż, oświadczył się mi Polak naówczas, że miał zamiar, a może był nawet ślub uczynił, odwiedzić Grób Pański i pielgrzymować do Ziemi Świętej. Zastraszyli go naówczas wszyscy morem, i ślubu nie dopełnił ani zaraz ani później, ztąd wszystko owo złe spłynęło.

— Ma słuszność, zawołał Zanaro, całując znowu w rękaw zakonnika, tak jest, i to się także przyczyniło! pamiętam, że i przedemną się w początkach zwierzał z tym zamiarem... *Ecco!* Ale jedno drugiego nie osłabia...

W tej chwili urwał, spostrzeżono bowiem przechodzącego niedaleko starego Nani. Zanaro był nazbyt rozgorączkowany, ażeby go nie zaczepił.

— E! e! zawołał, dzień dobry, ojcze Nani, dzień dobry!

Szewc, który szedł z głową spuszczoną i okularami spadającemi na koniec nosa, odwrócił się, ruszając ramionami.

— Kto mnie śmie ojcem nazywać? spytał, czy to ty stary wole karmny... hę?

— Źle! rzekł Zanaro, źle koło niego... patrzcie jak się wyraził nieobyczajnie.

— Ojcem nie jestem, dodał Nani, bo się córka mnie wyrzekła, a zięć w krwi umyty, uszedł... włóczęgą jestem i żebrakiem.

— Biedaczysko! szeptali przytomni.

— Ale co komu do tego? dlaczego mnie prześladujecie? gwałtownie począł, obracając się do Zanara... czyś to ty lepszy? a twoja córka? tatku?

— Ostry jest, szepnął Zanaro.

Niektórzy się uśmiechali...

— Ej! Zanaro! Zanaro, *gran ladrone!* dodał... gdyby była sprawiedliwość na świecie, czybyś ty dawno wisieć nie powinien?

Kapucyn się uśmiechnął, śmiał się i sam Zanaro, ale jakoś nie serdecznie.

— Daj już pokój, Nani, rzekł, daj pokój, rachunki z szubienicą niebezpieczne...

— Dla mnie nie... o nie! odparł szewc, mnie się jeszcze coś od niej należy... a z wielką przyjemnością patrzałbym i na twoje nogi w powietrzu.

— Fe! fe! Nani, co pleciesz! wołał Zanaro... dość tych żartów... daj mi pokój... powiedz lepiej dokąd idziesz...

— Szukam tego, czegom nie zgubił, idę tam, zkąd nie przyszedłem, rzekł dziko, śmiejąc się szewc, i pozdrawiam was ciekawych, co z biedaka szydzicie... bodaj was tensam los spotkał...

Zanaro obawiając się uroku, szybko dwa palce rogato wystawił *contra la jettatura*, przeciwko szewcowi, który opierając się na kiju, powoli powlókł się mrucząc dalej.

Chodził tak codzień na Lido, na cmentarz, wypatrując, czy tam nie znajdzie Maćka, po którym

szczerze tęsknił... ale na grobowcu Konrada nikogo nigdy już nie spotkał, nawet tamarysy i cyprys, które tam posadzili pierwszej wiosny, wkrótce pousychały, a rodzina ani wdowa o postawieniu grobowca nie myślała.

W Robninie bowiem, wkrótce jakoś po nadeszłej wiadomości o śmierci Konrada, pochował ksiądz proboszcz starego Pukałę Dalifura, którego do trumny ubrała własnemi rękami poczciwa Murzynowska. Majątek po zmarłym w Wenecyi bracie objął pan Bolesław; ale i temu się jakoś nieszczęściło, dzieci się nie hodowały... Na nim ostatnim wygasła rodzina Lippich de Buccellis.

KONIEC.